BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA W KRAKOWIE

Rękopis nr 8557 III z wieku .... zawierający ....

....

Uwagi o stanie zachowania rękopisu: ....

W razie ogłoszenia drukiem osobnej pracy związanej z wydaniem lub analizą rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej, zobowiązuję się egzemplarz jej przekazać do Oddziału Rękopisów B. J., o mniejszych zaś pracach tegoż rodzaju ogłoszonych przeze mnie w czasopismach zawiadomić Oddział Rękopisów lub posłać odbitkę.

L. p.	Nazwisko, imię i zawód korzystającego z rękopisu, (Podpis własnoręczny)	Data wydania	Data zwrotu	Temat i cel pracy	Uwagi:
1	Rydlowa, Maria red. Wyd. Liter.	27 stycznia 1964	27 kwiecień 1964	Wydanie krytyczne Dzieł Odrow.	
2	Rydlowa Maria	20 sierpnia 1964	20 sierpnia 1964	— 11 —	
3	Rydlowa Maria red. Wyd. Liter.	7 września 1964 r	7 września 1964	— v —	
4.	[illegible] Edward [illegible]	12. 08. 81	12. 08. 81	[illegible]	-
5	Prac. Fot. dla LO w Sadownem	14. VIII 81		mf. k. 2 r	B 282/458/80/81
6	Józef Dużyk	9. IX. 86.			
7.	Grzegorz Bradacki	15. X. 99 5 X 2001		Listy W. Odrow	

L. p.	Nazwisko, imię i zawód korzystającego z rękopisu, (Podpis własnoręczny)	Data wydania	Data zwrotu	Temat i cel pracy	Uwagi :
8.	TV Kraków	11. X. 02		Mat. filmowy do sesji w Konfirlancji o Orkanie	

PWH 756VBv WZPT Dr. Nakto 990-62 2000 piśm. b.d.

„W Roztokach"

-powieść-

Listy: Kotarbiński
(gazety)

[illegible]
— [illegible] —

Część II.

nisko
blisko
skąd
stąd

poleść [?]
leść [?]
śleść [?]

2 L.

I.

Turbacz, jak się już rzekło, wysoko czoło dźwiga nad gromadą Gorców. Stoi w pośrodku nich, jak gazda, przygarbiony wiekami, i rządzi. Nie może ino baczyć na te wierchy, co nie mają z nim bliskiego krewieństwa, jako od czasu [illegible]. Choć stoją tuż za plecami i wyzierają śmiało z poza niego. Za to oba ramiona rozciągnął nad dziatwą: prawe nad Kopą i nad Turbaczykiem, lewe zaś nad Obidowcem, nie widząc Suchary, bo ta się dużo pomniejszyła [?].

Z pod pazuchy tych ramion wytrysły roztoki i pośród ścisłych Brzyzków [?] niewidoczne płyną, szukające się z gorączką w załomach [?] leśnych, aż spotkały się w dolinie i witają się w uścisku [?], wszystkim [illegible] idą razem aż do wązkiej bramy, do onego wąwozu, który zamyka kotlinę – i stąd, porwane szałem roztukania [?], jedną roztoką dalej pędzą...

Wszystkie zbocza, okalające dolinę [illegible], i Turbaczyka i Suchary, szarzeją wrębami; są, jako cmentarze stare z pomnikami pniaków. Od nich to wieje smutek na dolinę i co kędy pustka się rozchodzi.

Jedyna u boczy góry, która się przygięła wierchem do kolan Turbacza, ta jedna czernieje lasem.

I tę miał ściąć Rakoczy.

Pięła się ona bystro w górę wprost z międzywidla dwoch roztok, a dochodziła na dół aż do ich połączki [?], tam, kamy dawno, drzewiej, za ludzkiej niepamięci, stała ta sławna, wielka huta.

Na jej pogrobie, jak się rzekło, ostała rudera. W niej to Rakoczy osiadł i zamieszkał.

I rozgardował się na dobre. Z odziomków starych jodli, nalezionych w potoku, narznął gnatków, naszczypał giętkich tylin i uplótł wrota, które przymocował do odrzwi zawiasami łyczanych korzeni, wypolutych z ziemi w gąszczu i sparzonych w dymie nad ogniskiem. Tak samo z tylin i przeplecin stworzył sobie łoże, umocował je w kącie i podparł nad ziemią, potem natmiatał liści pod bukami, naznosił na posłanie, aby miękko było, i zgotował legowisko wcale nie od rzeczy. Dach pozałóczył [?] gontami, [illegible] poprawił i umszył szpary w ścianach, aby wiatr nie miał przystępu. Następnie z pozostałych po hucie kamieni, a wypalonych mocno, ułożył nalepę, na której mógłby upiec i wołu z rogami. Naresznie wtoczył gnat z rzeki, parę [illegible] gnatków aby mieć i stół i stołki, jak bogaty gazda. Nie widziało mu się, że ściany są gołe. Jakoby tak człowiek [illegible]? Trza je przyozdobić... Poszedł w las i nazbierał [illegible] wiszących, jak spadają z gałęzi, jak zielone brody, naobrywał hub olbrzymich o dziwacznych kształtach, gałęzi z młodych jedlic i okiści z buków, to wszystko przyniósł, rozdzielał, i miarkował uważnie, aby je tak porozwieszać po nierównych ścianach, żeby oko z przyjemnością mogło na nie spojrzeć. I wnet owo wnętrze [?] odmieniło się do cudu. Nikt by nie poznał, że tu niedawno wiatr chadzał samopas. Tak się przeistoczyło doznaku [?].

Żywności też przysposobił, nakupił na dole i, choć dostatku nie [illegible], nie bał się już głodu. Rozgardował się w tej pustce i przywykł pomału. Z początku było mu tak jakoś dziwnie [?] z jasnego pola wszedł do ciemnego świątyni; powoli jednak rozpatrzył się i pocznie odnajdywać nie[illegible]

4/

których nie spostrzegł od razu. ~~Więc najpierw zauważył, że o różnych porach dnia różne przyjmuje barwy ta dolina, i ma swój głos, swoje smutki i wesela. Nie martwem jest, ba życie, i to jakimś tętnem życia, nieprzespanym wiecznie, a zdawało się pustką, dawno obumarłą. Kiedy w jasne południe potoki słońca spłyną do doliny i wypełnią ją morzem światła, wtedy wesołość wielka pamięć udziela się patrzącemu sercu. Lecz najwyraźniej, choć niezwykle cicho, żyje dolina przy zachodzie słońca. Snop związanych promieni przelatuje górą, a od niej pada na dół oświetl czerwonawą, promienie znikną, a ona ostaje, powietrzna jej lica bledniejsze~~

Więc najpierw zauważył, że w różnych porach dnia różne przybiera barwy ta dolina. Ma wyraźne rumieńce życia. Ma też głos i mowę swoją, smutki i wesela.

O wschodzie — cała przebiega dreszczem święty. Czuje z oddali nadejście słońca. Potem osusza łzy radości, którą perlą się na trawach i na liściach drzew i, gotując się do wesela, przystraja odzienie. Zielone kobierce łąk po równi ściele, wzorzyste hafty traw po zrębach wiesza, wieńce mirtowe z gajów splata, stopy obmywa w przejrzystej roztoce i włosy, rozwiane wiatrem, a strojne zielenią, gładzi złotym grzebieniem gęstych od promieni.

A kiedy słońce stanie na południu, pozdrawia je dolina nieśmiałym uśmiechem. I poczyna się wesele w pełni świateł, blasku, w rozżarzonym do białości morzu czystych ogni. Zdaje się cała dolina przepełniona szczęściem.

Ale słońce-oblubieniec wnet kryje się za wierchy i, przesyłając na odchodnem ostatni odblask-drużbę z łagodnem pocieszeniem: Do jutra... W obliczu cichej doliny widać struchlenie, chęć wzniesienia się, by zoczyć, kamy słońce idzie. Niemoc ogarnia całą, potem smutek, a w końcu rezygnacja bolesna. Jeszcze z nad wierchu prześwieca długa miotła drużby — pęk związanych promieni — snop białego światła — od niego oświetl o licach różanych zstępuje na dół ku samej dolinie, a kiedy jej ostatnie pozdrowienie szepce, blednieje i powietrzem zachodzi z jej lica. Dolinę dreszcz przebiega, ale zimny, trwożny, pełen niespokojności i lęku przed nocą.

Tak żyje ona w dniu słonecznym.

A gdy nadejdzie słota, długie dni, w których słońca ani nie widywać, wtedy owija się cała łokturą mgły szarej i w zasępieniu smutnem siedzi, nie patrząc na chmury. Niekiedy w tym smutku odetchnie i gdy nagle słońce wejdzie, nie wierzy, nie odsłania łoktury z przed oczu, aż ją promień, budząc z martwych, pocałuje w czoło.

Jaką żywo czującą była ta dolina, poznał Rakoczy, pilnie baczący na jej dzienne życie. I stała mu się przez to bliższą, bardziej ulubioną. Częściej rozpatrywał się po niej i obaczył, że suche jodły po wyrębach sterczą niby szkielety ludzkie z podniesionymi ku niebu ramiony, jakby uschnęły w modlitwie albo w groźbie wiecznej; że potracone modrzewie chowają się, skrywają i zachylają wiotkie ciała poza plecy świerków, jakby czuły wyraźnie, że tu niech ich panowanie, i zdaje się po boku pysznić tak marnych świerków, by im pozwolić koło siebie rość; taka w nich tężyzna; a białe, srebrne, słabiutkie brzózki drżą, gdy się trąci o jeden liść z kraja.

Wędrując okiem, ujrzał niespodzianie wciśniętą między jodle, opuszczoną brzozę. Stała tu, jak samotnica, jak płaczka żałobna. Taka w niej była niewieścia lękliwość, tyle tęsknicy, smutku i rozpaczy, że Rakoczy, patrząc na nią, uczuł żal serdeczny.
– Cóż ciebie tu przesadziło w te nieswoje strony?

Myślał, że go odczuje i podziękuje płaczem. Począł bowiem wierzyć, że zaklęta w niej dusza dziewczyny żali się tak i smuci. I przyrzekł święcie na głos cały, że gdy będzie spychał drzewo, tak uważnie ~~zepchnie~~ puści, aby jej nie skaleczył najmniejszej gałązki... Bo stała w dole, pod uboczą, którą musi ciąć.

Żył tak, rozpatrywaniem doliny zajęty, bo czas roboty jeszcze był nie nadszedł. Zżywał się z każdą skałą, z każdym prawie smrekiem, aby stracić swoją pustkę i czuć się w gromadzie. Bo poznał niezadługo, że pustki ~~tu~~ nie zastał, jeno ją sam ~~ze sobą~~ w sobie w to zacisze przywlókł. Dopiero też go pomaluteńku z dnia na dzień opuszcza.

Widział, że nie sam tu jest z ~~[illegible]~~ przybytku Bożego. Jak odnajdywał w każdym drzewie utajone życie, tak codzień prawie spotykał w tym kraju ~~jakąś żywą~~ niespodziankę.

Raz, idąc koło gąszcza, usłyszał gwizdanie. Pewnym był, że chłop jaki po cetynę przyszedł i przygwizduje sobie głośno dla większej odwagi. Wszedł między świerczki i poczuł się zdziwiony, że to nikt inny, jeno kos. Siedzi na drzewie i gwiżdże zajadle, aż echo wraca od uboczy.
– Jaka to pokięba czarna! Z dołu zwieść człowieka...

Ale, mimo omyłki, rad mu był niemało. Odgwizdywał mu nawet parę razy podobnymi tony.

Innym razem, kiedy się zapędził między ścieżki Brzyzki, podszedł niespodzianie głuszca, który ostrzył kosę. I tak się, widać, zapamiętał, że stracił obawę. Można go było lekko złowić. Ale Rakoczy pominął sposobność, rad, że ma w swojem państwie takie duże ptactwo.

I tak pomału napotykał: sojki trzepotliwe, żołny o siwych piórkach, gołębie gruchacze, dzięcioły w czerwonych czepcach i drozdy szarawe, które, jak ludzie mówią, mają talent w dziobie. Napotkał też i ptasikróla, mizerną ptaszynę, która się kryła po dziuplach przed wzrokiem jastrzębi. A było tych rabowników moc w tej okolicy. Nieraz spadały z nienacka, jak strzały wypuszczone z chmur, i rzadko powracały z ~~sobą~~ próżnymi pazury. Często je widywał za dnia, jak śmigą tą drużyną krążyły ponad lasem, wypatrując żeru. A wyżej, wyżej, górnej w obłokach samych kołował zwolna szerokimi kręgi, zuchwałą tą wysokością lotu, chmurny orzeł. Kiedy się zniżył nad doliną i rozpostarł skrzydła, to słońce ćmiło się, jak czarną zasłonięte chmurą. Rakoczy wzrok podnosił i duma w nim rosła, że taki karny ptak nad jego głową.
– Tylko mi słonka nie zasłaniaj! – wołał – Żeby i w mojem państwie było jasno...

I począł mu się kraj ożywiać coraz większym ruchem. Żywina wszelakiej jaka, która się pochowała przed nim w gąszcze leśne, widząc, że nie jest drapieżnikiem, jako inni ludzie, zaczęła znów wychodzić na światło i ośmieliła się za czasem.

Nieraz mu z pod nóg zając wypadł i pomknął w jałowce, kuna wyjrzała z gniazda i schowała głowę, a wiewiórki swawolnice to się już tak rozigrały, że im końca miary nie było. Wiodły się po gałęziach tuż nad jego głową i po ziemi tańcowały

swobodnie, jak w raju, albo śmigały po drzewach, jedna ponad drugą, jakby ktoś szyszkami świerkowemi ciskał. Wcale się nie bały te stworzenia małe.

Ale największej śmiałości, to już nabrał lis. Tak się tak srodze rozzuchwalił, że w jeden dzień przypołudnia, kiedy Kałoszy obiadował, zajrzał przez próg do wnętrza, czy też tam nie ma jakiej kury, albo czego z drobiu. I wypatrywał bez obawy, aż Kałoszy, wstając, sięgnął ku ścianie po strzelbinę, ~~którą zawiesił ... dla postrachu~~, wtedy dopiero umknął.

Milszą miał niespodziankę Franek niedzielnej, kiedy powracał do koleby po zachodzie słońca. Oto spotkał na łące, nad samą roztoką, całą rodzinę sarn. Siedem ich było, dwie najmłodsze, niewiększe od jagniąt. Pasły się gromadką cichą pod dozorem matki, a rogacz stał na straży i czuwał nad niemi. Tyle w niej było miłości wzajemnej, taką harmonią grała ta rodzina, że Kałoszy przystanął i pomyślał w sercu:

– Żadną miarą nie płoszyłbych im szczęścia... Niech się pasą.

I chciał obejść poza drzewa, ominąć zdaleka, ale ociec pilnie baczy; przeczuł go po świerze i zaraz ostrzegł swoje młode. Postanęły wszystkie i, zalęknione, wsłuchały się w ciszę... Zdawało się, że słychać, jak im serca biją. Rogacz stał wyżej, ponad niemi, rozglądał się wokoło i nieustannie strzygł uszami, pytając się wiatru. Nie widać było w jego oczach lęku, ani trwogi wielkiej, ino niepokój przed nieznanem, które idzie stąds... Troskliwy o swoje dzieci, bał się je ostawić dłużej w niepewności zdradnej i wydał hasło do ucieczki. Pomknęły od razu, a on sam wskazywał drogę, migając rogami. Niezadługo wpadły lotem do suchego wrębu; trawy się ino kołysały, wskazując ich ślad.

Żal się zrobiło Kałoszowi, że je tak postraszył. Pasały się, widać, rade na tej łączce cichej, a teraz już nie będą mieć takiej śmiałości. Szkoda, tak blisko, ~~jego osiedla~~ przy jego osiedlu, mógłby je był może z czasem ośmielić ~~ku sobie~~ do siebie i miałby z nimi niejedną uciechę... a przez ten postrach mimowolny spłoszył je i naostatku będzie z nimi porząk. Może se inną polankę wyszukądą, a tej się będą strzec... Czemuby je tu przyswoić?

Kiedy nad tem przemyśliwał, obaczył zdumiony, że ma innych sąsiadów nie bardzo przyjemnych. Potknął się parę razy o wyryty trawnik i, ~~...~~ ku ziemi, poznał zaraz. Dziki... Porywały ... ~~...~~, że niedawno były

– Ale to cały kierdel! Kamy się to chowa?

Obejrzał się dookoła i ~~...~~ nie mógł zapomnieć, że ~~...~~ mają dość i ~~...~~ żiedzeb. Jeszcze gęstwin jest niemało, bujnie porosła, a po ~~...~~ wrębach trawy takie, że się ~~...~~ łatwo może skryć i przeleżeć za dnia. ~~...~~

To go, powiedziawszy prawdę, niemile spotkało. ~~...~~ Do dzików miał ~~...~~ urazę, choćby ~~...~~ ino za to, że nieraz musiał ~~nocą~~ ślęczeć na ugorach i pilnować ~~...~~ nocą zboża, aby nie tłamsiły.

Ale mimo ich rycia, nie naszedł żadnego. Nawet i nocą nie dostrzegł, żeby blisko były. Musiały, widać, pomiarkować, że on tu nocuje i boją się pokazywać przy jego osiedlu. Zabaczył też wnet o tem sąsiedztwie, ~~...~~ ale przedtem strzelbinę opatrzył uważnie i nabił ją kulkami ołowiu.

11

I ~~tak~~ żył otoczony żywiną wszelaką, nie mniej same twórni, ale utęskniona. Oswajał też ponadto z tym swoim zaświa-tem, rozpoznając obyczaje ~~wszel~~ różnego stworzenia. Rozumiał się wiele, i przepatrzył całą tę żywą księgę ~~w zamkniętej dolinie~~, zamkniętą w owej kotlinie, mało znaczący świat. Nie wiedział ino, że w tej społeczności żyli spośród ~~...~~, ~~ludzi~~ i ludzie. Nigdy nikomu ich nie zasłakował, nie mógł nijak przypomnieć, żeby się też kryli. A przecie...

Raz szedł w górę ubocza i napotkał człeka, który klęczał na dolince i, przyłożywszy ucho do ~~samej~~ ziemi, ~~słuchał~~ nadsłuchiwał. Tak by go był nadszedł, ale ten, posłyszawszy kroki z dołu, zerwał się ~~...~~ co prędzej i skoczył za najbliższe drzewo; stamtąd wyjrzał, ~~potem~~ a twarz Frankowi zdała się znajomą, ~~...~~ jakby ją gdzieś był przez sen widział. Rozwiane włosy, spadające ~~...~~ ku wązkim ramionom, ~~...~~ usta rozwarte śmiechem ~~...~~, ~~jak~~ oczy, jak dwie błyszczące kule, przerażone, wielkie... Musiał go już ~~gdzieś widzieć~~ kiedyś widzieć, ale nie ~~...~~ mógł przypomnieć sobie, gdzie i w jakim czasie.

— Cóż wy tu robicie? — ~~...~~ spytał, nadchodząc ku niemu.

Człek, bo inaczej trudno go nazywać, nie odpowiedział na te słowa, ino się roześmiał ~~...~~ a równocześnie z oczu wyjrzał dziwny lęk. Skoro Franek, ~~...~~, że się nie dogada, chciał się zabierać dalej, wtedy podszedł ku niemu i tajemniczo szepnął:

— Jest!

I ręką wskazał na dolinkę. A gdy widział, że Franek nie rozumie jeszcze, począł prawie szeptem gadać:

— Dzwonią... I to nie w jednem miejscu... Musi to ~~być pewno~~ być skarb, o jakim ucho nie słyszało.

Teraz ~~dopiero zrozumiał Franek~~, ~~kto jest ten~~ skąd zna tę postać człeczą. Z opowiadań... Tyle się o nim nasłuchał od ludzi, że ~~...~~ nieraz w myślach widywał ~~...~~ go żywym. Tak, to on, Jantek, poszukiwacz skarbów, którego po wsi zowią dyabłem...

— Nie wierzycie mi? — szeptał ciągle — Zejdźcie obrobinę. Ani wam się nic nie stanie, a przekonacie się sami...

~~Porwał~~ Pociągnął go za sobą na dolinkę.

— A teraz uważajcie! Albo nie... Wy tupnijcie, a ja będę słuchał...

Klęknął, jak wprzódy na ziemi, i przyłożył ucho.

— Tupnijcież! mocniej... A mocno! Jeszcze mocniej! Tak... ~~...~~ słyszycie ~~...~~ teraz? ~~...~~ O, jak dzwonią...

— Rzeczywiście...

— A co, nie mówiłem!

Przypadł ~~ku niemu~~ do Franka i z radości ściskał go za ramię. ~~...~~ Przyciem szeptał gorączkowo:

— ~~...~~ Muszą być pełne kotły miedzi... ale nie, miedź nie tak dzwoni. To musi być złoto...

Ostatnie słowo ~~...~~ wymówił prawie głośno, głosem nabrzmiałym radością bez miary. Nie zaprzeczał mu Franek, nawet ~~...~~ dodał, że i to możliwe. Po co — myślał — rozmuceać ~~...~~ człowieka, skoro i tak innego szczęścia nie ma. Niech się cieszy... A na dowód, że wierzy w ten skarb ukryty, spytał:

— Jakże go myślicie dobyć?

— Ja ta już poradzę... Ino ~~się~~ tyle dorobię, żebych se ~~...~~ motykę sprawił. To już o wiele mniejsze...

I z radością ogromną zawołał:

— Choćby mnie tu śmierć miała spotkać, to nie spocznę, ~~aże się dokopię... ...~~ i muszę ~~się~~ dokopać!

4.

Jakiś dziwny dreszcz owiał Franka. Ta dolinka miała wyraz, który niepokoi. Coś w niej było zaklętego... To prawda. Trza iść w górę — powiedział nieswojo.

Podprowadził go Jantek i nie mógł się mu dość nagadać o swoich nadziejach. Pierwszego człowieka spotkał, co go wysłuchiwał, to też chciał wszystkie myśli wypowiedzieć z serca.
— Ale ja was spotkam? — spytał na koniec — bo chciałbym wam opowiedzieć o tym buku próżnym...
— To zaglądnijcie do mnie wieczór...
— A kanyż wy nocujecie?
— W kolebie...
— Tak? To godnie macie spanie... Ja tu zajrzę czasem. A nie będzie wam za przeszkodę?

Nie czekając odpowiedzi, uścisnął Frankowi rękę i odszedł prędko. Z poza smreków obejrzał się jeszcze — i Franek dojrzał w jego twarzy ten sam wyraz dziwny: uśmiechu pomieszanego z przestrachem.
— Ma coś nieswojego...

Ile razy, idąc w górę, mijał tę dolinkę, zawdy mu się wychylała ta twarz z poza drzewa; ale nie mógłby przysiądz, czy ją widzi naprawdę, na jawie, czy mu się ono tak przedaje w oczach.

Inną zaś ciekawsze miał jeszcze spotkanie. Było to w czasie, kiedy pokończywszy przygotowania różne, zabrał się do ścinania na uboczy. Ledwo obalił pierwsze drzewo i echo jeszcze nie zginęło w lesie, gdy wypadł ku niemu z gąszcza nieznajomy człowiek i, chwytając go za rękę, zawołał z rozpaczą:
— Co robicie?! Zastanówcie się, przez litość, i miejcie sumienie... Czy nie widzicie, czyście ślepi, kielo się zamieszania sprawili, to drzewo ścinając? Żywina bez pamięci ucieka precz od siebie, a ptactwo lata [illegible], jak zwarjowane... Nie słyszycie tych płaczów, tych lamentów strasznych? Co ono was tak ogłuszyło przecie?

Franek się zdumiał, zastanowił i obejrzał wkoło.
— No dyć patrzcie — powiedział nieznajomy człowiek — a miejcie oczy ku patrzeniu... Co to [illegible] nad waszą głową?

Raczej ze zdziwieniem zauważał Franek, że to nie są przywidy człeka, ani bajki. Ptactwo latało bez upamiętania z żałosnym krzykiem, nie zwyczajnie. A on niec, widząc zastanowienie u Franka, jął łagodniej, z prośbą w głosie, przedstawiać mu dalej:
— To dopiero jedno drzewo... a tyle już postrachu wzbudziło dokoła. Oszczędzcie, kielo krzywdy zrobiliście światu. Bo nie myślcie, jako inni, że las, to jak zboże. Zetnie się i posieje i nowe wzrośnie. Tak ino myślą nierozumni, albo ci, co ni mają żadnego zmysłu. A jeżeli człek ma uszy, to na to, by słuchał, a oczy też nie na co innego, jak ino na to, aby patrzał. Ale patrzeć, moiściewy, to jeszcze nie sztuka, to i cielę potrafi, ino trzeba widzieć, trzeba umieć pokątnie oczami pomyśleć. To wtedy i las inaczej będzie się przedstawiał. Dyć to świat, niepodległy od naszego świata. A więcej w nim ciekawości, niżby se kto myślał. Mieszkają tu narody, nie głupsze od ludzi, choćby ino na ten przykład mrowczyce robotne. A innych stworzeń co niemiara, ani wyrachować. Żebyście tak uważniej przyjrzeli, przy-

stukali się mozolnie, jak to wszystko, co żyje... Gwar tyle przeróżnych, bo każde ma swoje, że choćby człek całe życie wsłuchiwał się pilnie, to się nigdy nie zdoła wszystkich porozumieć. To se możecie uważyć, kiedy tyle narodów. Teraz wam powiem. Taki przykład, może się wam przyda: ~~Pobudowaliście dom na [illegible] pagórku, z wielkim mozołem naznosiliście kamieni i gliny [illegible] piasku, kamieni i gliny, a to wszystko z mozołem [illegible] I zamieszka~~. Nie znacie kąta między ludźmi, szukacie osiedla, i przychodzicie w taką okolicę, gdzie możecie śmiało i bezpiecznie osiąść. Wyszukaliście odpowiednie miejsce i uradziliście se wraz ostatnio wybudować dom. Jeno z wielkim mozołem znosicie kamienie, piasek, glinę i belki i wszelaki przyrząd. Musicie sobie wozić i na sobie dźwigać, bo trudno się wyręczyć, jak go nima, a poza nie uprosicie, żeby wam dopomógł. Wreszcie, po długiej mozole postawiliście chałupę i porządzeli wszystko, jak się wyrządzić godziło. ~~Co dzień o świcie stajecie w okienku i, witając białe słońce, śpiewacie psalmy. Spokój macie za sąsiedztwo, szczęśliwość przy sobie. Aliści raptem jednej nocy~~. Teraz myślicie jno o tem, jakby ją gwarem zapełnić, aby cnie nie pustki w izbie i w całem osiedlu. Szukacie se towarzyszki, błąkacie się długo, aż napotykacie wreszcie stworzenie przepiękne, o włosach połyskujących, jak skrzydło jaskółki, któreście obłokiem stanęli przed wschodem słonka. Serce wasze bije [illegible] śpiewem, rozweseli się, jak ptaszę, i leci za wami, nie pytając, kamy, dokąd, na jakie wygnanie... A taką towarzyszkę mieć, to szczęście. Zaludniła wam chata i gwar w osiedlu. Tak mija rok i drugi, i trzeci się rozpoczyna bez żadnej odmiany. Codzień o świcie stajecie przy okienku i witacie białe słonko, śpiewacie se psalmy. Spokojność macie za sobą i szczęśliwość przy sobie. ~~Aliście raptem jednej nocy budzi was~~ ~~a tu huk na wami~~. I dnia jednego poszliście do lasu, aby rodzinie swojej przynieść jagód, albo korzeni jakich i dojrzewającej [illegible]. Raptem z daleka słyszycie huk straszliwy. Z bijącem sercem pędzicie na powrót — i cóż jest? zastali: w miejscu swojej chaty — Pustki... pagórek [illegible]. A tam w kołysce były dzieci... A matka przy nich...

Zaprzestał, obojętnie, posępnych z cicha:

— Co tu gwarzyć po drzewach...

— Człeku! — zawołał Franek — Chyba cię pieklo posłało na to, byś mię kusił... Ja tę ubocz muszę ścinać i muszę ją wyciąć, choćby dyabeł na dyable jechał! To nic nie pomoże...

Stała się rzecz niespodziana. Ten człowiek starawy, co już mocno siwe włosy miał nad śniadem czołem, przychylił się Rakoczemu do kolan i objął nogi jego drżącemi rękami.

— Ja was proszę, nie tnijcie... Niech ta ubocz stoi. Bo kany się zwierzyna zachroni przed burzą? A i człek czasem potrzebuje dachu...

Podniósł głowę i spojrzał, a w jego zielonych oczach było tyle smutku, co w jeziorach spokojnych, po zachodzie. Bruzdami twarzy zoranej i zastygłej toczyły się powoli dwie błyszczące łzy.

Rakoczego żal okrutny ścisnął tak za gardło, że nie mógł nijak słowa wypowiedzieć. Po chwili dopiero, podźwignąwszy starego od ziemi, rzekł:

— Cóż ja na to poradzę? Nie mój las... Podjąłem się ciąć, to muszę. A nie będę ja, to inni, to się inszych znajdzie...

— Jakoż to..? — wyszeptał zdziwiony, na Franka — To tu nie wasza wola...? A ja myślał...

— Że to niczyje? — poddał Franek.

Ale ten potrząsł głową.

— ~~Że to ludzkie~~ Nie... że to ludzkie — dokończył po cichu.

4.

... I ustał jeszcze na chwilę, ~~ostał~~, zamedytował, wreszcie poszedł, nie po-
wiedziawszy ani słowa ~~na po~~ naostatku. [Rakoczy patrzał za nim, ~~[illegible]~~
~~wołać, a potem~~ nie wiedząc, czy wołał, spodziewał się, że wróci, i czekał ~~[illegible]~~
~~długo~~. Skoro go już długi czas nie (widać było), uwierzył, że naprawdę
~~odszedł~~. ~~stracił się mu z oczu~~ Uczyniło mu się przykro i nad wyraz ciężko, ~~podobnie~~ ta-
kiej dusznoty w sercu nigdy nie doznawał. ~~I [illegible] odejście czło~~
~~wie~~ To milczące odejście zdało mu się wzgardą, jaką mu okazał
ten człowiek niewiadomego imienia. Gniewu jednak nie miał w sercu,
~~ani~~ a czuł winę wielką wobec jakiegoś trybunału, który go niewzywa.
Za tym człowiekiem poszły jego myśli... ~~I znów widział, zdumiony~~,
I z niepokojem ujrzał wkrótce jakieś pęknięcie w swoim ~~[illegible]~~,
jakąś szczerbę, co ~~[illegible]~~ mu duszę powoli rozdziera. I dziwna
rzecz: On, co zawsze czytał ~~[illegible]~~ między ludźmi [illegible] – wobec tego człowie-
ka nieznanego rodu, co mu się do kolan schylał, ~~[illegible]~~ widzi się,
jako pasterz, którzy chyląc schodzą ~~[illegible]~~. ~~Co go tak [illegible]~~? Czemu
go ten człek przerósł? – ~~Dumał~~ – Dumał czemu się nad niegodnym tak
wyrósł? Czoło jego, takie jasne, ~~[illegible]~~ jakby w słońcu, a oczy takie
~~[illegible]~~ przezroczyste jak dwa jeziora czyste... I myślał długo,
~~długo~~, medytował, przypominał słowa ~~jego~~, aż po niemałej chwili
szepnął:

– Jego miłość wielka...

Wyraźnie widział jego serce, jako morze ognia ~~[illegible]~~.

– I cóż moje nienawiści?

Po chwili znów dodał:

– U niego się tam poczyna świat, gdzie ~~[illegible]~~ innych końcy... Mnie
~~tak~~ się to być ~~[illegible]~~ ponura... Tyle narodów – posiada – ... ~~i~~
~~[illegible]~~ jako o swoich swój. Nic dziwota, że go boli, ale
co ja pocznę!.. ~~nie bez~~

Długo nadtem rozmyślał, siedząc na pniu drzewa.
Oddalona postać wotu, zdawało się czasem, że się ku niemu
~~przychylali~~ od wierzchołków ~~drzew~~ ~~[illegible]~~. To znów widział ją z oddali, jak
się przemieniała ~~[illegible]~~ niebo po za puszczą w koronę, a stwarzy po-
chylonej, ziemistej i szarej, bijąc czatę ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~,
~~[illegible] krople rosy~~ kropla, jak drobne rosy spadnie ~~[illegible]~~, Tu z igieł
leśnych. ~~[illegible]~~ Do południa tak przesiedział, dając myślom folgę.
W końcu ~~[illegible], opamiętał [illegible]~~ powstał, popa-
trzał po wysokim lesie i rzekł pod głosem:

– Darmo! Nie będę ja, to insi...

I ~~pójdę~~ ruszył ~~drugiej drogi~~ dalej.

II.

Jak był w dolinie, jak za czasów, kiedy stała huta.

Zawierucha się poczęła, potraciła rozum, jakby już przyszedł dla niej ostateczny dzień. Ptactwo się z wrzaskiem rozlatuje i obsiada jodle, pozostałe w uboczach z wyniszczonych lasów. Wiewiórkami obłęd wnosi z gałęzi na gałęź, dobiegają na kraj zbocza, na otwarte pole i tu głupieją do znaku, nie wiedząc, co począć. ~~[illegible]~~ Nawet zająca, który twardo sypia, obudził hałas lecący po drzewach. Przeciera łapami oczy i, wciąż nasłuchując, zrywa się w strachu wielkim...

– Co to?

– Ścinają las!..

– Można się jeszcze przespać, – mruknął – zanim do mnie dotrą...

I ułożył się na nowo, ~~[illegible]~~ ale nie mógł usnąć. Obawa go nachodziła, by nie zaspał czasem. Wstał i pomknął tą ~~[illegible]~~ ścieżką ~~[illegible]~~ dwadzieścia susów.

– Teraz mi bieda nic nie zrobi... Psa nie słychać z nikąd...

Lis, przezorniejszy, jak ino posłyszał pierwszy hałas w lesie i wymiarkował, o co chodzi, uczynił prędko naradę małżeńską i uradził z lisicą, aby się przenieść do innej uboczy. ~~Sam pośród na przesięki wyszukał kryjówkę, a lisica tymczasem przewiodczyła młode.~~

– Zawdy bezpieczniej zawczasu...

Sam pośród pomiędzy trawy, wyszukał kryjówkę, a lisica tymczasem przewiodczyła młode. I zabrali się ~~[illegible]~~ z kretesem; kości ino ~~[illegible]~~ świadectwo ostawiono, kamy było ich dawne osiedle. Przezorność nie zawadziła, bo las umniejszał się z dniem każdym.

Już biadę, ~~[illegible]~~ smreki, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ścielują uboczę, jak szereg ~~[illegible]~~ trupów olbrzymiego ~~[illegible]~~ wojska, odartych z broni i odzieży. Rakocy tnie, aż echo odbija się o przeciwległe zbocza; tnie zakończy ~~[illegible]~~ zawziętością las, a w stereń płacze. Spochmurniał, zczerniał, jak ten człowiek, który pełni zbrodnię.

Wieczorami dumał długo, siadujące ~~[illegible]~~ na progu. ~~[illegible]~~ Myśl i oczy jego ~~[illegible]~~ przyciągała ta ubocz nieszczęsna, którą musi ciąć, jak przy niewoli.

– Jedyna ubocz, którą las odziewa... Tak miło było ~~[illegible]~~ na niej okiem spocząć, ~~[illegible]~~ się wezrzeć w tę pustkę, w ten gołogór wielki. Wnet się już rozodzieje z zieloności miękkiej, i będzie oczy straszyć, jak te wyręby, co się po nagich zboczach cmentarzami wleką...

~~[illegible]~~ Dumające nadtem, minął wszystkich, cały świat w dole ostały. Ale i jemu sumienie nie dało spokoju. Już tyle zbrodni w swem mniemaniu popełnił w tym lesie, że nie wierzył, aby odtąd mógł spokojnie sypiać. Chodziły za nim wspomnienia bolesne, nie mogły się im nijak ognać, a jedno najbardziej go trapiło. Była to pamięć smutnego wypadku, jaki się ~~[illegible]~~ zdarzył raz przy starej jodli. ~~[illegible]~~ Ścinął ją długo, ~~i nie~~ a nie postrzegł, że u ~~[illegible]~~ samego wierzchu ~~[illegible]~~ w rozłożystych gałęziach było gniazdo orle; dopiero, jak gruchnęła o ziemię, obaczył. Wypadły z nie pisklęta, na miazgę stłuczone. Żal mu ożarł serce na ten widok, ale jeszcze większą uczuł żałość, gdy po niejakim czasie zleciała orlica i, kołując ponad lasem, szukała ojczyma gniazda. Skoro dojrzała nieszczęście, wydała krzyk dziwny, ścinający przestrachem krew w żyłach człowieka. Zdawało się Frankowi, że mu na łeb spadnie i wdziobie mu się pomstą do samego mózgu.

Stał w niemem oczekiwaniu, jak po wielkiej zbrodni, gotów ponieść wszelką karę i największą, byle nie mieć w sercu trwogi. A orlica, gnana bólem, wzbiła się wysoko i, kołując bezustannie, krzyczała, jak dziecko, jak małe niemowlę czasem, kiedy się w płaczu do zmroku zapomni.

— Uli! Uli!

Słychać było ten lament przez cały dzień, nazajutrz i w następne święto. Nie wiedział zresztą, jak długo, bo już i tydzień minął, a on słyszał to wołanie ciągle. Zdawało się, że wszędzie ten płacz za nim pójdzie, że go już nigdy w życiu nie opuści.

Zbaczyła mu się nieraz przyprowadzić nieznajomego. I ten czasowo z dnia na dzień stawał mu się bliższym, choć go już potem długo nikt nie widział.

Dyabła spotykał częściej w lesie, nawet go u siebie gościł, ale snać i ten nie lubiał w domach bywać, bo, mimo, że z dnia na dzień obiecywał zajrzeć, nie zachodził, i pewnie nie pokazałby się do ostatka, gdyby go była bieda nie dognała.

Nadeszła ulewa, przez trzy dni deszcz lał bezustanku, zdawało się, że potop drugi na świat przyszedł. Rakoczy nie opuszczał swojego schroniska, ale co chwilę wyzierał na pole patrząc po jednakim, ołowianem niebie, wyczekując z utęsknieniem, rychło też te chmury przejdą. Wody buchały na dół roztokami z takiem warczeniem i wściekłością, że zdawało się, iż brzegi poszarpią i skały zdrapią do imentu. Na trzeci dzień deszcz polżył, ale wody nie opadły z sił, jeno mocniej targały brzegami. Nad wieczorem Franek wyszedł, zarzuciwszy smrekową skórę na ramiona, i chodził w deszczu, jak płanetnik, wzdłuż wyżej roztoki, przypatrując się zapasom rozwścieklonych fal, które dźwigały w zmętniałych otchłaniach połamane drzewce i dźwigały na grzbietach, okrytych pianą, straszne, potworne pnie, wyrwane z brzegu. I błądził ponad wodą w zapatrzeniu cichym, aż chmury nocą opadły ku ziemi; wtedy wrócił do koleby, rozpalił ogniska i począł się ogrzewać, siedząc przy watrze. Ogień trzaskał, pożerając bukowe gałęzie, iskry wylatywały z dymem pod samą powałę. Ogrzał się i począł myśleć o jakiej wieczerzy. Wtedy to niespodzianie zaskrzypiały wrota i wychyliła się z pomroki twarz dobrze znajoma: łęk w niej był i śmiech, dziwnie podobny do płaczu.

— Wejdźcie dalej! — poprosił Rakoczy.

— A nie będzie wam za przeszkodę?

— Cóż też myślicie! Przecie ja tu sam i ścmęci mi się chce na piekle. Od trzech dni już pokutuję... Ale, bójcie się biedy, człeku, zanyż-ecie wy tak zmokli?

Dyabeł się uśmiechnął przykro. Cała odzież była na nim do nitki przemokła, z wiórów posklejanych. Cichym woda się toczyła. Nie mógł się nijak poruszać, bo wszystko przylgnęło na nim, jak ślepota; gdzie stanął — stawek zaraz utworzył się z wody.

— A grzejcie się! — wołał Franek — to was zimnica roztrzęsie...

Dyabeł, klepiąc zębami, zbliżył się ku watrze.

— Przemokłem pouczście tęsknoty — jakby się tu nie zapastował, nie, ale mi ognia brakło...

— To czemuście odrazu nie przyszli?

— Kiedy tak... Myślałem se, że to przetrwam... że to może jako przetrwam... Ale ono, że to wnet ustanie... pie i niepogoda doczekał się końca.

i kamyście nocowali?
— Haiże, w jedli pod ~~[illegible]~~ Czeską... I godne było spanie jeszcze, pokiela w środku było sucho, bo jodła hruba, ~~[illegible]~~ wypróchniała do imentu na wewnątrz, ale, jak zamokło z dołu, i z góry poczęło kapać, to już ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Tęło płakć, ~~cobyś stał, [illegible] abo siedział~~ cobyś i na deszczu stał, jednako zmoczy.

Obracał się przy [illegible], susząc się dokoła. Para z niego szła, jak dym z ~~[illegible]~~ zwilżonego słoty, gdy się go zatli od wnętrza ~~[illegible]~~ wywietrzałą kubłą. Skoro się już osuszył, cofnął się ku ścianie i, stojąc w milczeniu, ~~[illegible]~~ z dala, śledził oczyma ziemniaki, które Franek ~~[illegible]~~ miesząc w ogniu bukową gałęzią. Widząc to Franek, poprosił go zaraz, aby sobie wybierał, które się upiekły. ~~Dy~~ Ale dziad się ociągał.
— Cóżby wam ostało?
— ~~Nie~~ U mnie się ~~już~~ nie zbędzie. ~~[illegible]~~ przecie nie ostatki...

Wtedy się zbliżył nieśmiało i począł ~~[illegible]~~ wyjmować, ale wybierał, ani szukał, które upieczone, nie oskrabywał ~~[illegible]~~ ani soli nie używał do nich, ale brał z kraja, bezustanku i połykał prędko ~~[illegible]~~, dmuchając się, parząc, ~~[illegible]~~ wykrzywiając twarz na wszystkie strony. Oczy mu natiekły łzami, czoło i lica krwią. Wnet porozpinał wszystkie, do jednego i, obaczywszy, że już niema, obejrzał się z przestrachem na Franka, który stał ugatujając wszystkie i smutnie mu się przypatrywał.
— Zaczekajcie — szepnął Franek, ~~[illegible]~~ skoczył w kąt ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~ w trochę garnki dwa ~~[illegible]~~ razy tyle ziemniaków ~~[illegible]~~. ~~[illegible]~~ Pozagrzebał je po węglach, i, dokładając drew do ognia, dymiącego z boku, rzekł:
— Wnet się upieką...

Dziad w milczeniu ~~[illegible]~~ stał i czekał, a potem już śmielej przy Franku ~~[illegible]~~ starając się zatrzeć jako pierwsze takomstwo.
— Bo czasem — mówił — to się ta i nie je... Najgorzej, jak słota padnie. Wtedy ~~[illegible]~~ znikąd nic...

A Franek już go przyjaźnie, wypytując przeróżnie o wszystko, ~~[illegible]~~ co go trapiło, i w końcu zagadnął:
— Moglibyście u mnie dłużej ostać. ~~[illegible]~~ Byłoby i wam lepiej...
— Kiedy ~~ja~~ się boję...
— Czego się macie bać?

Dziad się przybliżył ku niemu i, ~~[illegible]~~ zniżając głos do szeptu, odrzekł:
— Tam ludzie chodzą, wypatrują, mogliby mnie podejść... Ja odnajdę, wyszukam, a oni mogą przyjść, wykopać i zabrać, jak swoje. Trza dniem i nocą ~~[illegible]~~, pilnować uparcie, ~~[illegible]~~ aby kiedy widział dobrze, że się nie daza ~~[illegible]~~! ~~[illegible]~~ Bo takomstwo, to gorsze, niżby se kto myślał. Ono się i zdrady chwyci, aby ono dostać. ~~[illegible]~~ Nikt jeden śmieje się z tego, co ja opowiadam, a po cichu przedrzeźnia, jakby mnie tu ubrał. ~~[illegible]~~ Wy nie znacie, nie wiecie, jaki to lud chytry. Oni mnie tak pilnie śledzą, jak te psy zająca. Taki i Cyrek nieprzyjaciel... Krok w krok za mną chodzi, ~~[illegible]~~ i podpatruje, co robię. ~~Ja nie wiem~~ Skąd on na to czas bierze, powiedzcie... Kaj ja zajdę, tam i on. Com ja go trzy razy na dzień spotkam! A zawdy, jak mnie uzrzy, udaje, że czegoś szuka (to okpiś, nie wierzcie mu, żebyście go nadeszli, to się w żadną gwarę z nim nie wdajcie) ale czy to ono jedno? Oni się wszyscy na mnie zaprzysięgli...

~~Po chwili dodał ciszej~~:

— ~~Ale ci taki i tak głupi, bo szukają tam, kany nic nima... Ja ino wiem o tych miejscach~~. Tak, tak. Dzięki za dobre słowo, ale wam nie przyznam się. Bo tam jest czego pilnować. Ho! — podniósł w górę oczy — ~~tam~~ jest takie, że o jakich ucho nie słyszało. Ino się trza umieć dobyć, trza wiedzieć, kany stukać. Bo są i miejsca bałamutne, które głupich zwodzą. Sto razy można przejść i minąć, a nic się nie wyśni. ~~[illegible]~~ ... Ja ino wiem o miejscach, ale mnie nie zdradzicie...

Przytknął gnatek ku nalepie, siedzi wysoko i, przygarbiony, ~~[illegible]~~ począł opowiadać. ~~[illegible]~~ Dźwigał się do jego ucha z tajemniczym szeptem, albo opadał i mówił, jakoby do siebie. Gorączka nim owładnęła, jakiś obłęd dziwny, śmiech i przestrach naprzemian chodziły po twarzy.

— Niedaleko pod Czeską jest piach wyprochniały, a pod tym piachem, siedem łokci w ziemię, znajduje się pełny kocioł srebła... Nie wierzycie mi? Idźcie kiedy w nocy, a obaczycie już zdaleka, jak się ~~[illegible]~~ biało świeci. Bo co noc na tym piachu srebło się przesusza... Ale niech was Bóg uchroni nabliżać się wtedy.

Przestrach mu z oczu patrzał, kiedy mówił dalej:

— Ja taki śmiały był, że ze głodu... ~~Jak pięknie, powiadam wam, [illegible]~~ alem się zaprzysiągł, że ~~już~~ drugiej razy ~~nie [illegible]~~ że to nie odważę.

— Cóż was takiego spotkało?

— Czy ja wiem? Do dziś dnia nie umiem nazwać, co to było. Ni ptak, ni zwierzę, ni jaka potwora... Wyleciało z takim szumem, żem się ledwo od wiatru na nogach utrzymał; jużem też nie czekał dłużej, bo mnie strach ogarnął.

Po niemałej chwili rzekł:

— Wiem o jednym miejscu, kany jeszcze oko ludzkie nie stanęło z bliska. Jest tam buk, okręcony dookoła jodłą; ~~tak żyją razem w uściskach, jak mąż i niewiasta zgodne~~ tak się trzymają wściśnie, jako brat ze siostrą, a bo i inaczej, bo ja nie wiem, dość, że razem rosną. Pod tym bukiem jest ~~[illegible]~~ garnek, przykryty skrzynką, a w tym zielezniaku pełno ~~[illegible]~~ dukatów. Czy wy to miarkujecie, jakie ~~tam~~ bogactwo! Cały kraj by można to nabyć i ostałoby jeszcze na dnie ~~[illegible]~~ na jaką złą godzinę... Uważcie! ale ~~największy skarb, zachodu warty, to w tej dolinie~~, kto jest bogaty skarb jest w owej dolince, o której wiecie, bo ja wam powiedział. Co ja też razy tamtędy przechodził! I nigdy mi na myśl nie wpadło... Aż jednego dnia idę z góry, a tu ziemia dzwoni. Staję, ~~[illegible]~~ słucham, dyć wiecie, boście na to przyszli. Dopierom potem poznał, że to owo przejście, któregom tyle lat szukał po wszystkich ubioczach. Jest o niem dużo różnych opowieści. Jedno powiada: jest tam kłoda, pod tą kłodą strzelba, a od tej strzelby na sto kroków znajduje się kamień, a z pod tego kamienia prowadzi wchód, jak do piwnicy, prosiuteńko do schowu... To ino niewiadomo, która to ta kłoda, bo tam ich jest niemało, a wszystkie jednakie. Ale to tak: kto jest godny, to ją prędko znajdzie, ~~nie sam~~ ~~się podda~~, a kto nie, choćby ją znalazł, to mu się w oczach skryje. Ja też, niewyrzeczony, szukam siedem dni, co tydzień, a co siódmy ~~dzień~~, to ~~jem~~ nie jem. Może dostąpię kiedy tego szczęścia...

Oczy mu zaszły mgłą, i kiwał się na gnatku, dumając.

— Wiecie wy, z czego ~~znowu~~ — jaki mi wypadek trafił? ~~Zaszło~~ Wychodzę raz na Turbaczyk ~~pod [illegible]~~ było to w południe, i napotykam u wierzchu mały otwór w ziemi, zdawało się: lisia jama, ~~ale~~ nie dowierzał. Gdym próbuję ~~na~~ stopami, ziemia się osuwa, i wnet się odkryła przepaść. Zaglądam do wnętrza, a tam schody, jakby do piwnicy. Ja też, nie wiele myśląc, ułamał gałęzi na drzewie, natoczył smoły i oblał ją dookoła, zapaliłem jednym końcem ~~drugi trzymam~~ w ręku świecąc, ~~idę~~,

drugi wiązek do garści i zgłodzę. Tych schodów było dość niemało, alem nie rachował. Skorom już ostatni minął, słyszę szmer podobny, jaki potoczek wydaje, kiedy płynie przez wysoki las. Co to może być? dumam, postępuję naprzód i przekonuję się, że to nic innego, ino woda. Przyświecam bliżej ku tej rzece i widzę nad nią kładkę. Próbuję nogą, ale drewno zbutwiałe widocznie, rozsypało się jak próchno; cofnąłem się zaraz i poświecę dalej pod nogi, napotkałem nóż. Biorę do ręki, oglądam, trzonek się rozleciał, a żelazo pozostało rdzą zjedzone całkiem. W te razy światło zgasło, i wiater taki dmuchnął, że mi od lodu zęby zgrzytnęły. ... Do dziś nie wiem, jakem się znalazł na wierzchu.

Franek, który przy wyliczaniu przez Dyabła mających skarby, zdawał się przysłuchiwać innemu myśleć(?), w ostatniej opiecie(?) słuchał z ciekawością i patrzał pilnie w oczy mówiącego, a gdy ten ustał, zagadnął:

— Coż was tam ciągło w ten loch?

— Czy ja wiem? Ciekawość możeba...

— Byliście tam potem?

— Nie był...

Franek długo przerywał myśli, zanim spytał:

— A nie wiecie co o tym kamieniu, co na Czole Turbana spoczywa?

— Oho! ... — żeby skarb wydostać, co tam pod nim leży!.. Ale to ..., niesporo(?), sam Dyabeł pilnuje. On przyniósł tę skałę z Krzemu(?) i mocno przygniótł. Są tam na niej litery, których nikt nie zgadnie. Kto je będzie umiał (znał) odczytać, temu się otworzy. Ale taki się nie znajdzie.

Zamyślił się i ..., jak we śnie:

— Tam jest skarb, o jakim ucho...

Rakoczy widział, że się więcej od niego nie dowie. Przygotował mu posłanie i sam już drzemał(?) o sprawach. Przyszło mu jeszcze na myśl zapytać się o nieznajomego.

— Nie widzieliście tu człeka, niedużego wzrostu, przytomnego(?), ...

— To Cyrek! Przecie ja wam opowiadał o nim, jak mie wszędy podpatruje...

— Kimże on nareszcie(?)?

— Czy ja wiem? Powie to człekowi? On się tak umie ukrywać, jak ten kret(?) przebiegły.

I począł rozpowiadać na nowo, obszernie, jakie go nie prześladowcy w tym ... Rakoczy usnął już, a ten się skarżył, i któż wie dokąd i jak długo, bo rano nie mógł się dowiedzieć. Gdy się obudził i rozejrzał, Dyabła już nie było. Chmur nigdzie na niebie, pogoda, jak uśmiech, jeno oczekające ros gdzieniegdzie świadczą o niedawno minionej ulewie.

Franek z podwójną siłą zabrał się do pracy. Wyrwane z ziemi powstały na nowo, a krzywdy obiegłe przy pracy gromady. Obalając karne(?) smreki, przypominał sobie czyny tego człeka, którego Dyabeł nazwał Cyrkiem.

— Nie mógł mu inaczej wymyślać — bo jako cyrek w drewno, tak mi się wwiercał w mózg pamięcią swoją. Nawet doznaką ...ję, żeby się mógł inaczej nazywać, niż Cyrek. Mały to chrobak, ale do drewna ... dzie drewnem i trocinami pomału, aże całe zniszczy; nie ostoi się choćby najgrubsze, przed tą zajadłą, maleńką owadą. Tak i ten człek niebożej myśli moje trapi. Coś w nim jest, co bezustanku chodzi za człowiekiem. Niedarmo też i Dyabeł uskarżał się na to... Dziwne: trzech nas ino w tej puszczy, a już nam za ciasno. I jakże tacy mają wszyscy ludzie żyć?

Próbował się rozweselać, ale mu się nie dało.

Spodziewał się z dnia na dzień, ściskając zawzięcie, że Cyrek przyjdzie z wyrzutami. Zachmurzył się zdumieniem, jak go niepokoiła ta twarz surowa, widziana w myślach nieustannie. Czekał się wtedy i złościł sam na siebie.

– Co on mię ma niepokoić? Czy ja co zawinił z Ksieniam, bo muszę, bom dał jej święte słowo. I nikt nie śmie rzec, żem źleby, że nie dotrzymam do końca. Wolałbym i ja naprawdę chodzić, jak ten zwierz, po lesie, dumając nad swojem życiem, ale skoro mi tak padło, to się nie oderwę. Jak on śmie nademną stawać? Mizerna cidecyna... Ja śmie osądzać moje czyny? Jakiem żywym prawem?

Myślał, że oburzeniem pokona go łacno i odżenie od siebie tę zmorę milczącą, ale się nijak nie dało. Postać surowa rosła ciągle i stawała nad nim. Taki majestat był w niej, jak w tych smrekach, które w milczeniu czekają na ścięcie. Rozchwiany trwogą i wyrzutami gusłowymi, począł nareszcie pragnąć, by go ujrzeć i wyspowiadał się z czynu, jaki spełnia po niewoli własnej.

– Powiem mu, że sam boleję, niech się już nie gniewa. Bo gorzej by jeszcze było, jakby insi przyszli. Ja przynajmniej ochraniam nierosłe drzewka, tak umarznie obalam podcinięte smreki, aby je nie połamały, baczę też przódzi, zanim zetnę, czy nie ma gniazda jakich, na wszystko dają pozór i chronię, co mogę – a insi by szli, jak burza, która wszystko niszczy. To mu powiem, niech dłużej nie chowa urazy. Żeby ino wyszedł ku mnie...

Zdarzyło się raz we święto, gdy nad wieczorem błąkał się po lesie, iż sam znienacka naszedł Cyrka. Stał on przy jakimś kopcu mrówkim i, nachylony nad ziemią, zdawał się nie widzieć Franka, aż ten przywitał go nieśmiało, wtedy podniósł głowę.

– Nad czem że to tak dumacie?

– A tak se ta patrzę...

– Widzę, mrówki was zajmują?

– A zajmują bardzo.

– Cóż tam u nich ciekawego?

– No by chodźcie bliżej...

Usunął się i odsłonił ruchliwe mrowisko.

– A drugie – wskazał ręką na sąsiedni kopiec.

Franek przyglądał się blisko i udawał mimo woli ogromne zajęcie. To się, widać, spodobało Cyrkowi, który śledził z uwagą twarz jego i, przysuwając się, szepnął:

– Widzicie, jak one żyją... rozumniej, niż ludzie.

Po chwili dodał dużo milszym głosem:

– Co ja im się tu napatrzę! A nigdy mi się nie nudzi. Zawdy coś nowego znajdę w tym ciekawym świecie. A jakie one mają porządki, przypatrzcie się dobrze, co tu tera było roboty, a zmysłu dużego! A jak one robotę dzielą między siebie... Te budują, mają, widać, talent do budowy, te obrabiają zgrabnie belki, a insze zwożą zewsząd drzewo, piasek i kamienie. A są jeszcze i pomocnice, które pomagają tamtym, aby prędzej robota szła, i widzicie, jak podają belki i wynoszą piasek, ziemię, co i potrzeba. Albo lecą naprzeciw tamtych, co zwożą materyał z pola, i jak widzą, że której ciężko, to jej dopomagają; jedna bierze za jeden koniec, druga za drugi i niosą. Tak się wzajem wspierają.

Franka począł ciekawić ten rozumny wykład, przypatrywał się uważniej i sprawdzał oczami słowa, zachęcając pytaniami do dalszych wywodów. Cyrek się też nie dał prosić, rad był, że go Franek słucha z podziwieniem w oczach i prawił dalej, pokazując:

— Widzicie tę mrówkę, tu, opodal od kopca, na końcu wystającej do góry gałązki? Stoi na samym czubku, a podnosi się na zadnie nogi wspięta. Wiecie, po co ona aż tam wyszła?
— No?
— Stoi na warcie... Nie widzicie, że tam jest obce mrowisko? Nie jedna, bo ich jest więcej, wypatrują pilnie, i jak tylko jaka zdradzika, zaraz dają znać. I z tamtej strony tak samo. Ale zbliżcie się prędziutko i patrzcie uważnie, bo teraz będzie ciekawa historya. Widzicie: Z góry idzie chrząszcz wąsiaty, prosto na linię, która odgranicza oba państwa. Dojrzały go już straże, jedna leci z wartą do mrowiska, daje znać, patrzcie, że część porzuca robotę, idzie za nią, zbliżają się prędko do granicy. Ale i z tamtej strony idzie oddział równy i tam już widać dzielnych zawczasu. Poczyna się utarczka: te chcą go zabrać do mrowiska, i tamte nie opuszczają swego, te ciągną za nogi z jednej strony, a tamte znowu z drugiej. Chrząszcz biedny zapiera się wszelkiemi siłami. O, nowy oddział przychodzi na pomoc... i stamtąd strony również! Będzie walka. Widzicie, jak się już kotłują, popychają i gniotą do upadłego. Coraz nowe oddziały śpieszą ku granicy. Gorączka już wojenna owładnęła całym mrowiskiem, zamarła praca pozostała. Ta, patrzcie, niosła belkę, rzuciła po drodze i pędzi, co ino sił, swoim ku pomocy... No, już dość, mogłyby się powojować na piękne. Szkoda strat, niech se raczej pilnują swych robót.

Mówiąc to, sięgnął smrekową gałązką, wyjął z pośród nich chrząszcza i odrzucił na bok.
— Odejdzie im ochota po granicach chodzić... Teraz patrzcie: zdumione, nie ogarnęło rzeczy... Rozbiegają się prędko, jak w osłupieniu.
— Pewnie myślą, — rzekł Franek z uśmiechem — że się stał cud?

A Cyrek na to zadumał się chwilę i szepnął cicho, patrząc w ziemię:
— Kto wie, może i tak myślą...

Prędko jednak wyrwał się z zamyślenia swego i jął Frankowi dalej opowiadać o ich obyczajach różnych, których się napatrzył.
— A wiecie, jak one się witają ze sobą? Jak się dwie spotkają w drodze, to się wzajemnie trącają różkami. A chodzą zawdy jedną ścieżką, jak ludzie gościńcem. Jak natrafiają na wodę, to próbują z brzegu, czy nie za głęboko, bo jak się nie da przeprawić, to szukają mostu. Za taki most, to im nieraz służy patyk, albo źdźbło rzucone. One se zawdy umieją radzić. A teraz powiem wam rzecz najciekawszą. Wiecie wy, że one se chowają krowy?
— Co mówicie? — roześmiał się Franek.
— I doją je i mają mleko... Bajek wam nie plotę. Dyć się przypatrzcie mrowisku, obaczycie wnet, że są tam skrzydlate mrówki, które nic nie robią. To są, wiecie, te ich krowy...
— Jakimże sposobem?
— Pytacie się, jak doją?.. Juści że nie tak, jak nasze. Łechcą je różkami po grzbiecie, a te im wydają w bańkach białą, jak mleko, ciecz, którą bardzo rade ssą, zwłaszcza młode, bo starsze to zaś chciwsze na owadzią krew.
— No powiedzcie... A jakże-ście wy na to przyszli?
— Ba, czy ja to nie mam czasu patrzeć? Świat mię zajmuje; kto to wie, aby go cały poznać...

Pochwili zaś na odchodnem, dorzucił po cichu:
— Mrówkami trzeba umieć myśleć...

16.

Franek przybaczył, że to zdanie już od Cyrka słyszał wówczas, kiedy ten go namawiał, aby przestał ciąć. Zbaczywszy mu się, że ino jego milczące odejście i począł, postępując obok, przyzierać się twarzy jego, czy nie dojrzy cienia wzgardy, jaką by mógł chować w sercu, nie okazując po wierzchu. Ale nie widział poślaku i zgadnąć nie umiał. Twarz była ziemista, szara, osłonięta smutkiem, jak rola sucha, dawno poorana, gdy ją wieczorna mgła oprószy; oczy z niej wyzierały, jak dwa stawy, które opar zamglił. Takim szarym smutkiem pole popatrzał na Kołodzieja, kiedy go ten, nie mogąc niepewności zżyć, zagadnął:

— Nie chowacie już do mnie urazy?

— O co?

— Że ścinam ten las...

— Nie, bo wiem, że to nie wasza wola. Ino mi żal stworzenia, co marnieje przez to...

— Wierzcie, że mi do płaczu przychodzi, jak se o tem zbaczę...

— Tak to niewolnemu człeku...

Zadumali się oba i stali w milczeniu. Pierwszy Cyrek podniósł głowę, obejrzał się za słońcem schowanem za wierchy i ozwał się z westchnieniem:

— Hano, bądźcie zdrowi...

Franek, jak zbudzony ze snu, spytał:

— Dokądże idziecie?

— Do chałupy — odrzekł Cyrek z żałosnym uśmiechem.

— Daleko macie?

— Jak czasem...

Franek się zmiarkował. Ale Cyrek dodał jeszcze:

— Źle w jednem miejscu ostawać, bo człowiek przywyka. Potem żal, jak musi odejść. A mnie raz tak padło...

— Nie zajrzycie do mnie kiedy?

— Będę widział, jak czas pozwoli...

— Wpadnijcie na wieczór.

Podali sobie ręce i rozeszli się w pogodzie. Franek aż lekkiej stąpał, że się pozbył niemiłej myśli, która mu każde cięcie smreka odbijała w mózgu. Teraz już — rześciej pójdzie robota — pomyślał — byle ino deszcz nie odganiał za często.

I zajęczała na nowo dolina, każdy pniak oddawał echo uderzeń siekiery. Zdawało się, że stu ludzi tnie tę ubocz lesistą. Smreki padały z trzaskiem, jakby je piorun obalał.

Franek, tupiąc ze śmiecia obalonego drzewa, ocierał często rękawem pot z czoła i spoglądał z utęsknieniem ku górnej uboczy.

— Jeszcze do wierchu daleko...

Sporo czasu minęło, odkąd zaczął ciąć. Widziało mu się, że się wnet upora, a tu się wlecze, jak to życie strapionego człeka. I coraz ciężej, dni ubywa, a końca nie widać.

— Czy ten las przyrasta w nocy? — pytał się ze złością.

Z początku ponaznaczał siekierą na drzewach, gdzie na jaki czas ma dociąć; do czasu oddania pracy tygodniowej rozłożył ją liniją wzdłuż całej uboczy. Postawił też, jako cel, przewidujący parę dni leżących na przeszkody. I tak się zaberpoczył od dzisiaj lenistwa, gdyby go miał ochotę kiedy zapastować. Ale ze smutkiem postrzegł niezadługo, że raz dzień kurczą, a ubocz wyciąga. Znużył się poczynały i utracił moc [illegible] niewoływania stałości w sobie, cały ten powróz, ciągnący do wierchu, stargał się, nie porada powiązać na nowo. Wziął nad wyraz dni, ale na darmo; widział, że jeśli ich nie zdwoi, to nie zetnie na czas.

~~a to twierdzą, że nieporadek taka~~,
- Taka twierdza, jak żywa skała. Rąb i rąb, a nie ubywa ~~[illegible]~~. Ucinać się doznaku...

A było jeszcze jedno powodujące utrapienie, coraz to natarczywiej nachodzące ~~jego~~ duszę, ~~do~~ czego jednak nie chciał widzieć i krył sam przed sobą. Była to powstająca: tęsknota za ludźmi... Zrazu nie ~~[illegible]~~ mógł uwierzyć. Przecie od nich uciekł i szukał miejsca, gdzieby ich nie było. A potem rad był, że ich ~~poro~~ stawił w dole razem z gwarem i że odetchnie ~~[illegible]~~ piersią pełną, nie mając nikogo. Nie ~~p~~ była to przecie złuda, bo gnany tą jedną myślą wszystkiego odniepadł... Nie mógł nijako wy~~ro~~zrozumieć, skąd się ta tęsknota bierze. A czuł ją w sercu i poznawał, że z dnia na dzień rośnie. Widział, jak w tem oddaleniu wady ich zmalały, stali się jacyś lepsi, szczersi i pełni uśmiechów. Nieraz miał chęć wyrzuty, że źle na nich patrzał. ~~Pragnął [illegible]~~ I coraz ~~częściej~~ więcej, choć nieświadom, pragnął obaczyć jaką twarz znajomą, posłuchać choćby plotek latających po wsi.

Z tęsknoty owej wyłaniało się cierpienie, gdy pomyślał o Hance... Z początku gniew do ludzi ~~[illegible]~~ zasłaniał mu jej postać, potem obawa, co jej powie, gdy spyta o wypłat, oddalała ~~mu~~ chęć widzenia jej. ~~Ale zaczem pomału tęsknota przemogła~~ Postanawiał, że wówczas obaczy się z nią, kiedy zetnie tę ubocz i złotówki otrzyma. Ta myśl będzie mu jeszcze podwajała siłę. Sądził, że ~~[illegible]~~ ten czas spłynie, jak fala roztoką. A tu końca nie widać, doczekać się trudno, a tu się cnie... I coraz częściej widywał ją w myślach i coraz bardziej tęsknił za jej głosem. Czasem robotę przerywał, ~~[illegible]~~, stawał, słuchał, czy nie usłyszy jej wołania skąd... Ale ino dzięcioł z lasu odpowiadał kuciem. Wtedy go ~~[illegible]~~ żal ogarniał i szeptał z wyrzutem:
- Mogłaby przyjść... przylecieć, choć na małą chwilę. Musieli jej przecie ludzie donieść... ~~[illegible]~~ (kaj się podziewam)

Raz mu ~~[illegible]~~ przyszło na myśl, czy nie chora... I odtąd niespokojność rosła w jego sercu, stawała się z dniem każdym coraz dokuczliwsza. Chwilami nawet nachodził go lęk.
- Kto wie, co tam może zaszło... Tu nikt nie doniesie...

Postanowił w najbliższe święto ~~[illegible]~~ zajrzeć na dół do wsi, a jeśli jej nie obaczy, to się choć dowie od ludzi, jak się jej powodzi.

I takim niepokojem ciężkim obarczony, kiedy schodził raz ku wieczorowi z uboczy leśnej, napotkał przy samej drodze ~~ni~~ podletnią niewiastę, która zawiązywała ~~[illegible]~~ gałęzie [illegible]. Rozradowało się jegoś, choć ją ~~mało~~ znał z widzenia ~~[illegible]~~, przywitał ~~ją~~ serdeczniej, niż chrzestną matkę. Usiadł koło niej na przyłaku i jął się zaraz rozpytywać.
- Cóż tam słychać w Przystopiu?
- Jak zawdy... Biedy kroćsetnej moc i tyle.
- Ale ludzie zdrowi?
- Chwała Bogu... Nikto nam nie umarł. Niektóry ino choruje...

Franek się ~~[illegible]~~ namyślał chwilę, jak ma dojść do Hanki.
- Siostry mojej nie widzieliście ~~tu kiedy~~? - zapytał.
- ~~[illegible]~~ Ba! Byłaby se do znaku zabawiła... A to przecie ~~wi~~ nie wiecie, skoroście tu w lesie...
- Cóż takiego? - z niepokojem ~~[illegible]~~.
- Co takiego!... Wybrała swojego chłopa i teraz go leczy!
- Kto?
- Dyć nie kto, ino Zośka...
- Moja siostra? - roześmiał się - Jakimże sposobem? O co? Bo mi się nie chce wierzyć...
~~- Jakim sposobem~~ Przyszło między nimi do wymówek... O co? To wam już nie powiem, bo jedni tak ~~[illegible]~~ gadają, a drudzy inaczej. Podobno o jakiś wypłat... Ale ~~[illegible]~~ mnie ~~to~~ ~~[illegible]~~ było ~~[illegible]~~, bo przecię siostr nie ma więcej, a wam się połowa przy tury, jako jedynemu. Nie słychać też było ~~[illegible]~~, żebyście w niezgodzie byli.

– No i cóż ~~dalej~~? – przerwał ~~[illegible]~~

– Dyć opowiem… Przyszło zaraz do wymówek, a potem ~~do bitki~~ z tego do tego, nareszcie do bitki. Musiała go i ona niemało napalić, kiedy Jędrek, człek spokojny, a podniósł rękę…

– To on ~~pierwszy~~ ją uderzył?!–

– Juści podobno on… Klapnął ją ta, powiadają, lekko po ramieniu, ce ta wtedy, jak nie skoczy, jak nie porwie łaski z młynka!.. „To ty, ~~niepiłaku~~ powiada, śmiesz na mnie rękę podnosić?! A dyć mi ty za pastérne powinieneś służyć…” I sprała, jak się należy, a potem wypchnęła za drzwi. „Idź, – powiada, – kaj chcesz, niech cię oczy moje nie widzą!..

Kłosowy śmiał się głośno, ~~tak go to rozweseliło~~ przekpiwając rzecz głośno.

– No patrzcie… ~~Nigdy~~ Ani bych se nigdy nie pomyślał! Taka się wydawała ~~potulna, jak owca~~ przy nim bojaźliwa…

– ~~Aha~~ No dyć widzicie, co to gniew potrafi.

– I jakie się zgodzili?

– Tego nie umiem powiedzieć. Podobno przysyłał brata i błagał na wszystko w świecie, żeby ~~mu dała~~ go przyjęła. – Obiecował ~~[illegible]~~ zrobić ~~[illegible]~~…

– ~~[illegible]~~ Cha, cha! powiada: „weźmę kopaczki i zakopię się…”

– No i ona gwoli tego, żeby obrazy boskiej nie było, dała się wreszcie uprosić.

– Tak się zwykle historye kończą na tym padole… No, i cóż tam więcej słychać?

– O was opowiadają…

– Aha, cóż tam o mnie opowiadają?

– Przeróżnie! Jedni mówią, że was jakaś planeta pognała…

– Ci się nie mylą.

– Drudzy, że wam za ciasno było przy szwagrze…

– I ci się też nie mylą.

– A insi znowu, ale to z zazdrości… bo sami pewnie chcieliby zarobić…

– Cóż takiego? powiedzcie…

– Że was rozum odszedł…

– Znać, że Sułkaj żyje jeszcze… Widujecie go ~~[illegible]~~ tam u nas?

– Nie widuję prawie… Ja ~~[illegible]~~ tam nie idę do urzędu, bo i nie mam po co, a do mnie też też…

– A od wójta spotykacie kogo?

~~Wiem~~ Wiem już, o co wam zachodzi… Ja wam nie umiem powiedzieć ani tak, ani owak, bo Hanki nie widuję, jak ino w kościele.

– Ale bywa?

– Widziałam ją w ostatnią niedzielę. Wystrojona, jak zawdy, i nie znać po niej, żeby zbiedła.

Franek odetchnął spokojnie. V

~~– Bóg zapłać wam i za to, [illegible] bom się dużo trapił, a może [illegible] powiedz, bom już miał iść nawet…~~ Nie będziecie wy na dole ~~[illegible]~~:

– zapytał po chwili – Możebyście byli dobrzy obaczyć się z Hanką i powiedzieć…

– Dyć wy sami możecie ją widzieć.

– Kiedy ~~[illegible]~~ nie schodzę ~~[illegible]~~ na dół.

– Ale tu, na borach… Już wczora zaczęli kosić, a jutro, jak ~~[illegible]~~, ~~jak pogoda wytrzyma~~ będą składać kopy. Mają tam i Sołtysowie, ~~bo~~ to wspólne łąki…

– Skoro ja we dnie czasu ni mam…

– Któż wam o dniu gada? Przecie ~~się schodzi~~ w nocy ~~[illegible]~~ gromadzi sała młodzież ze wsi… ~~A i ona lubi tańce, niezawodnie będzie.~~ Nie pamiętacie to?

– Prawda! Jak że ja zabaczył… przecie sobótka! ~~Tak, tak [illegible]~~…

– A i ona lubi tańce, niezawodnie będzie…

V

— Ino wy się nie oddalajcie bardzo od niej — szepnęła, podchodząc, bo tam podobno ~~insi stnej~~ trafiają się insi...

— Któż taki?

— Ja ta niewiem, taka sięna ździe... Ociec pono powiada, żeby ją rad wydać, a ludzie się zlatują, bo jest do czego. Rola, jak plebańskie pola...

~~Po chwili dodała: — Podobno~~

Po chwili dodała:

— Podobno Michał od Ciżmarków zaskradnia się koło niej...

~~Kręcić~~

— Ten wolić łeb?! — zawołał Franek — jakżeby on śmiał!.. Rozumniejszy za grajcar...

— Ale ~~majątku za to~~ będzie miał za dziesięć stówek...

Widząc, że go zmartwiła, niechcący, poczęła się ~~tłumaczyć~~ wymawiać:

— Ja ta nie wiem, może to i bajtki...

— Tak, tak... Dziś,
kiedy ścieżkę mi zbielczyli. Bory wielkie... — powtarzał, przywodząc na pamięć, zapomniane obrazy księżycowych nocy.

Tekla zawiązała tymczasem gałęzie i zarzuciła je na ramię.

— Ostańcie zdrowi...

— Z Panem Bogiem, — pożegnał ją Franek — a przyjdzie kiedy, to wam naostawiam najparadniejszej cetyny!

— Tak, wiecie, sama nawet odganiać tę biedę...

Mrok już owinął drzewa, rozwalił się po ziemi, a Franek jeszcze siedział na pniaku, dumając i zastanawiał się i nad tym w rozumie swoim, co mogło siostrę przywieść do takiej odwagi. Przecie ją znał, że nigdy nie miała swojej woli... Umiała zrozumieć krzywdę i żal jego odejścia. Wyszła widocznie za niego, a jak wyszła! Życie ją zmieniło, starło do znaku odmienność, jaka w niej była, jaka mogła być. Mogła ostać orlicą, a ostała kurą. Co kto woli: Niewiasty wybierają drugie...

Przestał też nadto dumać, bo myśl, jak we śnie, wartko zawodziła go na bory. Przymknął oczy i widział minione obrazy, przepojone czarami księżycowych nocy, uśmiechał się do nich, słodko pamiętał je wszystkie. Nawet melodye stamtąd przypominał sobie... A gdy pomyślał jeszcze, że w taką noc obaczy Hankę, to mu serce zadrgało, jakby zdala ujrzał swoje szczęście.

Myślał o wszystkiem z umysłu, byle odegnać to, co go najbardziej dotknęło. Ale ono powracało, rozjątrzonym przez wyobraźnię oburzeniem serca. Jak śmie taki człek niewczasowy sięgać po jego Hanusię? Jak śmie nawet o niej myśleć? A choćby nie była prawda, to już samo gadanie o tem może gdzie rozjątrzyć. Tu kaj widać, zjeździ i rozpowiada bajki ludziom, aby jarmark porwał. Wie, że na ludzi trzeba dzwonić, i chodzi i do kościoła... A kto nie zwierzy, myślał, może i ona zezgaunieje, nie mając nic innego do oporu, dziewczę! Uspokoił się w sercu ponadto, bo i czemużby tęż naręcza miał trapić? Czy to Hanusia nie jego? Niech się dobija o nią kto chce... I no jak śmie? — szarpało nim, gdy przypominał twarz Michała. Choć to może i nieprawda, wierzenie mu myślenie... W każdym razie postanowił zapytać się jej. Na myśl, że ją obaczy wnet, odetchnął i uśmiechnął się, jakby w lat niedźwiedzie szczęście.

Wstał i zawołał wesoło, jak wówczas, kiedy pastuchem nawoływał drugich:

— Jutro idziemy na bory!

— Na bory! — grały, powtarzając, echa.

—

Listy od: Gazety Polskiej
Kur. codziennego
Słowa
Tyg. mód. i powieści
H. Cegielskiej
A. Siedleckiego

a. B...
Dzieżyca
p. Jurowej
Poli
Oty Brun...
Studnika
Brata
Kasprowicza

Do: Kasprowicza
Warszawy
A. B.
„Wienac” (Zagreb)

III.

U stóp wstających stromo zboczów, gdzie już osiedla ludzkie nie dochodzą, ciągnęły się wąskimi ugorami łąki, dobiegające szyją aż do wązkiej bramy, która zamykała kotlinę. Staczające się po uboczach ugorne kamienie zagrzebały je i zepchnęły nad samą roztokę, nad stromy, porośnięty jałowcami brzeg. Drzewiej na miejscu tych łąk stały bory; temu je zwano po wsze czas borami, choć z borów nie ostało ani śladu znaku. Podobnie, jak osiedle zwie się imieniem pierwszego właściciela, choćby to imię już dawno wymazane było z pośród żywych.

Drzewiej też one łąki, a raczej bory, były własnością wspólną rodów, jako że rody wstały z pierwszych osiedleńców. I tak było, dopokąd rody żeniły się pomiędzy sobą, nie krewniąc się z obcymi z dołu przybyszami. Ale później, gdy nastał dobry czas na córki, a nieurodzaj na synów, i nie porada było dogrodzić się płotów koło swoich twierdzami stojących osiedli, musiały rody szukać [illegible] i stąd nierzadko światy, komu padło. Powoli i tak bory skrajano na wiana, za czasem przeszły odrobkami do całej prawie wsi. Nie było gardy w rozległym Przysłopiu, któryby tu choć małej okruszyny nie miał.

Bory te koszono wspólnie i wspólnie siano suszono, a potem, podług uwagi, wiele kto mógłby zebrać z obszaru swojego, dzielono się kopami. I nikt se nigdy nie krzywdował.

Podczas suszenia, gdy pogoda trwała, schodziła się wszystka młodzież ze wsi, cały prawie młody Przysłop, na nocne pohulanki. Gdy już nadchodził ten czas, to jakieś dziwne owładało nieletnim narodem. Pasterze przyganiali wcześniej bydło z pola, szepty chodziły poza węgły, a córki zwijały się w robie, jak wrzeciona, całkiem podobnie, jak w przeddzień odpustu. Ojcowie już miarkowali, co się na noc święci, i nie bacząc [illegible], zapowiadali ostro, przed każdym wieczorem, aby się żadne nie ważyło iść z chałupy na te pokusie bezeceństwa. Ale skoro ino po wsi poleciał głos trąby, wyrywała się młodzież z założonych drzwi i pędem po brzegu, nie szukając ścieżek, nic by jéj nie zdołało utrzymać na miejscu. Leciało hasło „Na bory! na bory!”, działało, jak rozkaz tajny, jak przemocny cud. Po chałupach ostawali jedynie ojcowie, biadający nad zepsuciem świata.

Tego lata pogoda szczęśliwie dotrwała, we dnie słońce pomagało suszyć wilgne siano, a noce były księżycowe, białe, jak sny dziecka.

W taką noc szedł Kałocy doliną Huciska. Wszystko było dobrze, wiedział, że przy takim czasie wszystko, co żywe, wyległo na bory, i Hanusia pewnie będzie... Szedł, jak na wesele.

Księżyc mglistem, łagodnem światłem zalewał dolinę, roztoka w oczach mieniła się srebrem, a poza cienie cichych smreków kryło się milczenie. Powietrzem, jak omamienie, które mgłą na oczy siada, snuła się błękitna przędza, osnuwała zbocza i czarodziejsko odmieniała kraj do niepoznania.

W taką noc dziecku zbłąkanemu w lesie otwierają się skarby na imię Sezama; w taką noc na stromej skale tajemnego zamku siada z kądzielą zaklęta królewna i, czekając wybawienia swego, tęskno poziera oknem na dolinę; w taką noc przy cichych stawach, przy zadumie smreków rodzą się, jak mgły z jeziora, nieśmiertelne baśnie.

Kałocy tkliwy był od czasu na urok księżyca,

21.

ši ludź doliną, jak lunaty[k] ~~wśród~~ ~~~~, jak we śnie czarownym. Magnetyczne światło nocy spływało do jego duszy, pełnej nadziei miłego spotkania, i wzdymało przypływami, idącymi w niebo, jak miękką wełnę wód, jezioro cichej szczęśliwości.

Coś w sercu twojem przepełnię uczucie; tryskało w górę, jak snop wody, rozpryskującej się w dyamenty przy świetle księżyca. Budziły się w nim pieśni, przepojone czuciem, które się ujawniały na świat kaskadami słów. Lecz słowa były, jak te krople nieczyniące dźwięku, i ~~~~ przeźroczyste, bez rumieńca, bez złocistych barw. Tęcza od ich prześwietli padała na jego duszę — on sam ją widział, i sam słyszał muzykę tych pieśni. Ale wygrać nie umiał zewnętrznemu światu.

Idąc, mówił, jak echo, śpiewającym głosem:

— Jest kraj nieznanych cudów, | gdzie z białych gór | potoki srebrem płyną, | doliny śnią | a tajemnicze źródła leśne | czynrzą ze szmerem przy świetle księżyca | połyskujący, złoty piasek. Smreki w milczeniu stoją, bez oddechów, | jak straże nocne w przedsieni kościoła, | w którym za mgławą tajemnic osłoną | bóstwo, nieznane ludziom, śpi... A jodłe drżą, | dygocą lękiem utajonym, | czy je [nie] zdradzi światło białe, które na nie pada, | bowiem sięgają najniemi ramiony | w głębie rozpadłych, wązkich szczelin, | i wyczuwają palcami korzeni | skryte głęboko pod skałami skarby. Albo na ziemię kładą się cieniami | i, wstrzymując dech, słuchają, | co tam w głębi dzwoni. | A to dzwonią owce białe, | idące uboczą, ~~~~ wełna im się z dala srebrzy, | jak te widmy fal, | wspinających się w księżycu | ~~~~ urwistym brzegom. | Przeszły uboczą, | już dochodzą pod zamglony wierch. | A mała jagnię ostało, | nie może nadążyć, | samo idzie po polanie, ~~i płacze~~ | zawodzi ~~~~ i piszcze | i woła, woła, by go poczekali. | Ostatniej owcy grzbiet błysnął ~~~~ szafirowym. | W głuchej ciszy słychać ino ten samotny płacz... | O kraju! o dolino smutku!.. | Tam, przy nieznanym drzewie, | ukryty drogi skarb, | o którym nikt nie wie...

Wszedł w wąwóz. Huk potoki zgłuszył dalsze słowa. ~~~~ Niezadługo musiał wyjść ~~~~ z uroczyska i ujrzał się na drodze w przestronej dolinie, wśród ugorów rozległych, na krańcu Przysłopia.
— Już niedaleko borg! — szepnął i przyspieszył kroku.

Dolatało go z oddali zawodzenie skrzypiec. ~~~~ ~~~~ poczuł dygotanie w sercu, ~~~~ drżeć na całem ciele! Przypomniał sobie, że takie drżenia odczuwał ~~~~ za młodu, gdy kolędnicy przyszli. Dziad uderzył w szyby orzechem, skrzypce zgrzytały, a on się ~~~~ zrywał z pościeli i drżąc, biegł do ojca: „Tato! Kolędnicy przyszli...” Ile razy posłyszał z daleka skrzypce, zawdy to drżenie ~~~~ dzwonek odzywało się w nim. Nie wiedział, skąd się bierze, jeśli ~~~~ ~~~~ ~~~~ tem Może powstaje nieświadomie w sercu na wspomnienie chwil, jakie ~~~~ z młodocianych ~~~~ lat...

Spał w izbie. Naraz obudził go widok; ~~~~ orzech dzwonił na szybach, skrzypce zgrzytały; a on się zrywał: „Tato! Kolędnicy przyszli...” I z drżeniem biegł do okna patrzeć na te cuda. Były to chwile dużej szczęśliwości!

A raz, pamięta, zbudziły go krzyki: „Pali się! pali...” Wyskoczył na pole. Tłumy ludzi ~~biegły~~ szły ~~całe~~ na wierch grania. Pobiegł i on. A zaczem, dygotał, jak w febrze. Palił się las, ~~~~ ~~~~ Okropny widok był z daleka. Mosi płonący stoi uboczą, a dymy, jak chmury czarne, wisiały nad ogniem. Ktoś wyniósł skrzypce i grali, tańcowali przy świetle ~~~~.

Wodtad, ile razy usłyszy płacz skrzypiec, drżenie wraca, jak odgłos potrzęsionej struny.
— Bo też ino nasze skrzypce tak umieją płakać.

Co on się nasłuchał muzyki po szerokim świecie,

~~a żadna go tak po sercu nie targała~~, i takich i owakich, a przecie żadna nie działała tak, jak ~~proste skrzypce~~ one skrzypce. Jest w nich czar, ~~i urok dziwny~~, który pada urokiem na duszę, nie sposób dać się osłuchać, nigdy się nie ~~sprzykrzą~~ nicną.
– O, jak płacze, jak ~~zawodzi~~ się żali, jak się skarży głośno!

Nie ino słyszy, ale widzi tę muzykę z dala. Idzie, idzie po ugorach, ~~wiory~~ ręce załamała, włosy rozpuściła na wiatr i zawodzi w płaczu, tańczy, jak zdradzona płanetnica leśna. A serce ~~zapatrzone~~ cichem rwie się za nią, trzepoce, jak ptak schwycony, i bije w skrzydłami i krwawi zasklepioną pierś!

Coraz wyraźniejsze tony szły naprzeciw niego. Rozpoznawał melodyę, uśmiechał się do nich. Zbliżał się zwolna ku borom, widział z dala kopy, dokoła nich tańce cieniów, migających w świetle; zdało mu się, że napotkał tajemnicze święto, jakieś prastare, zabyte duchów pohulanki.

Nadchodząc bliżej, usłyszał niezwykły śpiew. Słów nie nie mógł pojąć uchem, ale nutę poznał. Gorączka nim owładnęła, i niepokój parł.
– Kto wie, czy Hanka jest? – pomyślał.

Chciał jak najprędzej obaczyć i sprawdzić naocznie. Ustawili się prawie do nowego tańca, kiedy stanął za kołem, wśród zgraby ciekawej i począł szukać oczyma Hanusi. Obaczył ją, ale nagle, miast roześmiać się, spąsował, jak podpalony, suchy wrzos jałowca.

Na samym przedzie, przed muzyką, stał Michał Cichański, a przy nim Hanka. Stała oparta na jego ramieniu...

Obaczył ją tak Franek i zakipiał gniewem, zatrzęsło się w nim serce, zaćmiły się oczy – chciał biedz w pierwszym momencie, rozbijać, rozrywać... Rychło jednak opanował narzuconość szarpiącą.

Poznali go stojący blisko i pytali:
– Cóż was przywiodło ku nam? Tak dawno, ~~roki całe~~, jak nie byliście na borach...

Nie słuchał i nie odpowiadał, przecisnął się przez tłum i szedł milczkiem ku muzyce z ~~oog~~ ogromnym spokojem, jak chmura ciężka, która idzie ołowianą ciszą. Oczyma, jak piorunami świecił poprzed siebie. Ludzie się rozstępowali i cofali trwożnie.

Raptem Hanka, jakby czuła te oczy na sobie, obejrzała się, a twarz jej biała przy świetle księżyca, stała się jeszcze bielszą. Z cichym krzykiem, który zmarł na ustach, uciekła się za plecy swojego tancerza. Rakoczy odchylił go na bok ręką lewą, jak onę gałąź z przed oczu wśród gęstwi. Ten ~~chciał~~ pięść odruchem podniósł w górę, ale, widząc Franka, opuścił ją i trwożnie usunął się w ciżbę.

Rakoczy stanął blisko przed zalęknioną Hanką i cichym głosem, w którym dzwonił rozkaz, rzekł:
– Chciałbym z tobą przemówić słów parę...

I wskazał ręką pośród ciżby drogę, którą był pierw sam przed chwilą otworzył.

Hanka, widząc w jego twarzy niezwyczajne wrzenie, zawahała się, ale wnet ki postąpiła naprzód i, z udaną gotowością, wzięła, kto przed nim szła... ~~stojący~~ Stojący ~~gromadą~~ z bliska ~~cof~~ cofali się na bok i prowadziła ich oczyma, szepcąc między sobą. Michał się już nie ruszył.

Minęli gromadę, zrównali się ramionami i szli w milczeniu po trawniku wśród lasu wonnych kóp.

Franek, zapamiętały w gniewie i zazdrości, chciał ją zrazu pokarać dotkliwie obelgą, ale, nim w myślach słów wyszukał, już gniew zmalał w sercu i słowa one zdały się za ostre. Dobierał innych, a tymczasem złość go omijała. Miał też czas, idąc

przy niej, zauważył przestrach i drżenie ptasie w jej cichej postaci, chwiała się wiotkiem ciałem, jak gibryna leśna, z której ostatki obrywa kwiecie i otrząsa puch. To go powoli rozbrajało. Długo ważył słowa, i tak w milczeniu doszli razem do ostatnich kóp.

– Powiedz mi, – ozwał się Franek z surowością wielką – powiedz mi, ale tak szczerze, dlaczego tańcowałaś z tym cieślikiem niemrawym?

Podniosła ku niemu oczy, od których wzrok ~~m~~ytając mogę, i odrzekła po cichu:

– Bo ciebie nie było...

Nie spodziewał się Franek takiej odpowiedzi. Wyszłaś, z powstania z krzykiem, z niewieścią urazą, i poczucie prawa swobodnego swojej: Cóż mi to nie wolno-pono – tańcować z kim zechcę?!! Miał już na to słowa, gniewem jarzące, jak iskry, rozdmuchiwane wiatrem w spopielonej watrze. A teraz wszystkie pogasły odrazu, jakby je nagły porazbywał deszcz. Ona, jak dziecko, które czuje prawdziwie swoją, broni się wyrzutem: „Bo ciebie nie było..." I cóż tu na to powiedzieć rzec?

Hanka zaś, mówiła dalej:

– Takeś mię ostawił, jako ten pasterz gdy psy gorzy na ugorach w nocy. Ani światełka, ani głosu, ani znikąd nic... Myślałam, żeś już o mnie do znaku zabaczył...

I po licach jej poczęły staczać się, jak tarki, siwe, w świetle księżyca migocące łzy.

Zachwiał się Franek, obezwładniony płaczem. Żal nareszcie, jak potok, spiętrzonego serca uderzył o brzegi spienionymi wartą. Ostatki gniewu, litość i miłość bezmierna walczyły w nim i żadne zwierzchować nie mogło. Patrząc na jej łzy, cierpiał i bolał okrutnie, a przecie tego nie chciał jej powiedzieć. Gdzieś na samym dnie serca zwaliło się, jak pies z uwięzi, chęć torturowania, drażnienia jej i siebie podwójnie za jej ból.

– Co ja się też nacierpiała! – mówiła w płaczu – Com się napatrzyła darenmo! Ile nocy nieprzespanych, sam Pan Jezus wie i Matka Boska Częstochowa, bom się wieczór godzinami przed Nią naklęczała... Na wspomnienie tych utrapień nowy potok łez.

– A przecie – rozpoczął Franek, gwałt zadając sercu – miałaś czas o innych myśleć...

– O rety! Nieprawda!

– Nie gadaliby mi ludzie...

– To ludziom dajesz prędzej wiarę, niż mnie?! Teraz, to już wiem, że mnie nie kochasz...

– Hanka!

– Przyszłyś, wołam, aby się odezwać. Ale jej się nie zwiąże – mówiła obłędnie – idźże, idź, kamyś zechciał, kaci się podoba. Ja ci nie będę zagradzała drogi. Ino w potok do rzeczki i utopię się...

Jakby chciała odrazu wykonać ten zamiar, zwróciła się ku rzeczce i poczęła iść. Franek zmartwiał, przeląkł się i zabiegł jej drogę.

– Hanuś! mój rozum...

– Puść mnie! – zawołała. Coraz to większa rozpacz owładała nią.

Ujął jej dłoń i począł z tkliwością przepraszać.

– Daruj mi, bo ja nie wiem sam, co mię nadeszło... Przecieżem z taką chęcią dążył na te bory! Z taką uciechą wielką, jak do raju... A czyżem nie obok ciebie ~~ostał wierutnego, tak mię złość opanowała~~, ten łeb wyświeczony... ~~Myśląc: Taki oczu wierutny, jak ślepie~~ Daruj mi, bo ja ciebie tak miłuję bardzo, że nie zdołam lekko przenieść, aby tobie wierutny z tańcami o Tobie ~~pomyśleć, przez moment~~ przez moment inaczej

pomyśleć, niż jako o wielgiej pani, która patrzy z chmur. Bo wierzaj mi, chciałbych cię tak wysoko widzieć, a żeby ludzie, patrzę na cię, mrużyli oczy podobnie, jak w obliczu gwiazd. Hanuś, dziecinko moje, ustanów się w żalu i nie płacz, bo mi serce do znaku popęka...

Prosił i błagał, [illegible] nie wiedział już wreszcie, jakiemi słowy mówić, by ją ulegować. Przyciskał jej dłoń do piersi, a z taką czułością, jakby żywego ptaszka dzierżył w ręce. I jak ptaszę, któremu serce bije z trwogi, drżała jej drobna dłoń przy jego piersi.

Ucichła i otarła łzy przysiadłe na licach. Ale jeszcze czasem łykała przy ścianie i patrzyła z poza niej, jak łaska z poza cienkiej strzechy. Widziała, że już niema znikąd zagrożenia. Milczała jednak, i [illegible] przy nim, jak [illegible] dopiero kiedy doszli do [illegible] kopy, siadła na siano, założyła ręce i poczęła z surowością:

– Teraz ty mi powiedz. Powiedz mi, ale tak szczerze, dlaczegoś nie dotrzymał przyrzeczenia swego? Pamiętam, jakeś obiecował [illegible]? Umiałeś zaraz następnie starać się o wyprać... Ja cię nie przyglądała, [illegible] sam się wyrychłeś. A potem, co cię opatało złego, żeś uciekł ze wsi od ludzi, jak dzik? Czemuś nie przyszedł, nie powiedział, ani nie dał znać? To ja niegodna, żeby słówko od ciebie usłyszeć?

I nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej:

– Wiesz ty, mogłabych umrzeć z turbacyj, ani byś o tem nie wiedział. I jak możeś sumienie tak mnie pozostawić w takiej niepewności i trwodze? Musiałach od ludzi innych dowiadywać. A myślisz, że mi było miło słuchać, jak cię zabrali? Abo jeszcze i gorzej, bo się śmiali ze mnie, że za płanetnika wyjdę. Powiadali ludzie, żeś się z Dyabłem stowarzyszył i chodzisz w czern...

– Ale nie wierz że ludziom...

– Aha, tyś nie wierzył? Widzisz, jak my się to zeszli...

Nomt się skruszonym, i na chwilę nie wiedział, co jej ma powiedzieć. Wreszcie począł:

– Bywają różne przeciwności. Ja natrafił na taką, żem się musiał cofnąć.

– A powiadałeś, że się nigdy przed niczem nie cofniesz!

– I dosiela potrzymam. Ale bywa różnie; przeszkody mocne znajdą się ówszczem. Człek musi niekiedy cofać się przed samym sobą...

– Tobyś nikomu nie zaszedł, abo w przeciwną stronę, niż zamierzył.

– Ja też tak, – uśmiechnął się – zamierzyłech iść na dół roztoką, a zaszedłech do Hnilska...

– Któż cię tam ciągnęło?

– Bardziej mię ono pchało, niż ciągnęło. Ale to wszystko jedno [illegible] dodać – dość, żem się tam, niechcący, [illegible] jednego malarz. Ino zatyś! – począł mówić z wstającym zapałem – Nadzieja się, co przeszło, wszystko będzie dobrze. Bo może nie wiesz, Hanuś moja, że ja [illegible] ubogi?

– Powiadali, ale mi się nie chciało koniecznie wierzyć. Bo jakoś byś sam dał radę?

– Czyż ja to nie mocarz?! Wdrapuję już od paru niedziel i radujo się, że wnetki dojdę ku wierchowi. A wtedy se odetchnę szeroko, jak wiater, i kiela słówek zgarnę do zanadrza...

– Hej? To ci tele aże obiecali!

– Ono ta nie tak dużo...

– Ale i nie mało!

– Za [illegible] bych się mocował z twardymi urokami? Za jakie tajne grzechy świata? powiedz... Gracie to nie żadna rozkosz, ino męka szczera. Tak moje dziecko, tak mozolnie tych skarbów dobywam, o jakich ludzie myślą, że ich z Dyabłem szukam. I powiem ci, że

(a moża powiadają)

choć strasznie męczno mi się za tobą nie miałżeh ~~[illegible]~~ postanowienia obaczyć cię wcześniej, aż pieniądzy ~~więcej w garści~~ nazgarnuję...
— Przecie wiesz, — przerwała — że choćbyś i goły przyszedł...
— Ale mnie samemu byłoby to mizerno... Zresztą, o czem gadać, kiedy i tak bogaczem przed tobą nie stoję.
— Siądź przy mnie — poszepnęła.

Posłuchał jej rady i usiadł ostrożnie z boku, by kopy nie zwalić.
— Czemuś tak daleko? — spytała z uśmiechem. — Boisz się jakiej zdrady? Ja się zaś nie boję...

I przysunęła się ku niemu, (z wesołością dziecka) obejmując jego ramię splecionemi dłońmi. On jeszcze myślą stał w poprzedniej gwarze ~~z dalej [illegible]~~ i, z łaso wierzchu poziezając, mówił:
— Wszystko się dobrze złoży, nawet lepiej, niżby se kto myślał. Na jesieć ubogi zeluę, zapłatę otrzymam, i będziemy se radzić o inakszym życiu. ~~Ale, żeby~~ Już ja się nie dam biedzie ostać. ~~Koło boku~~ (ze mojem gazdostwie) ~~Będę ją~~ dotąd prześladował, aż mnie opuści. A jak mi się świat rozwidni, to obaczysz wtedy, co Franek Rakoczy może, jakie cuda zdziała!.. Ino ty wierz we mnie, Hanuś, bo mi trza koniecznie, aby ktoś we mnie uwierzył, choć jedna duszyczka.
— Twoja! — szepnęła, przytulając się.
— Nie spocznę, dopokąd krzywdy nie obalę wszelkiej! Tak ją będę wycinał, jak tę ubogą leśną.
— Myślałach, żeś już o tem zabaczył...
— Przenigdy! To ino życie odniesło mię na bok, jak ta fala mętnej rzeki odnosi łódkę rybaka. Ale ja się wnet odbiję od cichego brzegu i wypłynę na sam środek, gdzie się mnot bałwanie...
— A jak cię topielec wciągnie?
— Topielców już nima!
— A ludzie powiadają, że jeszcze są...
— Nie wierz. Ale ja nie o tej rzece...
— Mówmy o czem inszem. Albo lepiej nie mówmy, słuchajmy, jak grają... ~~Z oddali dolatywało zawodzenie skrzypiec~~ Umilkli. Słychać było zawodzenie skrzypiec. ~~Ludzie, w oddaleniu zakryły ich kopy~~ Ludzi nie widać, zasłonił ich las kóp rozstawionych. Poza tem oddalenie kryło ich poza mgłę, która oparem zaległa doliniaste bory. Odgłos tupotów ~~[illegible] szedł po biegł po~~ szedł po ~~wilgotnej trawie~~ rdzawej trawie. Śpiewy dolatywały do ostatnich kóp.

„Kochałach cię Jasiu,
Kochałach cię dosić —
Trudnoż mi cię było
W podołeczku nosić..!"

(~~Głosy cichły, a skrzypce zabiegały osobno; niejedni się i w pustej ~~ [illegible] gunały w uboczy. Zwotywały się długo smutnemi echami. Wreszcie głos przepadł. Echo skrzypiec zapłakało za nim~~.)

Szum niedaleko płynącej wody owijał melodyę, głuszył i przerywał, zdawało się, że fale wynoszą je z wody. Przewijały się w ~~białej~~ widnej, księżycowej nocy, jako wiotkie ciała ~~bogiń ek czarujące, które roztoczonych~~ bogiń ek, roztoczonych, które się rade pluskają na jarze w mlecznych i srebrnych pianiach wodospadu. Czasem pierś zaświecy biała, błyśnie cudo-łono, czasem oczy zamigocą urokiem i zgasną, ~~krążące się w [illegible]~~ gdy sławiące płomienny wicher złotych włosów. A czasem, ale rzadziej, ~~[illegible]~~ ukaże się postać, ~~zapatrzona w~~ (zadumana nad) zapatrzona w głębinę, jak brzoza płacząca. Tak się snuły melodye w tej nocy ~~[illegible]~~ uroczej.

~~Nagle~~ Za węglistem, (białawym) światłem widać było ~~[illegible]~~ jak stroiła miesiąc blady w przejrzane ~~[illegible]~~ szaty. Dobierała promieniami siedmiorakich barw, dwie się jej zwidziały bardzo i ostała przy nich.

„Ja żem był, jużem był
Po kolana w niebie.
Hej, alem się zawrócił
Z zieleni po ciebie..."

Pieszczota melodyi kołysała serce, mgła owija myśli i siadała na oczach pomroką, siano pachniało, jak kadzidło, które poi zmysły.

– Czemu tak drżysz?
– Pytam się, a sama dygoczesz...
– To od zimna.
– Nie wierzę...
– A od czego? powiedz...

Przychyliła się ku niemu, jak kalina wiotka.
Od borów śpiewy dolatują swawolną melodyą. Dzwoniących, jak dzwonki owiec, turkały głośno, jak pasterek, gdy się zejdą razem.

„Wianeczka od mnie
Chcesz Jasiu koniecznie –
Ożeń-że się ze mną,
Będziesz go miał wiecznie..."

Leciały trwożliwie, gorące, jak ptaki, które skrzydłami z wiatrem biją.

– Słyszysz?
– Nie słyszę nic, wiem ino, żeś moja...
– Pamiętaj!

Całą dolinę jasność zatopiła, morze światła białego bez dna i bez brzegu, kołyszące się cicho, w uśpieniu głębokiem przez jakiś bezmiar szary nieskończenie wielki, który dookoła opasuje wieczność. Ucichły ptaki i świerszczy umilkły, i ustał wszelki gwar stworzenia wszego – dolinę całą wypełnił Bóg – Stwórca, pragnieniem życia nowego potężny. Na cześć [illegible] zrodzone z wyobraźni, zolbrzymiałej duszy [illegible] jak przez las tajemny przewiane szumem, którego dźwięk głośniejszym jest od szumu anielskich i echo dalej niesie, niż ptaków [illegible].

– Oczy twe odbijają w sobie świateł gwiazd...
– A w oczach twoich płomienie się jarzą...
– Księżyc na czoło twoje świecił i ubielił, jak święta...
– A czoło twe czarne, jakby je słońce opaliło.
A twarz podobna teraz dyablej twarzy...
– Nie lękasz się?
– Nie, bo wiem, żeś ty jest przy mnie, bo cię czuję...
– Niech się świat zapadnie pod ziemię!
– Zabij mnie!

Księżyc znowu rozgarnął po dolinie światło, rozpłoszył białe mgły, i porozsadzał je po stromych zboczach. Roztoka się rozwidniła, bory się odkryły, kopy stoją, jak stały – nic się nie zmieniło. Odgłos fujarek [illegible] odezwał się w zieleni. Słychać było znowu oddalone zawodzenie skrzypiec.

16. Zmęczone dolatują do ostatnich kóp.

„Czemuś ci się Franuś
piórko nie migoce?
Dałeś go Hanusi
Za złote warkoce"...

. . . * . .

Na niebie poczęło świtać. Gwiazdy zbielały, a od wschodu wychodziły, coraz śmielej, zorze. Roztokami szła i [illegible] mgła. Ludzie z borów pomału poczęli się [illegible]. Zaspienie i senność zeszły się nad wodą i wiły się leciwie ponad siwe młaki. Niejeden z borujących padł na wilgne siano, aby dać wypoczynek znużonemu ciału.

Uboczą po ugorach, we mgle, jak planetnik środ grajek, który całą noc (na borach przegrał) grał ludziom, a teraz sobie. I śpiewał pod nutę. Było w (tej melodyi) dziwne pomięszanie, można rzec: szczęśliwość smutku, albo jeszcze inne... Hej!

„Hej, biedne moje serce
na poły się dzieli –
Jedna strona płacze
Druga się weseli.."

Głos czysty biegł, a skrzypce zabiegały wartko, mijały się i wpadały gońcy uboczy. Zwoływały się długo smutnymi echami. Wreszcie głos przepadł. Echo skrzypiec zapłakało po nim. >

—

„ludzkie ciałko"

1900
O: 14/XII. [1901]

Szanowny Panie!

Załączam próbę rękopisu, wstęp, który daje ogólne pojęcie o całości. Równocześnie wysyłam do Redakcji dwa „Wza Przeglądu Żak.", w których zamieszczono pod opieką rekomendacji [illegible] z drzytu jeden rozdział, i wyjątek z „Krytyki" z niedużym wyjątkiem. Sądzę, że te wyjątki z różnych miejsc powieści wystarczą do zado[wolenia] o całym utworze.

W Porębie pozostanę do Nowego Roku. Oczekując w tym czasie łaskawej odpowiedzi, kreślę się
Z wysokim szacunkiem
Wł. Orkan..

IV.

W chałupie mrocznej radzili ojcowie. Nad losem dzieci swoich dumali po cichu, układając w rozumach słowa przeznaczenia.

~~Słobodna chwila, bo niedziela święta, ludzi nie wydać, bo sól Błażej nagadował wcześniej, że urząd będzie spał, więc sprawy odłożę na potem.~~

~~I w bezpiecznym spokoju radzili ojcowie. Oba mówili z namysłem i wagą, jakby czuli w sercach swoich, że co oni tu uradzą, to sam Pan Bóg niechybnie do wyroków wpisze.~~

Słobodną chwilę wybrał Sikaj, bo wieczór w niedzielę, kiedy się naród zewsząd potracili i każde poszło z Panem Bogiem do swojej chałupy. Ostał się sam z Cichacińskim, ojcem jedynaka. I w bezpiecznym spokoju mogli wspólnie radzić.

Mówili z wolna, powadze, śpiesząc się zbytnio. Każdy drugo ważył słowa, nim je wypowiedział; oba czuli w sercach swoich, że co tu uradzą, to sam Pan Bóg niechybnie do wyroków wpisze.

– Tak moiściewy, – mówił Sikaj – ochotnych nie brakuje. Co się też tu naprzychodzą, to z tej, to z owej strony… Bo majątek niemały, rola odpowiednia. I zresztą sołtysówna, to nie byle kopyść… Trafiają się i z gruntem i ze stówkami, ba, nawet i tysiące paru obiecuje. Ale cóż z tego? Dy wiecie, jaka dzisiaj młodzież. Ani Boga w sercu, ani poszanowania la ojców, ani żadnej stateczności, ino lekkomyślność. Rozumem swoim wszystko wie, niczego jej nie ucz, ba, żebyś jeszcze sam od niej brał naukę życia! Choćbyś i sto lat żył na świecie, to to nic nie płaci. Byle podrostek powie ci, żeś głupi… Taka teraz ponastawała młodzież na tym świecie. Ledwo głową dostanie do ocapu odrzwi, a już chce mieć i swoje własne zdanie, i, djabeł wie, czego jeszcze mu się zachciewa. Ty ojcze za nic, Pan Bóg za nic, ino jedna wola rządzi z upartością w parze.

Zasapał się i dysząc oburzeniem serca. A stary Cichaciński na to:

– Ja wam to przyznaję, bo sam nieraz zabiadam nad tem, a co będziecie robić. Świat idzie ku dołowi, z roku na rok spada i ludzie się inacy rodzą. Wszystko się przeodmienia, na gorsze. Pamiętacie, jaka była w nas insza natura, choć i człek młodym bywał. Bo wtedy przykazania były w sercach ludzkich. Nie uczyli ich po szkołach, ani też nie wypisowali na drzwiach, ale każdy wiedział o nich lepiej i znał, jak się z nimi obchodzić we wszystkich potrzebach. Ojcowskie prawo było święte, nikt go nie naruszał. I Pan Bóg nie żałował swojej łaski. Opatrzność czuwała wszędzie, chleba było podostatkiem, niczego nie zbrakło. A teraz naród stęka, jak w ciężkiej niewoli. Pan Bóg skarał, że się przemieniło. A to wszystkiemu młodzież winowata, bo ona nie powiedzie, niema Boga w sercu. Choć są wyjątki, Jak i mój niech za ten przykład… Nie powiem, żeby i on nie miał wad niejakich, bo też i niema człeka bez przywary, ale co się tyczy, powiem, kościoła bożego, to już pilnuje w każde święto i nie opuści sumy lekkomyślnie. Już ta co do tego, to mu nima najmniejszej przyganiy. Ino to jedno, że jest niezaradny. Niczego się sam nie ima bez porady ojca. Zawdy mu trza natyrgać, bo inaczej, to się nie docupstrzy już to rozumem nie grzeszy, to darmo, i niema go na zbycie. Ale co będziecie robić, kiedy już taki był od czasu, i dosiela, i taki pewnie poostanie.

Przestał, i siedzieli obaj długi czas w milczeniu, zgadując myśli swoje. Nareszcie Tubaj przerwał ciszę, mówiąc jakoby do siebie:

— Dobrze by to było i wielce, żeby się doprowadziło do skutku, co się przedsiębierze, bo rody podupadają, ubożeją przez to, że nie dbają o sobie, nie łączą się wzajemnie. Trza te względy zachować, co je czas rozluźnił, trza je ściągać, żeby się całkiem nie rozwolniły. A niebezpieczność wielka, bo już fale mętów ludzkich dochodzą pod ściany. Trza to mocnego domu, żeby się oparł uderzeniom wszelkiego zgwałtu. Jak ino ściany słabe, podgnite od spodu, to się łatwo osuną i woda je zabierze. Na nic wtedy osęki, ratowanie próżne. I tak powinny stać nasze osiedla pośród napływów przeróżnych gawiedzi, jako te twierdze kamienne na morzu, których podwalinami samorodna skała. Bo inaczej, to z nas potłucze, zaleją do znaku. A przecie nie na to mocarzyli tu nasi ojcowie, abyśmy, zbywając głowy, poszli w poniewierkę. Już i tak nas niewielu, bo się dużo powieszyło z dobrowolnej swojej woli, albo z musu, jak nie miało pomocy od swoich. To też ci, co postali, powinni się krzepić i nie oddalać, ale zbliżać przez krewieństwa różne. I majątki się powiększą i rody się wzmocnią. Zapomnieją sprawiedliwość, jak za dawnych czasów. I dlatego też powiadam: dobrze by to było, jakby się tak myśl z uczynkiem zeszła.

Na to Cichański:

— Wola Boga i Jego przenajświętszej łaski. Jak mu się upodoba ono młode stadło, to je złączy bez dużej przyczyny człowieka, a jak nie, to, choćby człek sto rozumów nabył, nie wskóra, nie poradzi przeciwko wyrokom. Ale ja tak uważuję: wypełni się dobro, to dla Pana Boga chwała i cześć przede wszystkiem. A my przecie ku dobremu radzibyśmy ciągnąć. To nas Pan Bóg nie wypuści ze swojej opieki. Na wszystkie strony byłoby to dobre. Bo i rody by się zrosły i majątku by przybyło i człek by se uśmierzył głowę, nie turbując się, co będzie, jak go już nie stanie. Bo dziecie, ja se niejeden raz o tem przemyślował, jako to będą gazdować ci młodzi, czy se dadzą radę ze wszystkiem i nie zaprzepaszczą [illegible] marnie swojej ojcowizny. Bo teraz o gospodynię dobrą strasznie trudno; że są, jakby jedna była, a i to nie pewne. Wszystko to takie światowe, rozpustne, nijakiego zdania we łbie, ino marne plewy. Przyjdzie święto, abo i niedziela, to nie patrzą na nabożeństwa, ale pijatykę, wystawają przed sklepy, a oczami strzelą, jak te pokusy dyabelskie, które ludzi zwodzą. A tego dawniej nie bywało. Jak wyszła z kościoła, to prosto z matką do chałupy, bez żadnych postawań. Chciałeś ją zwidzieć, toś ich ojców musiał pierwej pytać. A teraz? O znajomstwo łatwiej, niż o tabak, to ją przed sklepem spotkasz, zwyczajnie na wierzchu i sama zaczepi. Za groszowe koronki [illegible]. I na jakie to matki powyrasta? Ej, mocny Boże, jest nad czem zabiadać... Nie takie to bywały nasze nieboszczyki...

Zadumał się, a Tubaj zwiesił głowę. Miał i on od teraz niemałe strapienie, o którem nikt nie wiedział, i temu chciał wydać, jak się da, najwcześniej. Dumał po cichu, ważąc turbacyę. Wnet jednak opamiętał się i otrząsł myśli z obaw ciężkich. Nie spadły wszystkie, bo i owoc zielony nie spadnie, chociaż drzewem zatrzęsie najmocniejszy wiatr. Ale mu już nie ciążyły (nad schyloną głową) [illegible]. Ozwał się po chwili:

– Nie wiem, jako tam u innych, ale mnie to już Pan Bóg opatrzył dzieckiem usłuchliwem i bez żadnych ~~zradliwych nawyknień od świata~~ zradliwych od świata nawyknień. Figlów ona nie ma w głowie, jako insze ~~podlotki~~ dziewczyny, woli cicho ~~w chałupie~~ posiedzieć, jak czasu do próżnie. ~~I do roboty zaganiać jej nie trza.~~ I roboty dopilnuje, i statku ~~w chałupie~~ zarzędzi; dyć już od wielu lat zastępuje ~~gospodynię~~ gaździnę, ~~bo jej~~ w chałupie. Nie mam się na co ~~skarżyć~~ uskarżać...

– No to chwała Bogu. Jak się dziecko wydarzy, to szczęście człowieka. A w tych dzisiejszych czasach, to prawdziwy skarb. Ile to ojców, ile matek przeklina i pomstuje swoje własne dzieci. Niejeden ~~by~~ wolałby raczej psa chować w chałupie. Bo pies się wywdzięczy za to ~~wiernym przywiązaniem~~ i nie wyjdzie z chałupy, a dziecko, mocny Boże! Dobrze, jak ojcu kija nie ~~pokaże~~ a trafia się i takie wyrodzone w niejednem miejscu. To też czek wielki Panu Bogu chwała, jak go opatrzy uczciwem potomstwem. Coby to niejeden dał za to, a darmo! Co się już złem ~~...~~ ulęgnie, to złem pozostanie.

– Kiedy znowu i starszych niemało przynosi. A ojcowie przecie sami winowaci, bo nie trzymają ostro cugli, ~~nie karzą~~ jak Pan Bóg przykazał. Jakby raz i drugi raz ukarał przykładnie, ~~toby~~ ono ~~by~~ się ta przyczyniło słuchać i musiałoby żyć w bojaźni Bożej.

~~–~~ Prawda i to, ~~bo~~ ale znowu różne są natury. Niedarmo też powiadają, że opornego kijem do nieba nie ~~...~~ wpędzisz. Trafi się czasem taka psiapara uparta, że na nic, na żadne kary nie ~~uważa~~ dba. Bij go, ~~...~~ co żywo chcesz, łam na nim najgrubsze kije, to on jeszcze gorszy. Zatnie się, i ani rusz. Z takim na żaden żywy sposób nie poradzi.

– Jużby ja go ta ulegował...

– Tak się wam to widzi.

– Przywiązałabych do słupa i dotąd bych morzył, ażby się w pokorę udał...

– To umrze ze złości, a nie ukorzy się...

– ~~...~~ Dałbych ja mu umrzeć!

Powiedział to po cichu, z taką zaciętością, aż Cichański wzdrygnął się w sercu. Dłuższa chwila uszła, nim się ośmielił ~~...~~ przemówić:

– Co się mamy o cudze dzieci trapić, kiedy nasze, chwała Bogu, dobre są i w bojaźni przed ojcami chodzą. Raczej podumać wypada nadtem, ~~...~~ jak ~~doprowadzić do końca~~ przyprowadzić myśli do uczynku, aby się wypełniło, ~~...~~ co jest przeznaczone.

Łukasz nie odrazu szpiczył z mądrą odpowiedzią. Siedział jeszcze chwilę, dymił, ~~...~~ a wreszcie rozpoczął:

– Dumanie takie, mościewy: Jak wy rozumem swoim przystajecie i nie macie w swojem sercu ~~...~~ nijakiej przeszkody, to ja gotowy ~~...~~ przyzwolenie swe dać każdego czasu. Bo z odwlekaniem nie zawdy ~~...~~ dobre się ~~...~~ wydarzy. ~~Widać, że takie...~~ I to wam jeszcze powiem: Choćby ludzie rozumów nabrali i ogadywaniem Hanki odstręczali was od przedsięwzięcia, to się nie dajcie skierować na żadną złą stronę. Bo dyabeł nie śpi, ale czuwa, pilnuje, ~~by przypadkiem aby~~ aby dobro nie przemogło w świecie. On ta ma swoje sługi i pomiędzy ludźmi, którzy zamiarom czystym pod- ~~kładają~~ stawiają nogi. Wtedy ich radość, jak się człowiek na prostej drodze obali, a jeszcze większa, jak z boczy i zawiłymi pójdzie. To też powiadam: Czuwajcie, a nie dajcie się przewieść, bo was będą ~~...~~ odciągali wrażliwi sąsiedzi, jak ino ~~...~~ wartko porzyszą, że się Michał żeni.

– Ho, mościewy – rzekł na to Cichański – ktoby też ta uważał, co się ludziom baje. Człekby nikomu nie zaszedł, jakby ~~...~~ iść za ich przewodem, ino kręciłby się w koło bez ustanowienia. Jeden tak mówi, drugi zaś inaczej, a wszyscy razem, to wierutny babel, [illegible] szanie ozorów, jak powiada przemoc. I dyabli nie śpią, szturmują powiadacie. ~~Ale ja na to odrzekę słowami kościoła~~ A ale ich moc ustaje u progu kościoła: „Bramy pie...

kichce nie przemoże cię." Jak co postanowione od Boga, to się musi ~~[illegible]~~ spełnić, choćby sam kiesper stanął ~~[illegible]~~ z czeladzią na warcie. A, wdać, takie było ~~[illegible]~~ z dawna przeznaczenie, skoro nas duch święty ~~[illegible]~~ natchnął jednakowym zamysłem.

Siedzieli oba długi czas w milczeniu, ~~[illegible]~~ ważąc w cichości ~~[illegible]~~ każdy swoje myśli. Wreszcie pozezwał Łukasz:

— Trudna rada. Nie doczekał się człowiek syna...

— O mościwy, — rzekł Czachowski, widząc, że go trza pocieszyć — Nie ma czego żałować, ani nadczem biadać. Z córki większe skrzepienie, bo jak padnie na człeka choroba (niedostatek) to ta prędzej nabliży i zaopiekuje, serce ma zawdy ~~[illegible]~~ przychylniejsze starobliwym ojcom.

— Dyć i to prawda. Ale znowu markotno człekowi, że nie ~~[illegible]~~ będzie miał nikto po nim urzędu odziedziczyć.

— Przecie was, chwała Bogu, krzepkość nie opuszcza. Pożyjecie jeszcze długo, nie gryzcie się darmo.

— Hej, mocny Boże! Już to nie te siły, jakie bywały, bo nie te! A tu się zewsząd zwalają na głowę coraz to większe ciężary. Ani były ważniej opowiedzieć nie zdołał...

— Ja wierzę.

— Złość ludzka z przewrotnością wzięły się za ręce, wszystkie ~~[illegible]~~ głupiego wołaniem o pomoc i chcą obalować wszystko, co im się nie widzi.

— Kanyżby się podziała zazdrość z mościwy...

— ~~[illegible]~~ Dyć nie co dusze, bo zazdrość wierutna. Ona to miłościom wojuje o władzę a rozpowiada głośno, że o krzywdę... ~~[illegible]~~

— ~~[illegible]~~ Kto powiedzie, ~~[illegible]~~ ludzie, jaka to przewrotność. —

— Trza mieć przezorność wielką i uwagę, by się nie dać łatwo podejść ~~[illegible]~~, trza mieć dużo siły, bo inaczej zdrada może zwyciężyć! a wtedy... Panie ratuj ~~[illegible]~~, zachowaj od takiego końca. Byłaby to gospodarka, o jakiej się ojcom naszym za życia nie śniło.

— To też ~~[illegible]~~ jak wypadnie Hanby, ~~[illegible]~~ będzie wam już lekcej. Wyciśniecie ze głowy choć po jednej stronie, i będziecie wtedy mogli swobodniej wójtować.

— ~~[illegible]~~

— Dyć żeby Bóg dał...

— Uważcie, już wam będzie ~~[illegible]~~ lekcej.

— Trza jako radzić...

— Koniecznie trza siadłem podumać.

— Bo czas leci...

— Nie stoi...

— Pichód nie zasypia.

— No to kiedyż myślicie naprawdę poczynać?

— Czy ja wiem, mościwy... Zeszłoby się jak najprędzej...

— Jaśnie na zamachu...

— ~~[illegible]~~ niedziel pozostaje. A trzeba ogadać sprawę ze czterech stron dokładnie.

— No to radźmy, kiedy tak.

— ~~[illegible]~~ Wielu Opatrzności...

I radzili, jak dwa bogi zamurzałe od wieków, ocwiedzeni chmurzani przed oczyma pastorzy, który ~~[illegible]~~ oczyścił ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ barasbując krawędnie przy ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ czyste, a ich wiedzą jaki los im gotują niecznane wyroki.

Tak w chałupie zamrocznej, radzili ojcowie.

A o tym czasie Franek odprowadzał Hankę. Spotkali się na wierzchach prawie o śródwieczerz. Hanka wyszła po trawę na halony do wązbu, jak zwyczajnie po służbie, mając czas swobodny, a on ściechał na wierzchach — i tak się znaleźli. Zasiedziało się im bardzo tu wysoko, uradzili na odtąd co niedzielę schodzić się na wierzchach. A rada trwała dość niekrótko, bo ich mrok zaskoczył, i musiał Franek sprowadzać Hankę na dół drogą. Skoro ostatni lasek minęli i ugory na zboczu się otwarły przed ich oczyma, podziękowała mu za opiekę, mówiąc, że tu już śmiało pójdzie sama. Więc ją pożegnał i skręcił ku dolinie rostok. Z daleka zawołał jeszcze:
— Ale przyjdź na pewno!. !
— Przyjdę!
Rozśmiała się ku niemu, i pobiegła na dół, przeskakując zagony, jak sarna spłoszona. Wnet zbiegła ku roztoce i zginęła w mroku.

Franek, idący zboczem, poziérał w dolinę, czy mu się nie zabieli jej postać z daleka. Ale na próżno wypatrywał oczy w gęsty mrok rozlany pod drogą, i nie widział nic. Chcąc jej powiedzieć z dala, że o niej myśli, zaśpiewał głośno, aby echo nie straciło słów.

— Hej! czy ja nad doliną,
czy ty na zboczu —
To za tobą dziewczyno
Lecą moje oczy.

— Mógłbych śpiewki układać... — rozśmiał się do siebie.
Chwilę przystanął i słuchał, czy mu nie odpowie. Ale ino echo grało na przeciwnej stronie. Skoro zmilkło, rozpoczął, podnosząc głos.

— Hej!. gorący roztoka,
Rozpowiada szumnie —
A ja wołam z wysoka,
Obróć oczy ku mnie...

— Byłoby... śmiał się — Nie tak ci ostatnie... Ale coby tu nowego? — spojrzał dookoła.
Za górą czerniło się czoło Obidowca.
— Aha, już wiem... Tośpiewię... Ino czy uczyły?
Zawiódł głośno, aż zbocza zadudniały wokół.

— Hej! popod las, popod las,
popod Obidowiec,
Nawróć-że mi dziewczyno
Korstrachanych owiec...

Nim echa powtórzyły, dopowiedział dalej.

— Hej! nawróć-że mi, nawróć,
abo ja nawrócę,
Ej abo cię pocałuję,
abo cię zasmucę...

I jął wywodzić coraz nowe, ~~śpiewki, to smutne, to wesołe,~~ na przeróżne nuty, i śmiał się i radował, jak dziecko niletnie, gdy mu się słowa zeszły i złożyły składnie.
— Próbujmy dalej — szeptał, skoro echa cichły.
I śpiewał, o czem ino oko powiedziało. To o zorzy zachodu, która, obaczywszy mrok na dole, zbladła i skryła się za skrzydła oswiałych chmur, to o lesie ostatnim, skazanym na ścięcie, który, nie czując złego jutra, owinął się w czarny płaszcz i szepce pod... pacierze, to —

o wierchach, które w mroku chylą się ku sobie, to wreszcie o tem, co naj-bliższe: o swojem kochaniu. [W szczęśliwem sercu jego zrywały się ptaki, skore do lotu, dziwnie rozśpiewane; takiej swobody nie pamiętał dawno, ~~chyba kiedy pastuszym zganiał owce z pola~~ o zachodzie słońca ~~zganiał owce z ugorów~~ chyba w owe czasy, kiedy pasterzem po zachodzie słońca zganiał z ugorów owce, napasione godnie. Od tego czasu dużo wody spłynęło roztoką. Ależ się powróciły zapomniane chwile, ~~ożywiały~~ pozbudzały się wszystkie zabarwione śpiewki i nowe się urodziły z miłującej duszy. [Nie mógł się ~~odśpiewać~~ odśpiewać, tyle szczęśliwości było w jego sercu, pełnem słowiczych trzepotów. Czuł chęć wypowiadania na głos wszystkich myśli, wyśpiewania wszystkiego, jak dziecko, które śpiewaniem rado mówi, czy je kto słucha, czy nie.

I stał się dobrym w sercu przez miłość wzbraną — gdyby świat jedną postacią zjawił się teraz przed nim, ująłby go w ramiona swoje rozskrzydlone i serdecznie uścisnął. Ziemia nawet, ta surowa, zdała mu się piękniejszą — każdy wierch, każde drzewo pozdrawiał z daleka.

Rozgrały się uboczne, rozchwiały się jodły, gałęzie w rozkosznem drżeniu tarły się o siebie, rozkołysały się trawy melodyą miękką, jakby szła leciwa fala uśpionego wiatru, po całej dolinie echa pieśni błądziły, jak ciemne, jak rozstracone po lesie bojaźliwe dzieci, nawoływały się żałośnie, niewyraźnie, długo — ożywiła się do cudu ta puszcza zamarła, gdy Franek śpiewający zstępował w roztokę.

Naprzeciw obaczył z dala czerniejącą się uboczę.

— Będę też ciął! — zawołał, aż echo zaskrzekło, a bełkocąca roztoka na moment przycichła.

Z lekkiem, jak pióro, sercem poszedł do Huciska.

Z zapałem ścinał uboczę leśną i myślami o swojej Hanusi skracał sobie dłużący się przy robocie czas. Przez owo myślenie ciągłe rozpołowił się mu tydzień na dwa duże dni, z których pierwszy zdawał się mu krótszym, drugi zaś znacznie dłuższym, bo tak: Od niedzieli do środy żył wspomnieniami chwili owej, na wierchach przebytej, a zaś od środy do niedzieli oczekiwaniem nowego spotkania. To oczekiwanie tak na długość wydłużało mu czas.

W niedzielę za to było wielkie święto w jego duszy. Cała dolina, zamknięta wąwozem zdawała się mu ogromnem kościołem, którego ściany zieloność przybrała: jasna i ciemna i spłowiała nieco, pięła się w górę wszystkiem rozkwitem aż ku samemu wierchu pod sklepienie; a zaś po onem sklepieniu niebieskiem płynęły baranki czyste, wykąpane w rosie, to znów pierzaste, jak łabędzie [illegible] stadem; niekiedy patrzącemu zdawało się w oczach że to rój małych aniołków i drobnych dziecin ~~aniołąt~~ posplatanych rączętami w nieskończoność leci... I cichość taka była wielka w tym jego kościele, jak i w innych z kamieni, abo i z [illegible], kiedy zaś ludzie do jednego wyjdą, i nie słychać nic prócz ciszy zamodlonej w sobie; przez okno wązkie od sklepienia wdziera się światło białą smugą, pada z ukosa na ołtarz i odbija się na kościół rozszczepionym blaskiem, jakby schodziły odpromienie złotej monstrancyi.

Podobnie i tu, ino więcej jasności dostępowa. Nie przez uboczne okno, lecz przez całe błękitne sklepienie leje się z góry struga światła i zatapia cichą wszystkie białością przeczystą. A hań, wysoko lśni promienna monstrancya świateł, ocznom od ziemi za widna, za dużo przeczysta, aby

wyprostowane ku niej mogły patrzeć: rozżarzone słońce...

Franek błąkał się po tym kościele od samego rana, od świtu. Zachodził nad roztokę, podumał i wracał, przesuwał się przez gąszcze, wyłaził do wyrębu i, wędrując pośród traw, jak błędny rycerz, na każdej łączce odpoczywał chwilę.

— Jaki w tym kościele spokój! Ani echa głosu... Wszystko dokoła świętuje. Zwierzyna się pochowała i ptactwo pomilkło. Drzewa stoją w skupieniu i trawa nie szemrze, nawet i woda cichej płynie...

Pozierał w roztokę. Widział z góry, jak przelewa się pod wodnice smugą, snuje się pomiędzy skały, a napotkawszy większe głazy — zeskakuje wartcej.

W miejscu, gdzie się dwie roztoki witają u zbocza, widać było wodospad niedużo wysoki, ale cudnie z daleka światłami grający. Czasem zawieszał się nad nim sierp tęczy uciętej niby pasmo wielorakich barw, jak struny nad wodą rozpięte, po których chodzą krople światełkami gwiazd, to opadają deszczem migotliwych pereł, gdy wiatr, strącając je, lekko o struny potrąci. Pod wodospadem widać było wzruszającą się głębię, wirującą pianami toń, zwaną bajorem, z brzegu wystercające ponad wodę skały — ławy dla wypoczynku leniwych topielców.

Tam też najczęściej Rakoczego ciągło... Układał się po trawach, spinającego nogi, schodził na dół ku roztoce i siadał nad wodą, na skale, gdzie zwykłe topielce siadują. Z początku, dając wytchnienie ciemnemu w ciele zmożonem duchowi, patrzał bezmyślnie na wodę, która porywała zwolna rozbawiać jego oczy. Gonił przelatujące migiem fale, chodził za kręcącemi się w kółko pianami, albo rzucał urwaną na brzegu gałązkę lub patyk złamany w palcach i śledził, gdzie i dokąd fala je zaniesie. Zwolna chłód od zimnej wody orzeźwiał go i budził wypoczęte myśli; poczynały pomału wypierać oczami i psuć zabawę dziecka. Wtedy widział, co prawdy, ślizgając po grzebieniach fal, niezauważył, że woda odbija niebo i maluje je na dnie, w niezmierzonej głębi.

— Tak samo tam, na dole, po niebieskich polanach słonecznych idą, pasąc się, baranki czyste... Tak samo po błękitnych jeziorach powietrznych płyną śnieżne łabędzie... bez końca!

Zdało mu się raz, że siedzi na krawędzi ziemi — bezmiar powietrzny u stóp i nad głową — zawieszony na cyplu duchem nieciężącym, na krańcu wystającej nad otchłanią skały... Przeląkł się, aż dech zaparł od lęku i trwogi, przerażony, cofnął się od brzegu. Chcąc oczy upewnić całkiem, że naziemi stoi, zaczął rozglądać się dokoła i nabrał spokoju w sercu, aż poweselał.

Przypomniał sobie zaraz, że w młodości opowiadano mu o jednym człeku, który chciał wybadać grzmot. Bóg go za tę ciekawość dosadnie pokarał. Zajrzał ino ucho grzmotu — i padł na miejscu nieżywy; tak się przestraszył. Zbaczył sobie to Rakoczy, i pomyślał w sercu, że i on mógł paść, rażony strachem, gdy ujrzał ucho nieskończoności. A nawet nie całe ucho, ba! nawet nie włos...

Bywało, gdy go tak bezmiar przydusił ku ziemi, odginał się niby śmrek wichrem przygłuszony, rozprostowywał zwolna ducha i podnosił wzrok ku niebu, jak człowiek, który z padołu pokrzepienia prosi.

I, uświęcony w sercu swojem przeogromną czcią, modlił się:

— Panie! Wskrzesicielu światów! Władco dusz! Opiekunie ziemi i stworzenia! Oto ja, wędrowiec mrówczy i skwierczony duchem, gnę się przed Twojem obliczem, jak łodyga słaba, jak pęd, który od ziemi nie odrósł, a gnie się... Daj mi moc! Wiem, wiem, że żyję choć tę małą chwilkę... Na złe jej nie obrócę, o tem wiesz sam, Panie. Z nieprawością wojował będę aż do końca, pokąd mi sił wystarczy, pokąd życia! Za moc potężną ducha oddam na ugruntowanie Królestwa Twojego. Za cały regiment stanę, za tysiące — sto [illegible] po mnie przyjdzie, a nie żądz- ino daj moc duchowi mojemu, Panie...

Czuł się bliskim tego Pana, pewnym był, że go słyszeć musi, skoro sercem do Niego z padołu przemawia. Łudził się nawet chwilę, że ~~Ten~~ z chmury odpowie głosem, od którego cała dolina się wstrząśnie. Bo wierzył, że, jak grzmot na jasnem niebie, musi być jego głos: przeraźny, wielki. I, w kornem pochyleniu głowy oczekiwał, ale znikąd nic nie słychać było; ino woda hucząca w dole na roztoce, spadając potrzaskiem w cieśń, jak skrzydlate dni, prosto dal (~~[illegible]~~) zlatujące w przepaść. Nic nie mąciło spokoju, ino ~~[illegible]~~ jeden czas, co wodę od wieków ~~bez przerwy~~ przelewa. I nie wiedział, co wyraźniej słychać: czy szum wody, czy oddech zdyszanego od zmęczenia czasu.

Rozczarowany beznadziejnem milczeniem i ciszą, jaka się wokół rozszerzała głucho, dźwigał ku niebu ociężałą głowę i — dziw! — przewidziało się mu w oczach, jakoby dojrzał twarz posępną, chowającą się nagle za obłok. Czekał, czy mu się jeszcze nie objawi, ale na próżno, już się więcej nie wychyliła z za chmury.

— Czyżby ino przywidzenie?

Widzi jeszcze tę twarz w myślach, widzi jej obraz odbity na niebie, nawet, gdy zamknie oczy — widzi jeszcze... Skąd to dziwne omamienie? Baczy, że nieraz widział to oblicze — na obrazkach, w biblii, w kościelnej kaplicy... Ta sama biała, długa, jak pomarszczona, jak z wierzchnich obłoków uprzędziona broda, te same oczy groźne, czoło pomarszczone i włosy rozwiane wiatrem — ten sam żywy...

Czując wtenczas wątpienie mocne, począł wołać:

— Ukaż mi się jeszcze raz, o Panie! Albo daj znak, że jesteś, na świadectwo prawdzie... Cóż Ci to szkodzi wyjrzeć na sekundę, na jedno okamgnienie małe?.. Nic nie wadzi. Noto poraź mnie, ubij, skoro bluźnię...

Przeląkł się w sercu i w śmiertelnej trwodze oczekiwał, rychło się ozwie grzmot na jasnem niebie. Ale cisza była wielka, ani echa znikąd.

Wtedy poznał śmieszność całą swojego wołania. Poczuł się wstydzić sam siebie, swojego ~~[illegible]~~ warjactwa, i ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~, i ~~zapłakał~~ przyrzekł solennie ~~[illegible]~~ w duchu, żeby się nie odważył tak wołać ku niebu, gdyby się chmury ~~czarne~~ zeszły czarne i stanęły ~~groźnie~~ ~~cichą groźbą~~ groźną burzą nad jego głową.

I znowu długo błąkał się po zrębach; wreszcie schodził do koleby, gotował obiad, a co chwila wyzierał za próg, daleko-li słonko. Skoro się już przechyliło na zachodnią stronę, zasuwał wrota i puszczał się znaną ścieżyną ku wierchom. Trza było minąć roztokę, przejść stromy zrąb, ciągnący się wzdłuż przez cały upłaz, następnie przygarbków parę, dwie małe polanki — i za ostatnim gąszczem dopiero otwierała się polana widna, zajmująca wierch Wapielni, bliższej Turbaczyka. Tam, na tej wysokiej łące miał czekać Hanusi. Tu opuściwszy chatę po sumie miała dojść o śródwieczerzu, idąc za malinami zrębem, który się tu ścierał.

Franek wychodził zawczas; z dołu mu się widziało, że słońce już nisko, a teraz spostrzegał nieraz, że jeszcze dziesiąte koło po niebie zatoczy, nim śródwieczerz nadejdzie. Mając dość próżnego czasu, rozglądał się wkoło. A miał gdzie patrzeć. Bo choć Turbacz od południa zasłaniał mu świat, a od wschodu bliższe Gorce podźwignęły czoła, to na zachód i na północ było przestrzeni dosyć. Mógł dojść oczyma aż do Babiej, aż do Zielonych Dolin, które się od jej ramienia na prawo rozciągną, a ku północy jeszcze dalej, bo aż w lackie niże. Na tych obszarach wszystkie miejsca przewędrował okiem. Znał je i w każdem myślą postał, podumał na chwilę. Wreszcie zawrócił do wsi, wgłębionej w roztokę. Widział, że dopiero ludzie wychodzili z kościoła po sumie. Dużo ich było po drodze, jak rozsypane paciorki.

— Który też paciorek mój? — zgadywał myślą.

Ale ani uznać z tak wysoka. Czernią się, bielą i łączą się często, ściśnięte; po drogach, po ogródkach można tylko miarkować, że im drogi ubywa. Rachował zwolna czas, kiedy Hanusia dojdzie do chałupy, jak długo w niej zabawi, kiedy wyjdzie, i kiedy znowu przyrośnie w ubocz, nim się na polanie zjawi. Ale w rachubie omylił się o długo, bo to pono nie tak nogami mierzyć, jak oczami.

Wreszcie znużył się rachowaniem czasu i silił myśli ku czemu innemu, a łatwo było je oderwać, bo świat z wysoka zdrobniał jakoś; rozszerzył się, a zmalał... Zdawało mu się chwilę, że siedzi na chmurze jak ptaszek, i patrzy z góry na ziemię. Przelatują popod nogi, jak znikające obrazy, wsie, miasta, góry, lasy... doliny, roztoki... Wszystko z ogromną szybkością pędziło, jak te fale na rzece, niczym bezpowrotnie. I coraz nowe, coraz nowe wyłaniają się widoki. Aż oczy nieruchomieją od zmrużenia, od wszystkich kolorów świata [illegible] tak [illegible] barw.

Zadumywał się tak mocno, że się zapominał, gdzie jest, w jakiej przestrzeni. Tracił się doszczętu. Zbudził się dopiero, kiedy śmiech uderzał o jego uszy, albo głos wyraźne słowa:

— Franku!

Hanusia stała przy nim.

— Można cię ukraść, a nie będziesz widział... O czem tyś tak myślał wreszcie? powiedz...

On, zamiast odpowiedzi, wyciągał ręce po nią i sadzał ją na kolanach, jak dziecko niedołężne. Czasem się wyrywała, a niekiedy zlatywała ku niemu sama, jak oswojona ptaszyna. Za każdym razem przynosiła jakieś nowe przeczucia niezwykłe, że się aż Franek dziwiał.

– Ty mnie musisz bardzo kochać...
– Bardzo. Jno o niczem nie myślę.

Nie uciekała, gdy się przy niej zadumywał o czemś. Raz nawet, stojąc przed nim, powiedziała wprost:
– Wiesz, Franek, czasem, to mi się zdaje, że ty patrzysz na mnie, a nie widzisz mnie. Tak, jakiebym ja tylko stała przed tobą, a ty jakbyś przez mnie wypatrywał coś dalekiego gdzieś za światem.

Pociągała mu czyste wymówki, aż jej przyobiecał, że od niej myśleć nie odejdzie, przynajmniej wówczas, gdy jest przy niej. Dotrzymywał słowa, nawet chętnie, bo go musiała zająć i rozbawić. Czas ulatywał przy niej, jak skrzydło połyskane wiatrem. Pozostawał tylko w niej ślad rozkosznej cielesności ulecianych chwil. Rozmowy ich były puste, swawolne, jak u dzieci, których ojcowie jeszcze żyją.
– Kto bardziej kocha?
– Ja...
– Nieprawda, bo ja!
– Co ty robisz przez tydzień?
– Myślę o tobie... a ty?
– Ja taksamo.
– Żeby tak świat przed nami stanął!..
– To co? Powiedziałbym mu, żeś moja.
– Nie ogolisz się, widzisz, wyglądasz, jak cygan.
– Skądże ja tu, moja ty, brzytwy wezmę? Musiałbym chyba szkłem ostrugać z gałęzi...
– Weź skąd chcesz, a pozbądź się tych ~~kołtuszych~~ grzywek. Bo inaczej, to cię przestanę kochać, będziesz widział!

Nie zważał na jej słowa, ani na opór ostatnich nawet, ale brał ją przemocą, sadzał na posłaniu z liści i całował bez upamiętania, aż do utraty tchu. Wiła się pod gorącem jego pocałunków i szeptała, jak we śnie, przymykając oczy:
– Mój! mój! mój!...

Cichość ich otaczała zewsząd. Czasem tylko, opadając, szeleścił rozkwitły owoc buka, który się ponad nimi w górę rozgałęział; rósł na kraju polany, owinięty całem ciałem dookoła jodli, i tak się z nią domknął, że nie można było z dala rozeznać czyje konary czy jodła. Zdawało się patrzącemu, że to jedno drzewo.

Mrok już gęsty zapadał, kiedy Franek odprowadzał ją do ... składając w głowie śpiewki, coraz to cudniejsze.

I tak czas wartko upływał, mijały tygodnie, a posterskiego od kochania nic nie macił. Widywali się na wierchach, od jednakiego czasu i przeżywali coraz dłuższe chwile upojenia. Świat im gorzał, zdawało się im, że nikogo, prócz nich, niema na całej przestrzeni. Franek się coraz rzadziej zadumywał w sobie. Spostrzegła to radośnie i darzyła go pieszczotami, o jakich pojęcia nie miał. Wydziało się, że cały tydzień jeno o tem musi myśleć, jakby na niedzielę Frankowi zgotować pieszczotę. I dziwnie jakoś odmieniła się. Dawny bywał w niej obawa, niepokój o jutro, a teraz to wszystko zniknęło, jak mgła się rozwiało.

Ile razy chciał Franek nieść rozmowę poważną, a nawet o jej ojca wspomnieć – przerywała mu pocałunkami, nie dając słowa wyrzec.
– Nie myśl o tem. Będzie czas... Jno kochaj! kochaj!

Jakaś dziwna lekkomyślność ją opętała. Widniała z jej oczu rozświetlona beztroska o przyszłość, czego dawniej nie widywał w niej, choć przezorna była. Ukołysał się i on przy niej, odurzył, i niepomyślał już o celu.

ściach życia. Żył, jak w pół-śnie, pół-jawie, dotknięty między wzruszoną, która owijała jego myśli i na oczach osiadała, niby wiotka pajęczyna babiego lata. Poddał się z ciekawością temu wrażeniu i, ani czuł, jak ono powoli, zdradnie rozluźnia jego wolę i omotywa umysł. Wszystko, co czynił w tym czasie, zdawało mu się jakieś mgliste, tymczasowe i dziwnie jakieś lekkie. Ani jedna myśl frasująca nie nadeszła go teraz. Dziwił się sobie, tej przemianie dziwnej, ale niepokoju nie czuł w sercu, ani wyrzutów żadnych. Gdzieś w jego duszy na dnie samem dnie odzywał się czasami jakiś przygłuszony głos ostrzeżeniem myśli. Ale go Franek uspokajał i pocieszał sobie: „Nie bój się! To jno tymczasem... Potem inaczej wszystko się ułoży. Jakże ja teraz mam inaczej żyć? No uważ sam i powiedz... Niech się ta już tak samo żyje do jakiegoś czasu!"

W tem śnie-życiu obiegło go na chwilę parę wypadków.

W jedną niedzielę z południa, jak zwykle, szedł na polanę oczekiwać Hanki. Minął wieś i szedł lasem, zarosłym krajem, i tu niespodzianie ostatnich nadybał Cyrka. Zobaczył o nim i nie wyszedł, że się tu pławi. Stał on przy małej jodliczce, a obaczywszy Franka, przyłożył palec do ust i przez zaciśnięte zęby syknął:

– Tsst!

Franek też, podnosząc stopy, aby gałęzi nie łamać, zbliżył się cicho, na palcach ku niemu.

– Czegoż to wypatrujecie? – spytał.

– Ona tu zaraz przyleci... – ale Cyrek nie odrzekł, zapatrzony w górę. Dopiero po chwili jno jej powiedzie...

I patrzył w milczeniu dalej. Wreszcie, nie spuszczając wzrok, opuścił głowę.

– Musiało ją cosi zapędzić... Kamyż idziecie?

– Na polanę.

– To was kawałek podprowadzę.

I ruszył z Frankiem, opowiadając po drodze.

– Ani pojęcia, jakie to stworzenia znajdzie! Co ja się im też napatrzę! Nieraz mi przyjdzie i do zmroku, pokiela nie posnę. Tyle gwary przez cały boży dzień po naszym lasku, że się osłuchać nie poradzę wszystkiego, co one plotą. Wyganialiście ich z ubocza, to się tu osiedliły. Ale i ta nie bieda... Gdzie się zaśnie, jednie robota, to i za dość pracy nie spocznie,

Opowiadał o gniazdach zatopionych deszczem, o rozpory poro, dziewczyn skrzydlatych za dziećmi.

– Muszą się, wreszcie, na nowo budować i to się ściągnie do jesieni. Za nim wiele odnowiejsz, to ich mróz zapadnie. I znowu bieda... Ej, nie ma też to na tym świecie żadnej sprawiedliwości! – biadał idący koło Franka.

– A wam się jako wiedzie?

– E tak ta, nienajgorzej... Ale to strzymać, to już mają wszelkie ustrapienie z życiem. A tak biedactwo krótko żyje... Co też to nie za rozum! Żeby to niedy ludzie tak... Ale nie warto i myśleć. Jak ony se pomiędzy sobą gadają! Ha! Ha! Żeby się ta przysłuchali...

– Wy znać trochę ich gwarę...

– Ba! Być to niewielga sztuka. Kiedy mówię przecie pojąć... Tu się jno przysłuchać uważnie. Dróżd na przykład przeklina ot tak sposób – to, począł udawać głos chrapawy drozda – „Konisiom, Konisiom, Cyrapol, Cyrapol, bierzem go, Cyrego, popod brzuch!"

Franek stanął zadziwiony, żeby wyraźnie drozda usłyszał i dopiero teraz pojął jego szyderną gwarę.

A Cyrek, widząc niemałe zdumienie w oczach Franka, uśmiechnął z dumą i począł dalej udawać.

– Albo ludzi nawołuje: „Orać, orać, siać, siać, skrobać!" albo znowu opowiada: „Mój brat, mój brat w morzu siedział, ryby jadł!" Ale nie jednako opowiada, bo innym razem: „Mój brat, mój brat górował, owczarował, serze jadł!" Bo, widzicie, ma dwóch bratów, jeden po wodach lata, a drugi po wierchach. A on jest trzeci, leśny. I tak różnie – czasem to go ni można wyrozumieć, jak gada: „Stuchlik, stuchlik, stuchlik, ciachciachok!" Kto wie, kany się ta wyuczył takiej gwary. A jak widzicie, zawdy powtórzy jedno słowo dwa i trzy razy. Zremba, bo ino po naszemu: „Sciej, sciej, sciej gorzałecki siemieniaka!" A na końcu to tak przyczynie, przytuży człowiekowi, żeby się nie opuszczał na nic. Konopka znowu ma swoją filozofię, a jakie. Jak padnie na przednówku mór między bydło, i chłopa taka bieda ściśnie, że mu ostatnie cielę skapie, to wtedy, wiecie, Konopka siędzie przed izbą na gałęzi i pociesza strapionego chłopa: „Nie będzie, nie będzie zdechłemu cielęciu nic!" Takie to mądre...

Ponad głowami stojących przy lesie ze świstem skrzydeł przeleciał ptak ciężki i przepadł w ciemnych gałęziach smreczyny. Cyrek, który mu się w przelocie przyglądał, począł się gorączkowo żegnać z Franckiem.

– Powiadałem wam zaraz, że ja musiałem coś zajść. Ona tu ciągły stąd nie wraca. Trza iść, uważyć, co to takiego.

Franek, zaciekawiony jego powiedzeniami, chciał go zatrzymać dłużej.

– To był grzywacz, zdaje mi się – zagadnął.

– Grzywaczowa, moi drodzy. Bo on pióra ma szare i wstrzykane, biała na podgardlu, a ona szara cała i ma białe korale pod szyją. Przecie widzę.. Oni się wywodzą z drozdów. Ale niewiem czasu, moi drodzy, kiedy indziej, to wam opowiem i o nich. Ostańcie zdrowi!

I odszedł. Przepadł, jak echo, w lesie.

Drugi raz nawet przyjemne znowu miał spotkanie. Wracał z połany w szałasie o mroku. Jeszcze nie dorzucił było ciemno. Przeszedł roztokę, kręcącą po skałach, wyszedł na polankę cichą, gdzie kiedyś spotkał, boczkiem i zdążał prosto do Koleby. Naraz słyszy trzask gałęzi w skrajnym lesie – odwraca się i widzi łeb straszny, jak potworny. Wydało mu się w pierwszym mgnieniu, że to szatan stoi przed nim, albo jaki strach. Zatrząsł się cały i nogi pod nim się ugięły. Ale w tej chwili poznał postać dzika. Kły sięgały ogromne. Lęk go nie opuścił z tej pewności. Pomyślał, że gdy [illegible] cąc zamajaczył mu przed oczyma. I mimowoli objął się za jakąś [illegible] po jego kości. I w te razy dzik charknął trwożnie – ochroną – i przepadł w ciemności. Słychać było jeszcze tupot i dudnienie ziemi. Ochłonął, ale postanowił sobie, nigdy tak próżno o tym czasie nie iść. I zawdy, gdy wychodził, brał ze sobą strzelbę. Idąc coś do roboty, ostawiał ją po drodze w wybuntowanej kłodzie.

Te zdarzenia jednak przeszły, jak coś powszedniego, nie ostawiając w jego sercu trwałego wrażenia. Przez oddalenie zwierzęcy i czasy [illegible] z jego pamięci. Żył, jak w zaczarowanym kraju, śniąc jeno, że żyje. Całą uwagę jego pochłaniała myśl o minionej niedzieli i o tej, co ma nadejść. Zatopił się coraz bardziej w bezkresie leniwej i rozmarzającej wyobraźni rozkosznej kochania. To było jego snem i jawą i całem uczuciem. Jakiś urok czarowny padł na jego oczy i zamglił mu je tak dokładnie, że nic nie mógł wyraźnie widzieć, prócz jedynie postaci ukochanej Hanki. Wszędzie za nim szła, zastępowała świat cały.

i nagórzis jaśniała przed nim, jak różowy wschód. I byłby się Franek uśpił pod promieniami tej ciszy, gdyby nie przypomnienie, które go zerwało i obudziło moc czuwania, zaostrzając oczy.

Oto w jedną niedzielę popołudniu, nie mogąc się doczekać Hanki na polanie, poszedł po wierchach dla rozrywki i zaszedł niespodzianie na szczyt Turbacza. Wierch ten górował nad innymi i widać było z niego dobrze wszystkie polany naokoło. Franek stanął na szczycie i rozglądał się. Naraz zadrżał i pobladł ze wzruszenia... Przed nim blisko, tak blisko, że prawie ręką sięgnąć, ty-siało koło Turbacza, a na nim czerniły się Kamienie.

Nawrócenie jakby łuska opadła nagle z oczu. Wszystko się tak wyraźnie zarysowało przed jego wzrokiem, zdał się jasności niespodzianej przejrzał. Kamień rosły, olbrzymi w jego oczach, widać było mech żółty i litery drżące. Rękoma, stojąc blisko przed tym kamieniem, powtarzał:

— Łacki... Koldorześ Łacki...

Ale nie czuł, jak wówczas, lęku ani trwogi, ale potęgę jakąś szczególną w duszy swej wzbronną, która to imię obudziło. Jakoś hardo brwi zsunął, tym imieniem. Zdawało mu się, że zmartwychwstała moc tak mocna Bożej wodzę. Czuł się związanym tajemnicą z tym duchem nieznanym i ślubem wielkim, który musi spełnić. Bo czuł jakoby dwie postacie w sobie, jedna umarła — ta nieznana — a druga w nim żyje. Myślał nawet rozdzielić, szepcząc:

— Koldras Łacki...

I serce jego rozgorzało na nowo żądzą czynu.

—

V.

Minęły dni za dniami, a Kakony klął świat, że musi bezowocnie tę ubocz ścinać. Gniew swój odbijał na drzewach i rąbał je z wściekłością, niby wrogów zaciętych w bitwie, aż miazga pryskała z ich ciał. A tu końca nie było widać. Ta ubocz zdawała się niemożliwą zmożonym pracą siłom. Chwilami ciskał siekierę.

– Pójdę! Świat szeroki. Już mnie tu nie uwięzię. Co jabych się tu miał targać, ~~kiedy tam sto rzeczy czeka~~ i to po próżnicy, kiedy tam sto rzeczy czeka...

Jednak po krótkim namyśle schylał się po toporzysko i znowu rozpoczynał swoją ciężką pracę.

– Darmo! Skoro się rzekło, to już nie uwolnić. Trza tę niewolę ~~przebyć~~ przetrwać i dojść do końca. Ej, przychodzi ~~[illegible]~~! – westchnął czasem – jak i mnie teraz... czyja lekkomyślność wspierać i wspomagać grzech.

Tem ~~[illegible]~~ większa gorycz ~~[illegible]~~ zalewała jego serce, że widział teraz dużo jeszcze tylu na nic straconych ~~[illegible]~~ i zmarnowanych chwil.

– Żebyż to choć dom budował i takim mozołem... Szczęście, że się ~~[illegible]~~ w lecie ~~mojego żywota~~ przydarzyło w lecie mojego żywota, że ~~[illegible]~~ pozostaje jeszcze do użytku ~~[illegible]~~ czasu dosyć, jak uważysz po siłach. Ale, gdyby tak padło na jesieni życia, toby wtedy ~~już~~ umierał w rozpaczy człowiek, boś nadaremno żył.

I tak umęczony przy pracy niewolnej jęczał z serca, a pragnienia jego mocne rwały się ku nieznanemu ~~[illegible]~~. Dusza jego ochłonięta z chłodnego snu, rozprostowywała swobodnie skrzydła i, umocniona przeświadczeniem obecnej niemocy, rosła w świecie jej potęgą i mądrość, nie ~~[illegible]~~ tworząc przed życie, niepokonaną i zwycięską, jak światło wybuchające. Niekiedy powtarzał głośno:

– Hej! coby ja mógł!..

Na razie widział się ~~otoczonym~~ okrążonym zewsząd, zamurowanym ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ założonych przeszkodami i jakoby w więzieniu od świata ~~[illegible]~~ zamkniętym. Mógł ~~[illegible]~~ jemu śnić o potędze i ~~[illegible]~~ niejasnych ~~rozumowi dzieciach~~ ciemnemu rozumowi dzieciach. Snuł też i marzył całe ~~noce~~ długie wieczory i świtania. Wszystko, co ~~by krewne~~ było krewne jego myślom, potężne, wielkie, rozpaczliwe – stawało mu przed oczyma jawą.

Widywał we snach Tatry... Przez wyobraźnię spotężniałe, rosły w przerażający ogrom, w nieskończoność. Wierzchołki ich wychodziły ponad krainę słońca, gdzie już króluje Nic, i stamtąd patrzały na dół twarzą zielemiałą strachem własnej potęgi.

Mierzył się myślą z wierzchołkami Tatr, i z ciężkim żalem spostrzegał, że jeszcze głowę trzyma w słońcu na równi z okwarcionemi ścianami, daleko od granicy królestwa nicości. Ale czuł, że gdy się wolą, spiętrzoną ~~w swojem wnętrzu~~ od ziemi odbije, to się wzniesie nad nie wzlotem, choćby miał wpaść i głowę roztrzaskać ~~od~~ o granicę.

Te rzeczy mówiły mu o szczęściu prawie nie zdobytem. Ręką sięgał do cudu sercem, pragnieniami, duszą. Wszystko, co zagradzało drogę do ich myślowego urzeczywistnienia, począł z niechęcią ~~[illegible]~~ zwać wrogiem. Począł się nawet lękać zdrad własnego serca. Za to stawały w przymierzu z jego myślami rzeczy, przed którymi niedawno uczuwał obawę ~~jako przed dziwnie piękną~~. Porywało ~~jego~~ wyobraźnię wszystko, co niezwykłe. Dziw! Z zapomnienia starego wyłaniała się ~~[illegible]~~ chwilami postać cyganki, którą spotkał był w Kowańcu wracając z Ludźmierza. Piękność jej dzika i tak niezrozumiała jawiła ~~mu~~ się teraz wyraźniej ~~przed oczyma~~ niż ~~wówczas~~ wtedy. Niekiedy o zmroku, gdy drzemał z dala, widział wpatrzone w siebie jej oczy ogniste. I dziwnie potężnego doznawał wrażenia. Jakby płomieniem tych wpatrzonych oczu parzyły jego mózg...

Gnałby na przepaść, na [?] z gór głową — Zetmał-by wszystko, co szedł — leciałby na śmierć bez pamięci — niech wszystko się zawali potem! Byle te oczy patrzały... te oczy... Nie było w nich rozkazu, ani prośby, ani zachęty — nic, ino jakoś strasznie, patrzące przeznaczenie, które czeka... A tych idź [?] naprzód, nie uważając, z rozkoszą wściekłą druzgotania, nie bacząc na wszystko, co go spotka: zwycięstwo czy zagłada, odżycie czy grób. Te oczy nie zapalały, podziwem nawet nie zwabiały. A przecie za ich spojrzeniem przez piekło można brnąć!..

Takie wobec tej jałowej sieci niewyraźne odczucia i wyobraźnię rozpalał zwołanem zjawiskiem. Bo sam wydobywał je tęsknotą w chwilach wieczornych zamyśleń, gdy wypatrywał drogi w ciemności dla swojej mocy, gdzie on też nie przewędrował, po jakich dziedzinach! Najbiedniejszym snom dawał gościnę i przeglądał je rozumem, jakby je mógł spełnić. Więc marzył i tak w dumaniu: Ł. B. rzuci wszystko, pójdzie do Kowanica [?], zaraz na wstępie do osady spotka tę młodą cygankę przecudnej urody i już jej nie odejdzie, jak wtedy, a ona obdarzy go potęgą, jaką daje wiadome tu na ziemi przeznaczenie. Już będzie wiedział, co ma czynić. Zwoła całą osadę i ogłosi się ich królem, który ich ma wyprowadzić z domu niewoli. Uwierzą mu i dadzą posłuch, bo ona schyli przed nim głowę wyczekującą, jak poddanka. Tylko jej oczy będą mówiły, że jest panią jego czynów i jego serca. Wtedy powiedzie wszystkich na węgierskie niże, gdzie ich bracia rozliczni w pokajaniu [?] żyją. Na posłuszanie [?] ochotnie i tłumnie i będą się zlatywali, jak ptaki na wiece. A nie ino ci, bo wszystkim będzie hasło grzmiało: „Kto chce swobody, ku nam!" Któżby jej nie pragnął? I tak będą zastępy rosły wśród fanfar bojowych w zwycięstwo... Aż się cała Dunajna dolina zaczerni. Będzie ich taka moc, że grody spadną od samego strachu. Morem siwiejącym [?] zaleją doliny, zatopią wszystkie grody Siedmiogrodu i na najwyższem zawieszą zatknie sztandar, który będzie łopotał czarnemi skrzydłami, niby orzeł łańcuchem do skały przykuty. Czyje imię będzie wówczas szumiało morze? Czyj głos będzie, jak łoskot najdzikszej błyskawicy? Echo jak wspólne [?] przyleci ku Tatrom, a Tatry głucho odhukną: „Rakoczy!"... I po owej ziemi będzie echo grało. A on będzie w jej oczy patrzał zapytaniem: „Czy chcesz więcej? Góry rzucam u stóp ci... Czy chcesz wyżej? Świat cały oddam za podnóże..." Dzikie oczy jej, ogniste szczęściem, nie odpowiedzą: dość!. Wtedy pocznie się cygańskie wesele...

Na samą myśl, że tą drogą, jak bramy piekieł niedostępna, za którymi niczemne [?] piekło raju, mógłby iść jego Rozumek [?] — obłędnego zachwytu porywał go nagły, jakgdyby nagle stanął nad otchłanią... Gdzieś [?] niczemne [?] ciągnie i odpycha. Śmierć wydaje się rozkoszą i lękiem... Drżenie go przebiegał, ale drobny, niepojętych wzruszeń.

Gdy się otrząsnął ze dna z tych marzeń szaleńczych, jeszcze długo czuł w sercu echo ich przejść, które zostało jak cisza po burzy, jak watra po spaleniu [?]. Zaszło do reszty te niedołężne główne snów samotnych spotkanie się jego z Hanką, w której starał się widzieć przewodniczkę swoją i jedyny przedmiot, bo najbliższy, miłosnych swoich pragnień. Uważał ją wybraną i malował perom swoim tak, jak chciał w myślach ją widzieć. Przeto się mu wydawała wciąż że czeka [?] i nie podniosła [?] lecz, jak go mógł inny pomyśleć. Wstydził się w sercu i wyrzucał sobie ciężko tę zdradę potajemną wobec ukochanej. Przy tej co mu łatwiej przychodziło, że Hanka coraz rzadziej pokazywała się na wierchach, opuszczając naprzód święta, potem i niedziele.

widoku wyglądał się wcale nieszczęśliwy i tracił barwy żywe postać cyganki. Nie nachodziła go nocami, oczy jej tylko czasem w mroku błysnęły dziko i złowieszczo, albo zaświeciły zimnym, szydzącym ogniem. Te oczy niepokoiły. Były mu, jakby wyrzutem. Sam już nie znał się w rozumie, co nienawidzieć, odganiać, a czemu dawać posłuch. Myśli i pragnienia duszy stawały nieraz wyraźnie w poprzek jego serca, siłą je często naginać i niewolić gwałtem. A te instynkty znowu jakieś niechowane odzywały się, może, każdy swoim głosem. Nieraz te wszystkie wnętrze wewnętrzne zewrą się i w nowy chaos taki głoszą, że głowa od niepokoju pęka. Widział tylko, że wszystkie godzą się na jedno, wszystkie pragną dla niego mocy i potęgi. Przeto wszystkie przyjaciółki już są... Ale nie wiedział, kogo. Praca gasiła ich spór, stawały się wówczas jedną myślą. A już odpoczynek je rozwydrzał i powodował ów starcz wewnętrzny, które owładał nakoniec zmierzch i sen, przyjaciel śmierci. W takiem rozkłopotaniu i rozterce spędził Rakoczy noce, wieczory i święta.

Chcąc ujść nachodzącej samotności, które go oplatały podczas mroku i duszącymi uściskami niewoliły duszy, opuszczał często nad wieczorem próg swojej koleby i włóczył się po dolinie aż do późnej nocy. Gdy się trafił czas pogodny, wtedy zachodził dalej uboczami, nieraz do skraju polan, które wyżej wierchami się ciągną. A w tym czasie było dużo ruchu na polanach. Ludzie, którzy za dnia suszyli pokoszone trawy, dokładali kóp, zwijali się i zamykali koleby, aby ich nocą na wierchach nie zastała, bo dalekie drogi mieli do chałup swoich; niektórzy byli z Klikuszowej, z Nowego Targu i z dalszej jeszcze. Pasterze spędzali woły do koszarów. Odzywały się kołatania przeciągłe i wrzaski. Nieraz od Czoła z wierchu zaleciało:

„Hej!.. Jurbaciu, Jurbaciu!
Coześ tak osowiał?
Ej, czy cię mgła ściadła,
Czy cię wiater owiał..!"

Wtedy Rakoczy wspominał z lubością swoje pasterskie czasy, kiedy z rówieśnikami pasał woły po polanach. Było to życie! Jakieś dziwnie lekkie, pełne swobody i beztroski. Szukał pamięcią w zaczernionych latach i nie napotkał tak szczęśliwych chwil, jak te, przebyte za młodu na halach. Tak się przypominały, jak te łąki, wyprzewijające się leniwie w słońcu. Widzi je dobrze, i tęsknota wyrywa mu ku nim duszę. Hej! żeby się to wróciło...

Bacował nieraz i miesiąc nie pokazał się w chałupie. Za dnia chodzili z wołami po trawiastych zboczach, a nocą legowali w kolebie na łóżkach bucznych. Ziemniaki piekli pod jedlami, a gdy zbrakło, to zbierali dzikie agrest, kosmaty i bukiew. Łazy były nieprzebyte; nieraz tygodniami szukali zgubionych wołów. Jakaż była radość wielka, gdy je nadeszli leżące w powalonych trawach leśnych, że im tylko rogi duże wystawały z traw. I tak pędzili żywot lekki bez oglądania się na potem.

Ze sobą byli zawsze w zgodzie; jeden drugiemu rad woły przyprowadził, i każdy nie zjadł nic bez towarzyszów. Gdy się im zadużo siły nazbierało w sobie, wtedy rąbali siekierami kłody lub ścinali twarde buki, i w środku, i darli je na łuczywo podczas leniwych słot. Raz ktoś wypatrzył tak grubego buka, że go czterech nie mogło rękami objąć; to go trzy dni ścinali, nim legł. Albo też, co najczęściej, brali się za pasy i siłowali się po dwóch na ordeku, a reszta stała i patrzyła (wyrażając zadowolenie śmiechem lub uwagą). Kto zwyciężył, [illegible] musiał z drugim iść w zapas do tego, póki go ktoś nie przemógł. Zdarzyło się dwóch

jednakiej siły, którzy raz od rana do nocy wodzili, a żadnego żadnego nie zmógł. Przecie nigdy w tych zawodach jeden drugiego nie ukrzywdził, nie przychodziło do zajadki ani stąd ~~rozpiekłych kłótni~~ poszczególnych bitek. Bywały krótkie - ho! i bardzo krwawe - ale nigdy srogie. Trafiało się o tym czasie, kiedy polany skoszono, że pasterze lubomirscy, którzy w sąsiedniej roztoce pasali, przyganiali swoje woły na przysłopską stronę. Stąd oczywisty powód wojny, jaka się toczyła z przerwami aż do zimy, kiedy ~~[illegible]~~ już woły z polan przyganiano. Ale przyczyny były różne. Kto je tu już dziś spamięta!.. Inne było dni upust siłom - i to też przyczyna. Hej były to walki, były! O jakich ~~z opowieści~~ i z opowieści niektóre usłyszeć.

Jedną tylko ~~opowieść~~ miał Rakoczy opowieść podobną, a to [illegible], co wziął wszystkie czasów Komulusa. Wierz, czytające, porównywać, i [illegible] się w sercu, ~~że tak do odległe czasy, a tak bliskie~~ jak się to tak czasy zejdą - dalekie i bliskie. Bywało i ogień obrzędu i wodę, kto wyda czy zajdzie z niczego, aby nie postrzegli. Zwykle najsilniejsza myśl niewiele postuch, a ten, kto ją poddał, ~~[illegible]~~ kiedy znajdował uwagę i podstęp, zwłaszcza, gdy tamtych zebrało się więcej, i nie poradzi było na nich iść przemocą. Więc było i tak, że wysłano jednego z pośród siebie, aby zaprosił Lubomirzan na ~~[illegible]~~ wspólny obiad. ~~Zły [illegible] się [illegible] Dopiekając... przyjdźcie! To wam kazali powiedzieć.~~ Poszedł z bojarami, ~~[illegible]~~ ale poszedł i, ~~[illegible]~~ stojąc przed nimi, mówi: „~~Bić nie~~ mnie nie macie prawa, bo ja tu przychodzę z prośbą... Kazali ~~wam powiedzieć wam~~ was, że się zdumiały [illegible] i żebyście przyszli..." Ci mu odpowiadają: „Nie ~~[illegible]~~ zwiedziesz nas... a kiela was jest przy wołach?" — „Jest nas przecie..." ~~[illegible]~~ Popatrzyli na siebie, porachowali się w myślach obecnych, że ich jest trzy razy tyle. „No, to pójdziemy. Ale pamiętaj, że nie twoje skóra, jak nas oszukasz..."

I ruszyli ~~[illegible]~~ wszyscy. Skoro na wierzchu stanęli, zawahali się jeszcze, ale widząc z daleka czterech siedzących przy ogniu, pozbyli się wszelkiej obaw i poszli schodzić. Droga wiodła z polany lubomirskiej przez ~~w [illegible]~~ wąski przesmyk ~~[illegible]~~ bukowego lasu na polanę dużo niższą, gdzie pasły ~~przysłopscy~~ woły przysłopscy. Na drodze leśnej przewodnik im się stracił — a w tę razy na podrzędych szedł Lubomirzan poszły padać zewsząd pociski zdradliwe i uczynił się taki łomot wielki, że się ci polscy w sercach i pomyśleli, że się las podcięty wali. Poszli w trwodze uciekać ~~[illegible]~~ napowrót, ale tu Franek im zastąpił drogę ~~[illegible]~~ sam jego ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przesunął, nie wiedzieć czemu. Nie puszczał bowiem nie wyżej, przed wykarczowanego pniaka. Kręcili się w ~~tak~~ obie ~~[illegible]~~ strony i popędli w las. ~~[illegible]~~ Nie ochłonęli się ze strachu aż ~~[illegible]~~ swojej uboczy. ~~[illegible]~~ Jeden z nich, ~~[illegible] się [illegible] wykarty i [illegible]~~ który ~~w~~ ciemnicę zapłatał się w ławy, dostał się w ręce przysłopskich pasterzy. Pojmali go na postronek i ~~[illegible]~~ wiedli do ogniska przeciwnej ~~[illegible]~~

„Hej! Turbacz! Turbacz!.
~~Coś tak [illegible]?~~
Coś tak szorsiad!?..!"

Zdumiał się przyjaciołom, obaczywszy na oczy, że ich dwóch siedmiu. Kręcili go śmiali i śmiali się, opowiadając całą historyę z kraju. Obrał ~~[illegible]~~ drogi, cały rykał ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ głupiec, więc go puścili, wytrzymawszy przy sobie do wieczora.

Przychodziły na pamięć Rakoczemu nawet drobne zdarzenia z owych czasów. Tak się bawił ~~[illegible]~~ nimi, jak dziecko, które ~~[illegible]~~ stawia domy z patyków i śmieje się wystawionemu. Chętnie powracał

myślą do pasterskich lat. Przypominały mu swobodę, jakiej już potem nie zaznał. I włóczył się po uboczach, popod znane wierchy, podziwiał okiem każde miejsce, które mu jakieś wspomnienia przywiodło.

A myśl, niespokojna pragnieniem potęgi, chodziła za nim nieodstępnie, jak wtedy podczas wieczorów [illegible], jesiennych. Nie wskrzeszały jej wspomnienia, ale nimi kojarzyła ducha w rozmarzeniach, które, jak drzewa liściaste, szumiały nad głową i zasłaniały nieogarnionym rozgałęzieniem świat, tak, że tylko przez małe okienka pomiędzy ich koronami przedzierał się błękit nieba dalszego świata. Chodziła za nim uparcie ta kusząca (?) myśl i szarpała wyrzutami stabilizujące serce. Nie mógł się oprzeć jej kuszącemu słowu, i z czasem owładnęła całym [illegible]. To jedno wiedział na pewno, że trzeba iść – ale jak, którędy, dokąd – nie pojmował. Wszystko jeno w nim tętniło wezbranym przeczuciem. Działo się w jego duszy podobnie, jakby roztokę ktoś zatrzymał [illegible] i nadpływają nowe fale, a nie mają upustu; kłębią się, i spiętrzone i cofają pianę; szukają drogi gorączkowo i, złamane niemożnością, rozpływają się bezradnie i w bezsilnej niemocy stają ciężkie; jakieś oczekiwanie skupione odbija się w ich powierzchniach, a w głębi ich rośnie zwolna potęga ku niebu coraz większą groźbą, wzbiera, [illegible] groźbą; wreszcie, wzmocnione przypływami, poczynają wierzchami rujnować kamienie i tamy w głąb, między zamorowane skały; niedługiego czasu trzeba, jak je rozważą i wedrą się pomiędzy nie na przebój; tak rośnie tajemny potok, przedziera się ziemią, aż natrafi na powierzchnię i buchnie znowu roztoką. Taką tajemną wezbraną pracą nurtowały w jego duszy zatamowane przeczucia, [illegible] i szukały [illegible], aby się ujawnić.

Znużony włóczeniem się po stromych uboczach i zmordowany myślami, które go pędziły, siadał nieraz na wierchu otwartej polany i rozpatrywał się po świecie. W głowie jego wstawały przeróżne plany, wysnute z obrazów, które w zorzy zachodniej widniały w dole, przed oczyma. Wyobrażał sobie, coby uczynił, gdyby wojsko szło z doliny ku roztokom. Najpierw zapaliłby wici po wszystkich groniach, i skrzyknąłby naród wszystek, aby się, co rychło, zgromadził w niedostępnym [illegible] lesie pod [illegible] Turbacza. Stamtąd wysyłałby straże na wszystkie wierchy, któreby o obrotach nieprzyjaciela dawały znać ogniem. Ogniska te byłyby jak chorągwie, różne – na każdą wiadomość inne. Tymczasem wybrałby z ludzi najmędrszych, aby dawali baczność i uspokajali słowami rozsądku naród trwożący się w [illegible]. Sam zaś zebrałby najdzielniejszą gromadę i piorunem spadłby z [illegible] do Nowego Targu, wziąłby armaty, jak swoje, i kazałby je wieść przez wierchy wprost na [illegible], które górują nad [illegible] roztokami i nad [illegible] ziemią. Pod [illegible] oczami armat ani mysz się nie prześlizgnie. Wszystkoby legło pokotem. Ktoby się odważył zbliżyć, to na pewno na zatracenie. Takie czoło [illegible] stawiłyby roztoki każdemu, ktoby je chciał przemocą zająć. Ale przypuśćmy, żeby się nie udało wziąć armat. Co w takim razie? Wróciłby do [illegible]

w trwodze, powściągałby z wierchów straże, tylko ostawiłby po tej jednej, odciętej od doliny lasem, aby donosił o bliskości nadchodzącego wojska. W te pędy posłałby ludzi na całe Podhale, aby, kto żyw, zlatywał na obronę dziedziny. Zgarnąłby się moc narodu, zamknęliby wąwóz, i czerwoną nieprzejrzaną pokryliby zbocza. Stanęliby żywym lasem... A jakby też naród nie posłuchał wezwania, bo i to trza mieć na uwadze, jakby spokojnie ostał w domach i, chcąc mieć łaskę w oczach nowych panów, wskazał jego, jako podburzyciela i herszta wiecharskiego? Jakby go przez to wyjęto z pod praw i urzędownie, jak na zwierza, zajadłe polowanie? Wtedy wiedziałby już, gdzie się schronić. Słyszał przecie tyle razy o jamach tatrzańskich. Słyszał o jednej w wąwozie wysokiej, do której prowadzi ścieżka, jak po ścianie, i nad nią ściana ze skały. Żeby ino żywności naprzód przysposobić, mógłby se tam swobodnie przebyć lata całe. Z dołu, ani z góry dostępu najmniejszego, znikąd. A naprzeciw równie ściana i równie wyprza, siedziałby se, jak w kościele, i spluwałby se ze dół na tysiące komendantów, którzyby już od długiego czekania wytyrali. A jakby się któremu zachciało dostać w górę, toby ino starczyło nogą poruszyć, kamieniem lada gruzy wystarczy, a juzby zakrzyczał wartko, tam na dół, gdzieby nie miał czasu przeżegnać się lecący na drugi świat. I żadna moc nie zdołałaby się dostać do tych zbójnickich okien, przez któreby se patrzył na świat, urągając prawom.

– Ale i to byłaby niewola – pomyślał z żalem po chwili.

I tak w radości snując plany wielkie, zawsze dochodził do smutku. Ten się do serca przyczepił, jak oset, i w nieczystości codziennego życia rósł, jak złe ziele w stórnicy. Snując dumy, trwonił się, że czas na niego nie czeka. Odpoczywając, myślał o tem, że czas nie odpoczywa, i skrony tego w ciągłej być z sobą rozterce. Widział dobrze, że snami omotuje siły, które wracały z wędrówek dalekich, zmordowane, jakoby ciężką pracą przemożoną. Wyobrażał je po swojemu wyobraźnią swoją, i po wielkich przedsięwzięciach powracały z niczem. Widząc całą niemoc swoją, w sto smutku do zamysłów dumy swojej, opętanej przez urok potęgi, postanowił nie podwyższać głowy snom i majaczeniom, a upatrować raczej, którą by stężałą wolą przeprzeć, chociażby z wysiłkiem niemałym.

Wtedy to, wracając myśli z zamierzonych wypraw, obracał bacznie oczy na wszystko. I często, wysiadując na grzbietach, myślał o nich.

– Tyć i tu świat, jak inny...

Czuł, że i tu potęgę można dojść w działaniu, a nie moc niebną nie zastąpi. Od czego począć? – dumał wszerz, przesiedząc na wierchu polany. Wyczekał, jako w niedzielę, przy wietrze, i chociaż Hanki nie spodziewał się doczekać, bo już cora to nadzieja się pokazywała, przecie nie myślał zejść w doliny aż późnym mrokiem. Trzymało go tu i przyzwyczajenie i owa stanowisko otwarte, wysokie,

z którego mógł przezierać świat poniżony w dole i cmić się wyżej, ponad nim, jakoby na chmurze. Stąd można było objąć wszystko jednem spojrzeniem szerokiem. Myśl jego kołem orła krążyła nad roztokami i chwiała się w powietrzu, wypatrując czegoś. A oczy jego gorzały, ciągnąc barwami [illegible] obraz roztok.

Zbiórki były w tym czasie. Zieleniły się tylko zagony koniczyny, [illegible] ziemniaków lub kawałki spóźnionego popod laski owsa. Zresztą w całej dolinie i po zboczach rozchylonych roztok była wesoła białość rozpoczętych żniw. Gdzieniegdzie już połyskiwały ścierniska. Ale gęściej widne były zdające się w słońcu płatki żyta, jęczmienia i innych pobielałych na stojącem zbóż. Kop było rzadko, po polach [illegible] widać starszych ludzi. Co było przed niedzielą zżęte i nie wyschło, leżało na pokosach, mieniących się zdala. Wiele zboż było pozacynanych, ówdzie pokos nażęty, ówdzie [illegible] snopków zwiezionych na pokoju (?) i wróciła, nim jeszcze słońce stoczy się zza wierchy. Ale cichość była wielka, z nikąd echa głosu, wyraźnie święto odpoczynku na polach, słoneczne, zaśniające nawet trawy, by nie szeleściały.

Rakoczy patrzał z góry na tę uciszoną ziemię i oczyma błąkał się po widnej przestrzeni. Myślał, jak wyglądały roztoki, gdy były lasem doszczętnie pokryte. — Czarniawe bory — nieprzyjazne puszcze. Gdzie się to pozapodziewało? Żeby to choćby w ziemię było zapadło... Przyszli ludzie, wycięli, i dziś gola pustać. Ile to czasu minęło, nim ta przemiana powstała. Ile to warstw narosło z trupów na cmentarzu. Kto też tu pierwszy był? Czyje osiedle najstarsze? Ani pamięci ludzkiej o tem niema.

Począł przechodzić oczyma osiedla: Michalczewskich, Potocków, Cichańskich, Sołtyków i wielu jeszcze innych zasiedziałych rodów. A myślą znów przezierał ich dzieje kolejne. Przyszedł człowiek nieznany — nikt się go nie pytał, skąd, z jakiego kraju — zajmował kawał ziemi, nikt mu jej nie bronił, wyrąbał las i zbudował schronisko rodzinie. Tak powstało osiedle — jedno, drugie, trzecie, aż całe wnętrze owej roztoki zapełniły się osiedlami. Każdy se siedział na swojem osiedlu, i obrabiał dużą rolę, abo wypasał na niej owce, co ino żywnie chciał. Ale z czasem trza było dzieciom miejsca robić, wydawać córki, żenić synów, a wolnej ziemi już nie stało. Wtedy to ojciec niejeden przecinał swoją rolę na pół, abo i na dwie, na trzy części. Ale osiedle ostało osiedlem. Pastwiska były wspólne, domy razem, ino gazdów namnożyło się z letami. I tak przyszło pomału: gdzie był jeden gazda, tam dziś dwunastu i więcej. Role, dawniej całokształtne, pokrajało w strzępy. Jak i rola Gotaczkowa... ile to na niej miedz!

Począł przelatywać okiem ścieśnione zagony, a nad dalszemi miedza z szybkością migotek. Aże się wzdrygnął w sobie. — A tam dzieci, jak mrowia... — nadleciało mu zaraz na pamięć. Chcąc się otrząsnąć z tych zatrważań, przemknął oczyma dalej, na drugie osiedle. Tu jeszcze gorzej, zagony, jak nitki... I mknął oczyma po osiedlach z coraz większą trwogą. Naraz przemknął wszystkie i lęk go ogarnął:

— A tam w chałupach drobiazg niezliczony... A tam w kołyskach dzieci śpią...

~~47~~ 48 . ~~49~~ V

Jakgdyby nagle otchłań otwarła się pod stopami. Cały świat ~~mu~~ mu zawirował i zaćmił się ~~[illegible]~~ naraz. V

Zwolna powraca myśl na tę ziemię ~~i budzi się [illegible]~~, i rozpatruje się ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ przelękłym wzrokiem, jakby po strasznym i przeraźnym śnie.

A ta ziemia postradała wszystkie barwy jasne, i wygląda tylko ziemisto, jak grób rozkopany.

I zdaje mu się, że widzi przed sobą [illegible] złowrogiego wzgląda, który o tem nic nie wie..

„Nie zgląda! —

V

~~— [illegible]~~

Wyznać, że ten co stoi nad wszystkiem.

„Zielona gwiazda."

Wyobraził sobie w myśli, jak to czas zwężał powoli, jak niepostrzeżenie, milczkiem pomykał granice. Gdybyż to były choć gdzie rozpanoszone niestrudzone, ale już wszystkie zbocza zaorane, zasiane wszystkie występy i brzegi, i tłoki skalne, i urwiste drapy, i już się na samych wierchach gdzieniegdzie grunta pochodziły. Dalej nie sposób posuwać się po ziemi, to zewsząd napierają równie mocno i równie łakomie. Ile na tych granicach krwi rozlanej od kiedy?.. Gdyby nawet i pniak nie był sadzonych, to wyraźnie znaczyłaby się krwią graniczna miedza. A dawniej, za lat dawnych, za pierwszych osadników, kto tam gdzie ziemi komu sprzeczył! Było jej dość, do zbytku, nikt się na nią wielce nie łakomił. Mniej piękna było w narodzie, więcej przychylności. I przeszły czasy, minęły, nie wrócą, rostoki zalane ciżbą, aż się przepełniają.

Tak dumając, patrzył z góry na wieś poniżoną i wiódł oczyma po polach z osiedla w osiedle. Wszystko zatrzymywało jego uwagę, jakby pierwszy raz przezierał tę okolicę. Już się słońce zatoczyło za wierch Obidowca, a on nie mógł oczu swoich oderwać od zacienionych pól i chałup mroczniejących. Coraz nowe obrazy — jedne z drugich — jak rodzą się sny. Owinęły jego myśli pomroką tak gęstą, że się świat cały zatracił, jak we śnie zaczarowanym a obrazy były jasne, przeraźliwie jasne.

Najpierw stanęło mu w oczach pole niezmierzone. Naraz poczęło się kurczyć ze wszystkich stron. I powoli, powoli szły granice ku sobie, coraz bliżej i bliżej, aż się zeszły. Między pola zajęła jakaś przestrzeń dziwna, bez nazwy i wyrazu, bez świateł i barw. Tak się wyrażać musi chyba nicość. Zaląkł się tego widoku i w tej razy obraz się rozemglił. Pomyślał sobie w duchu, że to była mgła.

Ale zaraz drugi obraz zaskoczył, podobieństwem tajemnym tak bliski, jakby z niego powstał.

Oto obszar, pokrajany na wąskie zagony. Te nagle poczęły mu się w oczach zwężać, zamieniać na ledwo widoczne smugi, i poznikły. A miedze, które się niepostrzeżenie pomykały, jak skazówki czasu, doszły ku sobie i stanęły. I cały obszar długi stał się polem miedz, bez płatka zaginionej niewidomej roli. Gdzie okiem dojrzał — miedze, wysokie i niskie, porosłe i szerokie, o różnym wyglądzie. Stały zwarto, jak skiby na mokrze odorane. Rdzawiło je słońce czerwone, jakieś inne, nie to, które ziemi świeci, i zdały się krwią oblane, przepotwornie straszne. Aż zadygotał cały od lęku i trwogi.

Obraz przepadł a wtedy otwarły mu się chałupy. Jakby ściany powyjmował z nich, wszystkie wnętrza odsłoniły się jego oczom. Żywot niezliczony drobiazg, kędzierzawych pełzający po ziemnej podłodze, ogarów ponuro siedzących na ławach, kobiety zafrasowane, i dzieci w kolebkach śpiące, a na zapiecku przyczajoną nędzę, a popod ławy snujący się głód o wilczych zębach, a z podchylonych drzwi ze sieni patrzący zarazę-pomór...

I nagle zrozumiał wszystko. Poprzednie obrazy zeszły się, i stanęła mu przed oczyma twarz bliskiej przyszłości, patrząca nieubłaganie.

Pojął, że jego wśród stał nad urwiskiem. A pod stopami miękki piasek. Zagłada i śmierć.

– Ratunku! – zawołał sercem i uczuł ból, jak kamień ciężki, nieznany dotąd ból. Zdało mu się, że widzi przed sobą człowieka skazanego na śmierć ~~Zd~~ pewną, który o tem nie wie.

Zwolna powracał myślą na tę ziemię i rozpatrywał się przelękłym wzrokiem, jakby ~~by~~ po strasznym i przerażającym śnie. Ta ziemia straciła już dla niego odtąd barwy jasne i wyglądała jeno ziemisto, ~~jak grób rozkopany~~ szaro, jak grób nowy.

Odtąd też o niczem innem nie myślał, jak jeno o tem, aby ratunek wynaleźć ~~dla czł~~ człeka, który skazany na zagładę i który o tem nie wie.

Aż w chaosie ciemnych myśli ~~[illegible]~~ błysnęła mu zielona gwiazda.

—

VI.

Widnemi nocami siadywał Rakoczy na progu swojej koleby i, ~~k~~ kładąc deskę białą na kolana, rysował na niej ~~...~~ przy świetle księżyca plan gminy, jaką w długich nocach wyśnił rozmyślania ~~...~~. ~~...~~ Do rysowania używał lubryki, czerwonego kamyka o miękkim dotyku, jakiego się zazwyczaj używa do cechowania drzew. Nie brał odrazu na uwagę całych ~~wsi~~ ~~złoż~~ rozgałęzionych wdała rozłożonych ~~szeroko~~, ale jeno jedną gminę, rodzinną swoją, Przysłop. Tej się przypatrzył dokładnie z wysokiej polany i najpierw pozaznaczał granice ~~...~~ linią. Potem uważył dobrze w myślach, które grunta ~~pola~~ i w jakiej stronie bardziej urodzajne, a które mniej ~~a które~~ żyzne i w uprawie, a które nie wszystkie, i cyfrą te wyróżnił wyznaczył na mapie. Było ich sporo, lecz mniej, niż dawnych osiedli. ~~Obeszło o rozmnożeniu, że pola owego przybyło gminie ... wsi ... wydzierają się cudownie z ... Dziwny ... korzyści. Teraz począł dumać nad tem, jak ludzi rozmieścić.~~ Podzieliwszy tak gminę, począł bez porządku znaczyć, co mu się tylko ~~...~~ ~~rozognionej~~ nasunęło w ~~rozognionej~~ myśli rozognionej. Nie zatrzymywał się długo nad jednym planem, odkładając nieraz gotowe przemyślenie na dalsze wieczory. Chciał bowiem jak najprędzej ~~całokształt życia~~ objąć całokształt życia gromadzkiego w granicach zakreślonych przez oświetloną myśli. Przeto jeno znakami utrwalał w pamięci swojej mnogość zarysy planów i pomysłów, i gorączkowo dalej biegł wśród mroku nieznanego, zdążając pilnie do celu, który ~~już~~ przed wzrokiem jego duszy ~~świetlanym migotał~~ ~~blaskiem~~ kłębem świetlistym migotał.

W sercu mu paliło, gorzał cały, to rozpaczą wszystkiego, to trwogą, to ~~...~~ nadzieją ~~...~~ szczęśliwości, jaką przeczuwał na ziemi. Ale nie dawał się opanować żadnemu uczuciu, chciał ~~rozumem~~ naprzód rozumem wszystko uchwycić i zważyć, aby świat ~~stanął~~ nowy postawić na opoce, której nic łatwo skruszyć.

Rozdzieliwszy grunta gminne w myśli podług urodzaju, począł dalej przemyśliwać nad sposobem ich uprawy ~~...~~.

– Przypuśćmy, to tak, jakoby jeden miał te wszystkie grunta. Albo jeszcze lepiej, jakoby jeden ród posiadał je wspólnie. Własność niczyja i wszystkich. Wtedy łatwo zaradzić, jak będzie z uprawą. Tam, gdzie pole korzystniejsze, sieje się żyto, pszenicę, orkisz, sadzi się ziemniaki, ~~...~~ wykę, koniczynę, i łoży się w uprawę, bo ziemia to wróci. Tam zaś, gdzie rola strzemię skąpa, wysiewa się owies. A resztę, co się ~~niekorzy~~ ~~na pastwisko, albo też na zalesienie ... i uprawę~~ z powodu pustki, niedostępności albo innych przyczyn, obraca się na pastwisko lub na zalesienie. Gmina odrazu przez to zmienia ~~pozór~~ wygląd, i jest, jak jedno wielkie gospodarstwo, na którem łany, jak pióra, kołyszą się zbożem, albo zielenieją płaty szerokie i długie. Miedze się pozbawiają, granice poniknie, przez to się pola przyczyni o spore stajanie.

Zamrużył oczy w rozkosznem dumaniu, i widział obraz rzeczywisty przyszłej swojej ~~wiosny~~ wsi. ~~Jakby go~~ Uśmiechał się do niej ~~tak~~ tak podobnie, jak na obczyźnie uśmiecha się człowiek we śnie widokom swoich pól. Obejrzawszy obraz cały wzdłuż i wszerz, rozumował dalej:

– Grunta obrabiają wspólnie i zgromadzają plony wszelkie do wspólnych spichrzów gminnych. Skoro już wszystko zgromadzą, wtedy się dzielą zebranymi owocami pracy. Każdy otrzymuje tyle ze wszystkich darów ziemi, żeby mógł swobodnie przez cały rok, ~~rodzinę~~ bo aż do przyszłych zbiorów, rodzinę ~~swoją~~ swoją wyżywić. ~~co zostaje, to się chowa na lata nieurodzajne~~ gdyby przypadkiem zboża brakło, ~~to się dokąd ...~~ to jest ~~wspólna~~ gminna kasa, jest kapitał

51.

gotowy z rozmaitych wpływów. A gdy zaś padnie lato piękne, zboże się udarzy, i po ~~wspólnym~~ bogatym podziale jeszcze zbędzie plonów, to się je chowa w spichrzach na czas nieurodzaju. I nie ma obaw przed złymi rokami, jakie trapiły naród ~~[illegible]~~ głodem i dosięgła trapią.

Odetchnął. ~~[illegible]~~ Wydało się mu, że to już tak wiele, iż o niczem więcej nawet myśleć ~~potem~~ nie potrzeba, ~~samo się stanie~~. Radość mu wyszła ~~[illegible]~~ jego głowę i przesłaniała wyśnionym widokiem wszystko, co nie z tego wyszło. Już się tak rozmarzył w sobie, że na nic dookoła go nie baczył. Wszystkie nadzieje, myśli i pragnienia zestrzeliły w jeden obraz, malowany ~~[illegible]~~ tęczami, w to światło, które zapaliło jego wnętrzne siły i rozproszyło zatupczy mrok przed jego duszą. Ledwo mu ~~przed oczyma~~ zamajaczył ten świat mglawicą ~~[illegible]~~, a już go ocenił ~~sobie~~ [illegible] niewolnik ku sobie ~~[illegible]~~. Zarysowały ~~mu się~~ z daleka granice, i już wśród nich ~~[illegible]~~ przeciwnie widział tę łąkę jasną, na którą ino wejść i zażyć szczęścia szczęśliwości. Cudował się sam sobie, że wcześniej na to nie przyszedł. ~~Taka prosta odmiana, i raj rzeczywisty~~

— Wybierze się wielką Radę z dwunastu najmędrszych, i ci poprowadzą w życie kolejno wszystek plan. A potem Rada ~~[illegible]~~, mądrych, co parę lat zmieniana, ma czuwać nad robotami, aby jeden nie ponosił ciężaru więcej, niż drugi. I przy podziale plonów ma być dozór uczciwy, aby się krzywda nikomu nie działa.

To pomyślawszy, pewnym był, że już wszystko gotowe, ino zacząć. Chwilami przychodziło mu na myśl ~~zacząć wszystko~~ porzucić służbę, iść i apostołować za swoim zamysłem. Ale się ~~opierał~~ wnet ~~opierał rozumem gorączce~~ rozumem opierał gorączce, postanowiwszy, że już dociągnie do końca. Skoro wypełni swoje ciężkie, choć i w końcu niemożne, to musi dostrzec i pokazać, że ~~nie jest [illegible]~~ ~~wiatrów~~ jest ~~oparty [illegible]~~ na wszystko, a ~~nie [illegible]~~ nie jest słowianym ~~[illegible]~~ chłopem, ale opartym na wszystko, na wszelki wiew. To i ludziom się spodoba i chętniej mu dadzą posłuch, widząc, że ~~jest lepszym~~ swoi potwierdzaniu słów dziesięcioletnim, ~~jak~~ do ostatka sił. Przytem ~~[illegible]~~ miał w sercu ~~[illegible]~~ jakiś ~~[illegible]~~ lęk ~~tajemny~~ ukryty przed uszłością planu swego. Zdawało mu się być równie, czemu to tak łatwo przyszło i ~~tak~~ stanęło ~~mu~~ w prostocie jasnej przed oczyma. Ani głowy nie natężył, ani z nikim nie słyszał nic o czemś podobnym. A może to już jest na świecie, albo kiedyś było, a pokazało się niedobrem, i ~~[illegible]~~ zaniechali... Kto wie! Jak ciek w najgorętsze pragnienie ~~[illegible]~~ wpadł, zasmucił się i ~~[illegible]~~ strwożył niespokojem serce. Ale to ino chwilkę trwało. Wnet się ozgarnął i począł bojarliwie ostawiać świat swój odkryty ~~przed~~ zalatującemi myślami z tej ziemi, które każdy ~~[illegible]~~ zamysł nowy zwykłe ~~opadać~~ obejrzeć, wyśmiać lub powiać nań zarazą, że się ~~w wszystkim dopiero~~ jeszcze w zarodku pocznie pierwszem świcie, i, ~~już po niem~~ nim się ~~[illegible]~~ chwilą swym ukaże, już po nim, już śladu nie ma z jego stworzenia. Przeciwdał to dobrze Rakoczy, bo nieraz, gdy się zamyślił o tro-

wcale czegoś, już czytały te ~~uwagi, aby go cni~~ uwagi rojem, ogłuszając go, aż każdy szelest myśli dopiero poczynanej. A gdy zamierzył coś wykonać, nie dbając na trwogę przez nie rzucaną na serce, wtedy stawały przed nim postaciami o ~~najdziwaczniejszych~~ najdziwniejszych kształtach, przybierały ~~postaci~~ wygląd ludzi znajomych i bliskich, pokazywały twarze drwiące ~~ust~~ wargi szydersko ~~w~~ skrzywione, lub brały się ~~dłońmi~~ za boki dłońmi i aż ~~ku ziemi~~ ~~śmiechem~~ chodzeniem ~~przechylały się~~ ziemi dotykały, ~~przechylające~~ ~~się~~ zanosząc się w śmiechu. I to go nieraz wracało. Ale też i nie mniejsze zamierzenie jego przechodziło było ~~dawanie jego~~ ~~wątku~~, rozwiązanie w myślach, podobne usypianiu się, by nie wstawały; była to ~~niby zabawa~~ jakby zabawka, przecie ~~mocniej~~ wymagająca ducha bardziej, niż sam czyn z zamiarów owych poczęty; brał je w myśli na wagę i ze wszystkiem, co myśl nadoniesła, probował; ~~rzecz~~ oczywiście przeważało w końcu wszystko inne, bo ~~bo~~ zamiar każdy nie miał ciężkości, ~~jaką daje rzeczom życie~~ wyższej w porównaniu z rzeczami, bytującemi na ziemi.

Teraz to wszystko nadlatujące ~~zarazem~~ ~~rozpoczyna~~ [zarazem, Rakoczy łatwo mógł] rozproszyć, i plan jego przeważył w myślach szalę, bo ~~nie z~~ z ziemi urodził się i na niej był oparty ~~całkiem~~. I jak ta ziemia rzeczywista, tak rzeczywistym ~~mu~~ jego oczom wydawał się ten obraz objęzdnej gminy.

– Kto idzie naprzód, musi dojść, gdzie myśl zamierzył, choćby sto strachów zastępowało na rozstajnych drogach.

I tak pewnym ~~być w drodze, że dojdzie~~ [był, dojdzie drogą] do tej widniejącej ~~przed myśli kraju polany~~ w dali jasnej polany, że ani się nie zatroskał, jak ~~pojdzie~~ iść, którędy i przez co. Wszystką uwagę skupił na widnym krajobrazie. Ścinając drzewa, jak przedtem, czynił to machinalnie, i nie patrzał, wiele codzień ~~ich~~ uboczy ubywa, a cały myślą stał w przyszłości bliskiej, jakby w niej żył i mieszkał ciałem. Tak go to pochłonęło, że i na głód przestał już być czułym, zapominał, czy ~~jadł obiad, czy się źle zdaje że jadł~~ gotował obiad lub wieczerzę, dopiero osłabienie przemożne ~~nieznośne~~ przypomniało go ~~pomyśleć~~ [czasami] o jadle.

Dumając nad swoim planem, przeważnie nocami, zaczął w nim ponoć braki, które go trapiły. W dziele już poczętym w myślach wysuwały mu się szczerby podobnie, jak rzeźbiarzowi, który w glinę tymczasowo zamknął myśl, a glina się ~~zasycha i pęka rozkłada~~ zesycha i pęka; zaś innem stronę części gromadzkiego, którym nie oddał jeszcze swej uwagi, ziemniały się jak tablice niczem niezapisane, stawały niepokojące jego myśl próżnią, ~~tak~~ trwożyły jego serce nieznanem, jakie patrzało pytająco z ich pustych lic.

To ~~rówie~~ przydarzyło się, że postanowił dokończyć zobaczyć, ~~tamże~~ ~~że~~ widział, że napięte czas przyścinaniem, może wszystko dokładnie przemyśleć i każdy szczegół z osobna. Zamknął się obraz ~~w~~ wyjęte, kli, rejdzie chwil niemało. A gdzież ~~takie spokojnie cicho~~ [sposobniejsze] znaleźć, jak nie tu, w roztokach * spieszył, zdaleka od gwaru świata, od zamętu & walk? V z każdym dniem coś dorzucał...

Schodziły te chwile szybko, ani się obejrzeć na nie, ani je dostrzedz, jak mijały. Dopiero ~~wtorek~~ środa była – już niedziela. Ale na uboczy nie znać było ~~tych~~ [tych] ~~biegających czasu~~ biegu chwil.

* Rakoczy z utęsknieniem wyglądał swojej Hanki, której już od długiego czasu nie widział. Chciał jej powiedzieć, ~~że~~ co go nadchodziło, co przez czas jej niewidzenia przyszło do jego głowy. Chciał się jej zwierzyć ze swoich zamysłów, – co ona też na nie powie, czy go zachęcą, czy ~~odpowie~~ przerazi. ~~Porusze~~ ~~ie~~

57.

— Pewnie, przerazi z początku moje niatć, drogie! Otworzy oczka, jak sarna, w zdumieniu, zaskoczona, kiedy się jej odkryją nowe pole. A potem się uraduje jak dziecko. Jaka uciecha, jaka duma w jej oczach rozbłyśnie, że to jej Franek, nie kto inny, na tę myśl natrafił!... Wtedy jej powiem: Moje Hanuś, moje ty wszystko na świecie! Ja, najwięcej o tej gminie, miałem i ciebie na myśli. O obojgu nas myślałem. Bo skoro przyjdzie do spółności, to wtedy każdy, co będzie pracował, będzie miał udział swój we wszystkich plonach. I nam się będzie dobrze działo, jak równie i wszystkim innym. Zarzuci mi ręce na szyję i powie: „Toś mój, mój, jeszcze bardziej, niż i o mnie myślał!”... Jakżebym nie miał myśleć, moje dziecko złociste, moje, moje już na wieki.

I tak rozmawiał z nią przez wyobraźnię i roztkliwiał się w sercu, jakby głaskał jej lniano-złote włosy.

Tyle się mu nazbierało w tej długiej samotności wewnętrznie, że przepełniły się, jak zatamowane źródło; coraz częściej mówił głośno, ani się nie spostrzegł, jak się zwierzał drzewom, skałom i mrocznej pustce koleby; pragnął jakiejś duszy ludzkiej, kogoś, żeby mógł opowiedzieć wszystkie radości, nadzieje, dumy, niepokoje. Czuł wewnętrzną potrzebę objawienia ludziom swoich ciągłych zamysłów i patrzeć, jakie wrażenie wywołają w duszach, czy je olśnią, pociągną urokiem szczęścia, czy też wzbudzą nieufność, zwierając się od tego, czego jeszcze dotykalnie nie ma. Nie dla utwierdzenia siebie tego pragnął, bo wiarę miał w zwycięstwo dobra, jedynie dobra pożądał w swych dziełach, ale dla rozchwały ...., jaką serca daje odpłatę za trudy i do nowych zapału wzniecić.

Tym bardziej, wygladał tęskno obaczenia się z Hanusią, która mu tysiącą duszą odczuje, czego nie pojmie, a wszystko podziwem uwierzy, z serca idącym przywita. I co niedzielę popołudniu wychodził na wierchy i wypatrywał z widnych miejsc otwartych, czy mu się nie zabieli jej postać kochana. Nieraz do samej nocy zezmarudził, wałęsając się po grzbiecie wyniosłej polany.

Jednej niedzieli, jak zwykle, wyszedłszy na wierchy, obrał sobie widne miejsce od strony Przysłopia tak, że mógł całą wieś w dole, wszystkie osady mieć na oku. Dumał, skoro tylko Hanka nie wyrośnie, to będzie miał sposobność omawiać ocznie cały plan, całą mapę swojej przyszłej gminy. I rozpoczął odrazu przeźieranie pól. Najpierw, też nie dziwnego, stanął w osiedla sołtysów. Powietrze było czyste, bo jesień się już poczynała i wszystko się odkryło jaśniej, jakby się zbliżyło. Mógł widzieć z dala dobrze najmniejszą krzewinę, nawet płot wiotki przy ogrodzie, w sadzie na widok wystąpił. Franek przybaczył, jak niedawno stał koło tego płotu. A Hanusia była w sadzie.

— Gdzie ona też teraz? Nigdzie nikogo nie widzę. Musi być w domu, abo jeszcze nie przyszła z kościoła... Żeby ja tak teraz zeszedł na dół i spotkał ją kaj tyle niespodzianie... Przecie do kościoła trzeba zejść; tyle niedziel już świąt minęło, a ja się tu zasiedział, jak ten niedźwiedź w leszy. No, ale dziś już za późno, przyszedłbych prawie koło zamknięcia. Zresztą

niedługo tu już pobędę... A jak przyjść między ludzi, to trza zaraz wyprzedać. Bo pytaniami ~~[illegible]~~ witają ~~[illegible]~~ takiego, coś się długo skrycie chowa. Cóżby ja powiedział? Niechże się już to wszystko jako podokończa. Jak zetnę ubocz, zepchnę drewno i plan swój wiernie ~~[illegible]~~ przemyślę...

Przerwał swoje zamierzenie ~~[illegible]~~, bo ujrzał wychodzących z osiedla sołtysowego ludzi. Było ich kilkoro razem, szli nie drogą, jak się chadza, ale przez pola, na przełaj, i zdążali, widać było, wprost ku osiedlu Cichańskich.

– Cóż było to za ludzie były? – pytał się w zdziwieniu. I wpatrzył się z natężeniem, jakby chciał z tak daleka ~~[illegible]~~ rozeznać ~~ich~~ postaci. Ledwo po barwach zamiarkował, że jest trzech chłopów, jedna niewieścia postać między nimi. Przypuszczenie, że to Hanka, zamieniło się pomału w pewność.

– Któżby inny? Ona się tak pomiędzy nimi bieli...

Szli pomału, stawali nawet niekiedy, jakby opatrywali, ~~[illegible]~~ idący, ~~[illegible]~~ ostatnie ścierniska.

– Ale wyraźnie, widać, opatrują grunt, ~~[illegible]~~ i to sukcesorów, bo po jego kowarkach przechodzą... Coby to było? – zaniepokoił się Franek – Cóż Hanka między nimi–ma? Bo to pewnie polowi... Ale nie. W niedzielę przecie nikt nie urzędyje.

I sam nie wiedział, co myśleć o tem. Uradował się, że widzi Hankę w zdrowiu. Bo nie wątpił już, że to ona, tak mu serce przekazywało gadało. Ale i zły był, że sobie tak swobodnie spacerują po polach, jakżeby żadnego Franka na świecie nie było. A on tu czeka, Bóg wie, odkąd, i przez tyle niedziel... ~~[illegible]~~ Trzeba ją za to ukarać, – poddawał mu gniew zmieszany z uradowaniem serca. ~~[illegible]~~ Wzbierająca go chęć zejść na dół. Tak się mu ~~[illegible]~~ wydało blisko. Ale naraz chorobliwy odrzucił tę chęć.

– Jakby jej tu uwagę zwrócić na siebie...

Dziesięć pomysłów nadleciało, ale wszystkie niepoważne. ~~[illegible]~~ Zdjąć wywiesić chustkę na świerku? – Nie ujrzy. Przecie to daleko. Żeby tu jeszcze górej patrzeć. Zapalić ogień... Skądże będzie wiedzieć, że to ~~[illegible]~~ on pali? Kiedy wie, że nigdy ~~nie~~ pr... ~~[illegible]~~ tu ~~[illegible]~~ ogniska nie zakładał ~~robił~~. A pasterzy dość po wierzchach ~~[illegible]~~.

– Trza innej rady.

Wpadła mu ~~[illegible]~~ myśl, że nie lepiej, jak ~~[illegible]~~ jego zawiewać. Ale tak głośno, żeby usłyszała. ~~Ba, po~~

– Ba, po głosie nie pozna. A i ~~[illegible]~~ śpiew pewnie do niej ~~pewnie~~ nie doleci. Chyba odzew, to prędzej...

Było to dawne pasterskie wołanie, niosące wyrazów sobie nutę przeciągłą, jak fale wiatru. Dawniej, kiedy pasterz, stęskniony za widokiem pasterki, która była gdzieś w zapadłej uboczy z owcami, albo ~~[illegible]~~ chciał się z nią zejść, to jej tylko tem każdem dawał znać o sobie. A ona mu odpowiadała, jakoby echo tęskliwe, i naprowadzała go na drogę, która ku niej wiodła. Inaczej by się nie spotkali w tych bezmiernych lasach. Nieraz on ~~[illegible]~~ stał na jednem wzgórku, a ona na drugiem, i nie mogli się nijak rozeznać z daleka. A przecie poznali się po ~~głosie~~ sposobie przeciągania głosu, bo każdy pastuch i każda pasterka mieli swój własny sposób dokończania.

~~Franek se zbaczył, że Hanka słyszała już jego odzew~~

Franek był pewny, że Hanka musiała znać jego odzew, bo musiała słyszeć nieraz, jak się odzywał w uboczy, schodząc wieczorem do Hucisk.

— Ino czy doleci do niej? Bo to przecie dal...

Błyszczące się wolno malutkie postacie były już w połowie drogi pomiędzy osiedlem Sołtysów, a Lichaczewskich. Kukowy, nie zwlekając, nabrał oddechu w piersi i, jak mógł najpotężniej, ozwał się przeciągłym górem:

— Au-ho-ho-ho-ho!..

A skoro echa pocichły, dorzucił, jakby otchnie, ostro urwane:

— Ho-hum!

To najrozgłośniej się odbiło o wszystkie ubocza i wpadło do roztoki, jak skała zrzucona z wierchu.

Z niespokojnością serca śledził oczyma wrażenia i spostrzegł po małej chwili, że postać biała, niewieścia oddzieliła się od innych i szła naprzód, z początku powoli, a potem coraz prędzej, ku tej najodleglejszej chałupie. Teraz z radosnem niepokojem patrzał, rychło z tej chałupy wyjdzie. I rzeczywiście wyszła wnetki, podała się ku roztoce i szła wolniej drogą chodnikami, wyraźnie ku wierchom. Serce mu zatrzepotało uciechą i szczęściem.

— Moja drogie, najdroższe! — szeptał, wpatrzony w białą postać, która skracała wolno drogę przecinając pola. — Pójdę naprzeciw! — zerwał się ochotnie.

I pomknął na dół ścieżyną wśród gąszczu, a potem już i ścieżki nie patrzał pod nogami, wpadł do wyrębu i na prost biegł po zdradzieckich wertepach, byle prędzej ją ujrzeć i zdrowić niespodzianie. Pędził, jak rogacz ku wodzie, wśród wysokich traw, wśród potrzaskanych pod stopami gałęzi i suchem chrzęście okiści tej gęstwiny.

Jakież było jego zdumienie, gdy spotkał Hankę już we wyrębie, schodzącą, zdawało się mu, na dół. Przestraszona jego pędem i szumem, jaki uczynił, długo nie mogła słowa przemówić, gdy stojąc przed nią zawołał:

— Hanuś! Skądżeś się ty tu wzięła? Toś nie teraz szła z doła?

Hanusia, trzymając się dłonią za piersi, oddychała, i szepnęła z wyrzutem:

— Oj, takem się zlękła...

I chwilę, patrząc na się, milczeli oboje. Franek jakoś zawód przeczuwszy nosił w sercu, że to nie ona szła z dołu. Naprzeciw tamtej bowiem biegł, i trudno mu było teraz nagle wszystką radość ze spotkania obrócić ku niej. Ona zaś, zwyciężywszy lęk i pomieszanie, patrzyła nań z przebiegłą w oczach upartością i gotowo oczekiwała, co powie.

— Pędziłech naprzeciw ciebie, zaczął — bo mi się zdawało, że ty idziesz od chałupy, ale widzę, że mnie oczy zawiodły.

I powiedział jej, jakby z tem całem złudzeniem.

— Musiałaś słyszeć mój głos...

— Słyszałach, i zgaminiłach zaraz owce, żeby wyjść ku tobie...

— Toś z owcami?

— Ny widzisz. Wygoniła z ugorów do wyrębu i tra

było je ~~przygnać~~ zegnać, żeby kto nie zajrzał. Chcieli pastewną podnieść paszę, ale już się sama wyczyściła, na to, żeby cię widzieć. ~~Bo mnie dadzą iść samej, jak nie ma po co, i taka~~

– Jakiś ty dobry, mój! – rzekła niespodzianie.

Uśmiechnął się i począł się mu sprawiać, czemu tak długo nie była. Gdy koniczynę zazieleniony już były jej w oczach łzy.

– Nie dadzą mi iść nikamy i zakazują ostro. Dopokąd jeszcze nie żywy były, w ~~trza ich wyszygania~~ rzewnie, to ~~ż~~ się mogła wyrzygać...

– No nie płacz-że, moje ~~wszystko~~ dziecko...

Przygarnął ją ku sobie i, siadając, posadził na kolanach na trawniku. Wyrwała się, podbiegła do najbliższego pniaka, wskoczyła nań i rozej- rzała się z uwagą na wszystkie strony. Potem wróciła i siadła obok ~~niego~~ Franka.

– Nie mam dużo czasu... – szepnęła.

– O, żebyś ty wiedziała, Hanuś, co ja przez ten czas przemyślał!

I począł jej opowiadać o ~~swoich~~ tułaczkach. Mówił bez ła- du, ciżbą słów, jakie się tłoczyły, przynaglane gorącością i zapałem serca. A Hanka ~~skubła~~ skubała mech palcami, wysłuchując, rychło skończy. Coraz niecierpliwiej targała mech i trawę razem, i roztrzerała dło- ni nerwowo, upuszczając je na ziemię. Wreszcie przerwała mu.

– A ubogi był?

– Nie! – odrzekł szorstko, ~~ale~~ dotknięty przypomnieniem, które go samego gryzło. I zaraz dodał: – Ale to nic, zetnie się jeszcze na czas. O tem nie myślę, bo, jak widzisz, wszędzie jest do roboty. Cóż marna ubogi wobec tego? Jak dzień, ~~który~~ chmurny, ~~jej mignął~~ dochodzi, wobec ~~jesieni~~, ~~dalekiej~~ przyszłości. O żeby ja ci to umiał wszystko opowiedzieć!..

– Opowiesz mi kiedyindziej – przerwała szybko. I, nie tłając uśmiechem ~~odmowy~~ słuchania, przytuliła się do niego ~~całem~~ gorącem ciałem, które pachniało i parzyło, jak mech w lipcowym skwarze południa. Poczuł dreszcz mimowoli i dygotał cały. Święta miłości, pocałunki i zwolna zachodziły, szczęsny, mgłą ~~złotą~~ pomroku, nachylona piersiami ku jego piersiom, patrzała w jego oczy płomieniami oczu. Rozżarzał się pod jej spojrzeniem i ~~płonąć~~ począł płonąć, jak ogarek na suchu podpalony. Przy- warł wargami do jej ust rozwartych, i zabaczył już dosyć o wszystkiem.

– Bądź mój... tak strasznie... – szeptała w uniesieniu – bo kto wie, kiedy znowu będziemy razem...

. . . .

. . . .

Wspomnieniem dopiero powracał Franek do Hucisk. Miał uczucie, jakby go ktoś, jakaś moc nieznana obracała w wietrznem kole na miękkiej ~~płowej~~ pościeli i postawiła na ziemi. Dziwnie słodkie wrażenie powstało ~~mu po drodze i~~ jakby i szedł nienasycony. ~~Jakby~~ Jakgdyby przebył błogi sen szczęścia i zbudził się z pamięcią o nim. Ta pamięć ta za nim szła i zaskakiwała przed oczy, wstrząsnęła się znowu ~~w łonie~~ mózg. Przy- pominał ~~porwanie~~ mimowolnie piekła czy raju, które jeszcze ~~teraz~~ ~~drżeć w nim budziły~~. – A potem... cóż to było? Aha, ktoś zawołał: „Hanka!” i ~~potem~~ znów głośniej: „Ha- nuś!” Zerwała się, powiadając: „Ojca mnie wołają!”.

– To ~~ta~~ ojca ~~pewnie~~ szła szukać, kiedym myślał, że to ona...

I tak ~~o~~ o wszystkiem myśląc i o niczem, szedł zmrokiem, bo już mrok był, prosto do Hucisk. Kiedy stanął u progu swoje- go domostwa, jak płaszcz, opadło z niego wszelkie omamie- nie, coś, jakby mgła płomieniem, rozwiało się z przed oczu. ~~Przytomność odzyskaną uczuł przy pomnieniem.~~

~~– Przecie ona mi nic nie powiedziała, czy się radziła z tego jak... Hucisko chyba nie zrozumie, bo z inaczej...~~

~~I poszedł od siebie, jak do niej szedł, nigdy jego serce.~~

57.

– „Opowiedz mi kiedyindziej”... co za niemądre słowa! Przecie to najważniejsza rzecz! I jak można... Wobec tego cały świat ginie.

Urwał nagle, bo zawstydzony w sercu, przyznał się przecie, że wobec Hanki świat zginął. Czyżby tęsknił?

I poczuł niesmak do siebie samego, jakiś wstyd wobec myśli, które go przywitały w progu. Tyle tu nocy przedumał...

– Nie wiedział, co mu rzec. Jakże ją mógł zabawić przy niej...

Ale myślał to, przyznawał, że mógł zabawić – wszystkiem.

– Kto wie, kiedy się znowu zejrzymy...

W ogólnem niezadowoleniu usiadł i podał głowę zadumie.
~~Chwile szły, coraz czarniej robiło się dokoła.~~

– Nie, nic jej nie powiem, skoro tak... Aże mi wszystko uwidoczni.

I począł tkać, jak pająk, przerwaną robotę. Chwile szły, coraz czarniej szarzało się dokoła, a on siedział, pogrążony w myślach, kąpiąc duszę w promieniach wschodu, który mu nad ziemią wymarzoną ogniście słońcem wstawał.

I rano obudził się tak, jak wieczór zasnął. W pamięci pozostały mu odkrycia, poczynione w planie gminy, z którą marzeniem zasnął. Te, jak uśmiechy dobre, przywitały go na dzień nowy i podnieciły do pracy.

Z każdym dniem ubywało po kilkanaście drzew z alei, z każdym dniem rósł jego plan, chowany w myślach. Rakoczy dorzucał doń w gawędzie, co nadeszło, pewny, że się całość stworzy z tych własnych rozskoków.

– Podstawa główna, to już jest, a potem, co kto woli? Niechta i każdy gazduje wedle ustawy, jak mu się żywnie spodoba.

Kończąc prace, zauważył, że ludzi zbędzie od robót.

Teraz każdy na swojem samopas narobi się, bieda nijak nie poratuje, choćby i swoje ręce do łokci poobcierał; robotę wlecze, nie zna jej, to ramion wsze brak do roboty. Inaczej, gdy się wspólnie popycha naprzód pracę; wtedy się toczy wartko, jak wałek po równinie, i siły tyle nie potrzeba, ostanie sporo rąk.

Co z nimi począć? Dumał. I stąd nowe zamysły wstawały.

/– Trza zaprowadzić kopalnie, założyć warsztaty, jeśli jeden nie poradzi, ale cała gmina!.. Na miedzach potrzebowych są pokłady gliny; możnaby cegielnię stworzyć. Kto na polu nie rad robi, a do fabrycznych rączej chętny, to się go użyje. I nikt nie będzie po próżnicy bożego chleba jadł. A każdy znajdzie taką pracę, która go zadowoli. Kto ino ma jaki talent, to go nie zakopie, ale wszędy będzie na wierch, na pożytek bliźnim. Weźmy Kozła, krawca dziedzicowego... Połowę czasu traci na obrabianie pola, jakie mają, bo któż im je obrobi, a resztę zbytecznie od rzyć gospodarczych obraca na rzemiosło. Ani z tamtego, ani z tego dobra nie wykonają, ani stąd, ani stamtąd użytku dostatecznego. I tak się szpyka i kutwasi, jak może najgorzej.

Tak znowu rozumował dalej.

– Każdy, jakiekolwiek by była praca, ma się trudni, czy rolna, czy fabryczna, czy w swoich warsztatach, ma swoją część w plonach wszelkich, jakiby je sam uprawiał, i równy udział

ze wszystkiem. Gmina Boży na naukę zdatnych nauczycieli, ków, którzyby, ojcowie, jak i dzieci, nie mogliby dać żadnej pomocy od siebie. Gmina potrzebuje zdolnych [illegible] i do ówczesnych szkół. I wychowuje z łatami dla ~~siebie~~ swoich fabryk techników, dla ~~swojej~~ swej oświaty nauczycieli ~~dla [illegible] [illegible] księży~~.. dla chorób dusz swoich księży, i dla chorób ciał lekarzy... ~~[illegible] lekarzy, [illegible]~~ ~~[illegible] z [illegible] gromadzkiej, na dług i [illegible] o [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] gminie.~~

~~[illegible] do [illegible], [illegible], jak dzieci chorzy od [illegible] i [illegible] dobra może uczynić, jako dobry lekarz~~ cały zastęp ludzi swoich, którzy znać będą ~~[illegible]~~ przyczyny nie doli i zła. I ~~będą~~ będą radzić, ~~[illegible]~~ [illegible] i leczyć, z [illegible] ~~aż [illegible] nie~~ aże gmina ozdrowieje, i na sercach już nie będzie niejakiego trądu.

Zeszedłszy myślami w przyrodę, gdzie już słońce grzało i serce się topiło w gorącej radości, wracał znowu do początku, do ~~[illegible] [illegible]~~ najbliższych zmian, i tak wędrował ~~[illegible]~~ bez ustanku niezmożoną duszą.

– Pastwisko będzie wspólne, rozumie się, tośmy już uznaczyli na sesji. Ale tego jeszcze nie, że dwoje, ~~[illegible]~~ troje [illegible] wszystko będzie z gminnego. Reszta pasterzy niech się zawie o młodszych braciach swoich, żeby nie wypadowali z ~~[illegible]~~ kołysek na ziemię, nie rozbijali głów zawczasu, bo rozumu szkoda. ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ I tak za mało go jest w jednym mózgu, a jak się jeszcze wytrzęsie... Bóg nie doda, i na nic wielkie ofiary.)

Rozweselony uciechą, że się mu wszystko tak składało bez trudu, pokpiwał sobie w duchu ~~z [illegible] i [illegible] [illegible]~~ ~~[illegible]~~ z tej nieszczęśliwej niezaradności ~~[illegible]~~, jaka się rozległa wokół ~~w gminie [illegible]~~ i trapi naród ludzki.

– Żyć ino chcieć! Nic więcej! Wszystko się ~~[illegible] [illegible]~~ rozpadnie... cały ten spichlerz gminny, w którym myszy gardłują, tam, kędy plewy jeno, bo ziarna niema. O ludzie niesłabi zaścieli! ~~[illegible]~~ Tyle ~~[illegible]~~ przed wami doświadczeń... I co to wszystko pacie, kiedy się nie chce.

Czasem wszystkiem zapadał rozpłomienioną duszą, gdy widział, że już końca dobrego myślenia nie ma i że go już nieznane nie dręczą pytaniami. W sercu nastawała taka pewność lekka, jakiżby przeszedł gęstwinę ciemną, niezmierny ~~[illegible]~~ bór i ~~[illegible]~~ ujrzał wreszcie upodobaną długo, tęsknotą w tej wędrówce leśnej ukochaną – jasną polankę. A na niej szczęście, już wykwitłe, patrzy oblanemi oczyma przez drzewa naprzeciw idącego.

~~Tak mu się [illegible] ta gmina [illegible] i z daleka już [illegible] słońcem, [illegible] o spokoju [illegible] harmonią świata [illegible].~~

– Zło stopnieje w sercach ludzkich, jak bury śnieg ku wiośnie. Zapanuje dobrotliwość w ~~[illegible]~~ naturze człowieczej. Powiadają, że naturę nie ~~[illegible]~~ da się odmienić. A Chrystus ją przedmienił. Widać, że nie wszystka. ~~[illegible] szczęśliwości trzeba, ziemskiej szczęśliwości, bo inaczej wszystko na nic, słowa nie poradzą.~~ Od tego czasu ~~[illegible] [illegible]~~ słowo ostało słowem. Opowieści o raju chodzą i nic więcej. ~~[illegible] [illegible] [illegible] dogasa.~~ A tu na ziemi piekło się rozpostrzeli... ~~[illegible]~~

57.

Od razu się zagasi, jak świece zatlone, bo któżby dobrowolnie chciał porzucić życie, jak niema przyczyn ku temu żadnych. Nie będzie się kłopotał, co dzieciom da jeść, co jutro i pojutrze i dalej, nie będzie se łamał głowy, skąd wypłat wydobyć coś, jak synów podzielić gruntem, którego nie staje, stąd i zajadłość na ludzi odejdzie go odrazu. Jak pierwsze zmory duszy opadnie zła i ustanie ...sny. Ani się sam nie pozna po niedługim czasie, jakbo na swojej drugiej przemianie. Nastanie spokój, do którego każdy, jak z cyrka, z dziesięciu dni wyciąga chude ręce. Dobry ludzie, sprawiedliwość, ponad wszystkiem spokój. I to będzie prawdziwie chrześcijańska gmina...

Żyć w niej wszystek myślami i ..., ino je otrząść ... prawie cudem w niej przebywał, odczuwając przyjemność i wspólnego życia. I tak... W niedzielę po sumie widział się w gromadnym kole, w przestronej dworskiej gospodzie. Zebrali się tu wszyscy, aby spożyć obiad. Nie brak i księdza i nauczyciela, dorzuca, jak za czasów chrystusowych gmin. Po obiedzie przechodzą do bocznej czytelni, aby pokrzepić mózg duchem i umysł przyprószony tygodniową pracą. Potem zabawa. Młodzież popisuje grą na instrumentach, muzyką, śpiewem, zapasami, a starzy siedzą po ławach, jako sędziowie uważni. Potem ogólna pogawędka, opowieści starych, a wreszcie wypoczynek pełen miłych wspomnień. I znowu tydzień roboty i znowu niedziela biała i niewinna, jak wstęga ... dni. A wszystkie jasne...

— Trza już raz zacząć! — porywał się, tęskniąc ku temu nowemu życiu pełnemu, tem mocniej, że je widział tak bliskiem i tak wyraźnem, iż ręką można było je za drzwi dosięgnąć. A tu u boku wyrzuta go, jak łańcuch przykuwający. Szarpał się w sobie coraz to rozpaczniej. I nie widział nawet końca tej niewoli ciężkiej. — Czy wszystko samo? — dumał — Coś ja se poradzę? Ta tu plan dojrzał w myślach i wolę o życie. Frank rzucił się gorzej, to w niemoc popadał. A dni leciały, jakby pośmiewając je ... Wreszcie wpadł na myśl zbawienną.

— Co mi z przechwałek, że ja je sam zetnę, kiedy sto razy ważniejsze czeka...

I postanowił przynająć dwóch chłopów, aby mu prędzej skończyć i czas powiększyć gminie.

Schodząc raz wieczorem z góry, niedługo po zachodzie, nadszedł przez drogę Tekli, komornicę, składającą na powróz gałęzie z cetyny i chrust uschnięty drobny, zdatny do podpały. Przywitał ją wesoło:

— Jak się to przytrafia, że zawdy wtedy was spotykam, kiedy mam interes we wsi. Tyż zgadzajcie mnie i teraz, ... moiściewy, zdrowy...

– O coż takiego idzie? – spytała, prostując powoli plecy.
– Trza mi dwoch chłopów do zwożenia... Nie wiedzielibyście o jakich?
– Wiem... – odrzekła z powolnym namysłem. – Chudonięt by się zgodził i Bekas by z chęcią przystał, bo oni tam już żadnej roboty, po poostawali, zebrali, co mieli na polu. A na zarobek każdy chętny...
– To ich też upytajcie za mnie, mówiłaś czy, bo musiałbym sam zejść na dół...
– No nie trobujcie się. Ja im ta już powiem... powiem... A jakie z płacą?
– Jak będą chcieć. Albo za dzień, albo ze sztuki wyrąbionego drzewa, jakiemu co wolą.
– Juści, wy ich ta nie skrzywdzicie...

Schyliła się i poczęła skubać dalej narwiecione za odrzecerze gałęzie.

– Cóż ta na dole słychać? – spytał Franek.
– Jak zawdy... Biedy kwicz, ciągi mwe i tyle. A więcej, to ta nie ciekawego bardzo... Zresztą... musielibyście czy słyszeć, bo tu ludzie chodzą.
– O czem, myślicie?

Popatrzała w jego oczy z uwagą i zastanowiła się z niedowierzaniem ciekawa. A potem, poszeptała jakoby do siebie:
– To wy, widać, nic nie wiecie, skoro tak...

W oczach, jak z wyjrzenia jej dostrzegł Franek jakieś ukryte, w zatajeniu, litosne pożałowanie. To go uderzyło przykro.
– Mówcież wyraźnie! – zawołał.

Przybliżyła się jeszcze wyżej, jakby zlękniona jego nareszcie. Po chwili, nie przerywając roboty, poczęła:
– Niejednakie są serca na świecie, bo też i niejednacy ludzie, mówili wy. To też to największa bieda, że razem żyją...

Franek się zastanowił nad jej słowami. Przebierał je chwilę w myślach i zdumiał się niepomału, skąd powstały w jej głowie, które mogły zaś nie zauważyć, że były jakieś zakończeniem dziwnego przedumywań, kto wie, gdzie i jak zrodzonych, przez jakie nieszczęście?.. Myśl, zawarta w jej słowach, wydała mu się, jak ptak o niezwanem upierzeniu, przelatujący z nagła poprzed oczy. I jak nieraz praca pilna albo inny niewczas nie pozwoli śledzić ptaka o dziwnym przystroju, tak obecnie niepokój, trzęsący sercem, przerwał Frankowi roztrząsanie myśli.
– Do czegoż to mówicie? – spytał.

Tekla jednak odrazu odpowiedziała.
– Ja wiem, do czego mówię. Wy pono są wszyscy szczęśliwi, zwłaszcza z daleka...
– Ja też nie powiem, żebym był szczęśliwym...
– Ale mnie się tak widzi.

Niedbale gałęzie, zostawił je powrozem, i wzięła już ciężko zawdzięczać na plecy. Franek się przybliżył ku niej.
– Wy coś kryjecie przedemną – rzekł. – Ja tak uważam... Ale przecie możecie mi powiedzieć otwarcie, zwłaszcza, jeśliby to mnie miało dotyczyć.
– Mówiłam, Kochani! To trudno powiedzieć, jak się nic z poblizka nie wie... A ludziom wiary dawać nie popłaca. Bo ludzie pletą, co sami mają, prawda zaś pustkami przez płoty gdzieniegdzie chodzi. Ktoby jej chciał od ludzi nabyć, to się sparzy. Jak i mnie nieraz sparzyło...
– Tu się przecie obawiać nie potrzebujecie...
– Ja się też nie boję o się... O was mi iżno niezarkotno, jakbyście się

mieli przypisywać do gdowy to, co się ludziom od wieku przydarzy. I szkoda nawet, żech wam natrąciła... Wierutne bajtki muszą być, nie inaczej, bo jakby prawdy choć cień naprawdę, to byście wy musieli pierwsi o tem wiedzieć. Widujecie się z Hanką...

– Widuję...

– Wiem, napotykałach ją kiedyś wracającą z wieczorów... I cudno mi doprawdy... Nic wam nie wspominała?

– O czem miała wspominać, myślicie?

– Niby o Cichańskiego zabiegach...

– Nie! – odrzekł szorstko, dotknięty przypomnieniem wołego Tka, jak go nazywał wyzywająco.

– Oj ludzie, *ludzie! – szepnęła z westchnieniem i schyliła się po ociepkę.

– Zaczekajcież! – odsunął ją łagodnie Franek. – Odniosę wam na chwilę, choć ku wodzie...

Spojrzała nań z wdzięcznością, a on gałęzie zarzucił na ramię, i poszli razem na dół drogą ku swojej rostoce. Skoro dochodzili wody, Tekla przystanęła, gotowa się do odebrania ciężaru. Ale on jeszcze nie myślał się żegnać i szedł z nią wśród roztoki prze całą dolinę. Dopiero za wąwozem zdjął brzemię z ramienia, powiadając:

– Tu granica, teraz wam już oddam...

– O, niech wam Bóg zapłaci! Boście mnie skrzepili setnie. Przyklękła na ziemi i, odebrawszy ociepkę,

– ... związała końce powroza pod szyją.

– To się już o tych chłopów nie trapcie...

– No mówcież!..

Franek stał przed nią, czekając aż zawiąże powróz, aby jej pomóc dźwignąć na plecy, a ... i spodziewając się jeszcze usłyszeć coś od niej. Bo go jej słowa ... nie zadowoliły i nie uśpiły w nim dziwnego niepokoju serca. Skoro uklękła, wprost zagadnął:

– To mi nic nie powiecie do końca?

Cichała widać, i ona na to zapytanie. Nie patrząc nań, z przymusem jakoby odrzekła:

– Cóż wam powiem, mój drogi, kiedy ja sama jak ta owca zabłąkana w lesie... Tyle się pewnego dowiem, co ... daję, a domysły zwodzą... Ale! skoro tak koniecznie chcecie... Powiadają, że ta coś u wójta się stroi. Pono były namowiny...

– Kłamstwo! To nieprawda! – krzyknął.

– Je wam też zaraz gadały, że to muszą być bajtki... Bo cożby inszego było = ludzie zawdy ludźmi...

I nie czekając dalszych pytań, zebrała się wartko.

– Ostańcie z Bogiem – szepnęła.

Nie dostrzegł pożegnania. Stał w zadumaniu tępem, nieruchomo, i patrzał zaślepiony przed się. A mrok go osnuwał zwolna czarną pajęczyną.

—

VII.

Niema siły, powiadają, któraby trzech nie zmogła. Toteż ubocz przelękła się, gdy białem rankiem wyszło ku niej trzech chłopów do walki. A każdy dzierżył w dłoni piorun o bystrzejszej stali, która na ostrzu niosła zgubę i niechybną śmierć. Z trzaskiem padały harne smreki, waliły się, niby maszty druzgotane burzą. Jedle zaś, upadając, wydawały jak bolesny [illegible], który po ziemi dudniał jeszcze długo po ich rozgłośnym skonie.

Ubocz, odziana lasem, poczęła się kurczyć i zmniejszała się widocznie z dniem każdym. Płat lasu topniał, jak płat szarego śniegu, który wiatr nakrył ziemią, skurczony wśród oczom słońca, aż ono, wyzwolony nad wszystkim, dojrzało go z góry i w gniewie swe ognie, złe groty nań wypuszcza.

Coraz więcej bielejszych, odartych ze skóry drzew zaścielało zbocze. Wydało się patrzącemu, że to pobojowisko jakieś straszne, gdzie trupy schną na słońcu, niegrzebane, i świecą kośćmi odziobanemi przez wrony [illegible]. Groza zniszczenia i śmierci szła od tego zbocza. A łoskot walki posunął się wyżej i zdawało się, jakby burza stała nad cmentarzem. Raz po raz taki [illegible], jakby grzmot przeciągły, jakby piorun, zdało się, rozszczepia chmurosiężne drzewa, a na dole martwota zarośniętych zgliszcz, pniaki stoją omszałe jak dawne grobowce.

Setnie dopomagali Rakoczemu Chudomięst i Bekać. Przez dzień razem tyle powalili drzew, co sam przez tydzień. Bo też trzem łatwiej było podzielić się robotą, zastąpić sposobem siłę i nie dać się czasowi wyprzedzić. Dwóch podrzynało, a jeden podcinał i kliny bił, aby pile nie było duszno przedzierać się wdrzewiem. W minutach kładli drzewo. Potem je łupili i obrabiali dokoła na gładko. Szło tak sprawnie, jakby kto wiatr zaprzągł w kieraty, i rozpędzoną siłę dodał ku pomocy. Koniec już widać było: przez drzewa, gdy się spoglądało do wierchu, przeświecało niebo. Te białe okna wśród zieleni, przerzedzonych drzew patrzały w oczy Rakoczego stałe jasne oczy wytchnienia.

Bekac z Chudomięstem schadzali na noc do wsi, do chałupy ich bowiem było blisko, na kraju Gryzopępin, chyba, jak padła noc ciemna, że drogi nie rozeznać było, wtedy przystawali w Kolebie i Franek ich gościł. Obiady jadali razem i najczęściej ziemniaki piekli, bo im to najporęczniej było i najtaniej. Przy obiedzie też jedyne mieli za dzień chwile wypoczynku. Rakoczy swoim zwyczajem siadał na najbliższym pniaku i zwieszał głowę, oddając się medytacyom przeróżnym. Bekac zaś kucał nad watrą, co chwila wygarniał z popiołu całe żarzące się węgle, i rozbijał je na dłoni i kładł do małej fajeczki, która mu ciągle, nieustannie gasła; cierpliwości się już nauczył przy niej i nie żałował sobie trudu, póki ognia [illegible]. Chudomięst znowu leżał na wznak opadły na ziemi, zakładał dłonie splecione pod głowę, i wyprostowywał plecy, na które narzekał.

— Mnie nic tak nie pomoże, jak ta ziemia twarda... Dziwny to ból doprawdy, nie mogę go pojąć. Jak się zwieśnię nieraz, to tak drze, jakby tysiące [illegible] [illegible]. A przy robocie to go nie czuć, kajsi się straci. Dopiero, jak człek odetchnie, wtedy skądsi

bestyrja psia sobacza wyjdzie. Co ja już nie używał na to! To ani…
~~opowiadać~~ Co kto doradził, co ino aptyki mają. ~~[illegible]~~ ~~[illegible], chyba jednej ziemi~~. A wszystko ~~tak, jakbyś za płot odlał~~ na nic, tak, jakżebyś za płot prał, bo nie ozdrzej. Jedna ziemia kochana ~~jedyna~~ — to mnie trochę ratuje i krzepi. Jak się tak urobię ~~mocno~~ dużo, ~~ale~~ a legnę se na gołej trawie, to mnie na jakiś [illegible] opuści. Ale potem znowu wraca. Żebyś tak cały czas wiecznie leżeć…

Przymknął oczy, oddając się błogości spoczynku.

— Co ono w tej ziemi jest, — myślał na głos — co tak człowieka przyciąga ku sobie. ~~Każdy przed śmiercią [illegible]~~ Wielu przed śmiercią kazuje się na ziemię złożyć. Ono ta bryj na ziemi, ja sam uważuję. Jakaś moc musi być w niej, ~~ma~~ co ma swój walor. Ssie niemoc z człeka, jak pijawka zmordowaną krew. Żeby mogła ten ból z pleców do cna wyssać…

Bekas chwycił okazję, żeby opowiedzieć powieść o ziemnym duchu. ~~Każda rozmowa [illegible] zawdy,~~ On zawdy, gdy kto mówił, zdawał się nie słuchać, zajęty nieustannym zapalaniem fajki, a w rzeczywistości słuchał i równocześnie jeszcze myślał, jakby tu ś historyję przyczepić do gwary. Tym razem łatwo było dostosować powieść.

— Powiadacie: ~~taj~~ ma swój walor… Juści, że musi mieć. Ale wy nie dufajcie, że zaraz pomoże, bo ~~go mają~~ to najgorszy z duchów ten duch ziemny. On się ino taki łasi, ~~aby~~ żeby was przycapnąć. Nie ujrzycie go nigdy, bo się wam nie pokaże, ~~pod [illegible]~~ Popod sam wierzch ziemi chodzi i czyha na ~~[illegible]~~ człeka. Ale do [illegible] ma walor. Jakeście nie bierzmowani…

— Juści nie…

— To się strzeżcie.

Co chwila zapalał fajkę, przerywając gwarę. ~~[illegible]~~ ~~[illegible] zdawał się [illegible], ale [illegible]~~ Miałech raz taki przypadek… Ale to już dawno było ~~[illegible]~~, jeszcze za za nieboszczyka ~~ojca~~ ~~[illegible] mnie na [illegible] od [illegible] [illegible] razem z Jantkiem,~~

— O, to już ~~ot~~ setnie temu!…

— Hej. Drużbowałech z Jantkiem ~~K~~ z Brzegu na jednym weselu. Ten wziął chudy od ~~Ko~~ Pociechy wtedy się żenił. Wesele padło na takie zadymki, że mało kto i do kościoła szedł, bo ~~wszystkie drogi [illegible]~~ ~~[illegible]~~ zaspy były straszne, co niemiara. A tu nam wypadało, ~~[illegible]~~ ludzi zganiać. Popleśmy, jeszcze od kościoła, na Lubomierz, tam-eśmy cały dzień prawie zmitręzyli, ~~[illegible]~~ ~~[illegible] — nikt nie [illegible]~~ nikt ~~nie~~ nawet z bliskich krewnych nie dał się uprosić, żeby ~~tak~~ szedł z nami na wesele. Cóż było robić?! Zaklinaliśmy się oba już pod wieczór i ~~[illegible]~~ zdążaliśmy na przełaj przez przyłaski, zapadając po pas i ~~dalej w zaspy~~ głębiej w zaspy. Jantka-ście znali, wiecie, że był chłop rosły i mocny. Ja przy nim był, jak mizera. To też szedł naprzód i torował drogę, i takeśmy się dopchali do Kórni. Wtedy tam jeszcze las stał, i mniej było ~~jak~~ niż ze ~~[illegible]~~ otwartego pola. Widziało się, że już ślepo dojdziemy, ~~[illegible]~~ niedaleko było, do ino ~~[illegible] las, [illegible]~~ ~~[illegible]~~ ćwierć mili najwyżej, a wsiedliśmy sporo wcześniej; ~~[illegible]~~ nie rachując zboczeń. Ale jak nieszczęście ma spotkać, to i ~~[illegible]~~ ~~[illegible] spotka~~ przy chałupie spotka. Noc nas przypadła w lesie, jak płanetą, i oślepiła ~~[illegible]~~ całkiem. Tak widno było, co

od śniegu, że ino ociek o drzewa nosem nie zawadził. Ale więcej się nie domyśli nic, niż ze pewnością, bo się pamięć straciła z dorzędkiem przed oczu. Naraz mój Jantek poczyna coś krzykać, o, i przystaje za mną, spoczywa co chwila. Poczekuję go, widzę, że mu cosi chybił. „Coż ci to Jantuś?” – pytam. „Nic mi, nic…” – powiada, i zbiera się, chce iść naprzód, a nijak nie może. Wziąłech go pod ramię i z wszystkiem prowadzę, a ten mi leci przez ręce i leci. Zmordowałech się przy nim – co wystrzeć! – przecie chłop, jak drzewo. Nie porada go było nad ziemią dotrzymać. Tak się ku tej ziemi ciągnął. Upadł wreszcie ze rąk i poczyna się gramolić, jak po śliskim lodzie. Pomagam mu wstać, ale darmo, widzę, że nie wstanie. Proszę go: „Jantuś! Przecie ty miej rozum… Ktoż widział tak się dać osłabić?” Zaklinam na wszystko w świecie, ale ten nie słyszy, ino się ku tej ziemi prze i prze uparcie. „Jezus kochany!” – myślę se – „coż ja tu z tobą będę robił? Ani chałupy pobliscze, ani człeka!” I tak stoję bez rady przy nim, widzę, że jeszcze chce się wstać, a tu już nie sposób. Pomyka się na rączkach i wołeczy z ciemni i woły i wyzbiwy se niemoże dać rady. A ja też nie wiem z nikąd, jak mu i czem dopomódz. Wziąć go na się? – nie uniesę. Czekać, aż pomrze? – Cóż mu z tego… jeszcze, nie zwiącze,

– Ho! ho! moiściewy… – dziwi się chudomiłek, który tę historyę już słyszał. – I jakżeście poszli?

– Rozum mi dorzadził, żebych po ludzi szedł. Jusić, nie zwiącze, zabrałech się wartko i poszedłech przez zaspy i śnięgi-ne domyśli. Musicie wiedzieć, jak-em szedł, skoro już po ciemnicach było, kiedych się zjawił na wsiche. Przelękli się mnie, jak ducha jakiego, bo ja nie inaczej musiałech wyglądać. Wyskakałech pełno lodu, jak mi potem powiedzieli, we włosach sople, a odzienie całe śniegiem oblane. Jeno zdołałech ze siebie wyjąkać, żeby szli wartko po Jantka, i powiedziałech, kany ostał. Więcej nie baczę, co ze mną robiono, bom się dopiero po miesiącu leżenia ostał.

– A coż się stało z Jantkiem?

– To się stało, moiściewy, co się miało stać. Nadeszli go koło prażka, jeszcze ciepły był. A mi usłali pełno prań, a w tym miejscu, kany leżał, śnieg tak stratowany, jakby się tam, co najmniej, z piętnastu chłopów bił. Nie mógł, widać, walkę umorzyć przebyć. Chcieli go jako ratować, zapalili parę oscypek łodny, co ze sobą przynieśli, grzali go, obracali, to znowu śniegiem tarli, ale na nic. Temu się ino dziwowali, że nie stwardniał. Tak stawy chodziły w nim, jak za życia. I na twarzy miał rumieńce do samego grobu. Ktoby nie wiedział, że umarł, toby nie uwierzył.

– Ho! ho! moiściewy, drodzy!.. – dziwi się chudomiłek – po chwili zapytuje z wahaniem: – To myślicie, że się z „nim” spotkał?

– Jusić, nie co innego. Bo, jak wam powiadam: „on” chodzi wiecznie ziemią, zaraz popod wierzchem, jak bojaźliwy kret, ma swoje chodniki. Trafi kto, jaki niesużony, na jego tor przypadkiem, to się już musi z tym światem pożegnać. Potem się z nim pasuje, pokąd go nie zdławi. Tak, moiściewy…

– To źle. Nie wiedzieć, czego się strzedz…

– Strzeżcie się ziemnego ducha.

– Ba, dyabli wiedzą, którędy on chadza…

– Ja wam też nie powiem nijak.

65.

– Opieka boska najpewniejsza. – Dźwignął się Chudzik i tem osądkiem zamknął gwarę, bo się ruszali do żniwania.

Franek, zazwyczaj rozmowny, zmilknął jakoś i nie dał się długo wciągnąć do ich poobiedniej gawędy. Zaczepiony pytaniem, rzucił słowo, a częściej kiwnięciem głowy odpowiadał, i nie pomagało go było uprosić, aby się szerzej rozgwarzył. Dziwili się niepomału, co go tak urzekło. I nieraz, idąc z góry na wieczór do chałup, mówili między sobą:
– Już to nie ten Franek... Widywaliście go dawniej?
– Ba, dy nieraz, nie dwa...
– Jak się znalazł między ludźmi, to końca mowy nie miał.
– Może i temu teraz taki smutny, że się od ludzi odstrychnął...
– Coby! To nie to. Jemu cości chybia... Jakaś planeta wisi nad nim i tak go osępia.
– Ale też chłop z niego walny!... Ktoby wam drugi tela płacił?
– Chyba jaki szlachcic, może...
– Ba, teraz dopiero szlachcic nie rad płaci...
– Powiedzcie mi, moi drodzy, co onego tu zagnało, że się tak tej uboczy jął? I to sam jeden. Kiedy by on skończył...
– Ha no, któż wie... Takiemu się, mościewy, i dziwić nie ma co. Nigdy nie uwidzieć, co zamyśli...
– Ja to się go, po prawdzie, i trochę pobawiam... Z tobą gada, widzi cię, a kajsi daleko poza ciebie patrzy...
– Inakszą ma naturę, i tela powiedzieć.
– Albo też ta planeta...
– Któż wie...

Franek od czasu widzenia się z Teklą niemało przeżył zgryzot. Niejeden by z tych utrapień na lata się zestarzał. Nic dziw, że mu się i mówić nie chciało. Największą męką jego serca była wyobraźnia. Ta mu przed oczy nasuwała przeraźne obrazy i wszędzie jego myśl po wszystkich pokładach. Nieraz go lęk przed życiem objął, nieraz strach opadł go, jak wyjść z zamkniętej kuźni. Nie było niepokoju, któryby mu nie zastąpił, patrząc zielonemi ślepiami w jego oczy. Wydało mu się, że idzie wśród pieczar po jakiś zaklęty skarb, a dziwne potwory zastępują drogę, straszą i przerażają okropnością serca. W tej piekielnej wędrówce, niósł, osłaniając zazdrośnie, niby czarodziejską lampę – swój plan. I to go przed zwątpieniem strzegło.

Po jakimś czasie ochłonął. Najpierw minęły trwogi. Co przeszedł, było tylko snem, majakiem z trudem. A życie przed nim otwarte – a czarodziejską lampę dzierży w dłoni...
– Niech je tylko ubocz zetnę... Niech stanę we wsi i opowiem... Wszystko się naraz rozwidni!

Wiara, smutkiem przygasła, poczęła się na nowo żarzyć w jego sercu. Strzelały z niej promienie, jak zorzy jutrzenki, która się po nocy ciemnej pojawi na widnokręgu. I rozjaśniała mu się dusza nadzieją dnia słonecznego.
– Kłamstwo wierutne... czemu ja się też trapię? Przecie by mnie pierwszemu powiedziała, jakby już musieli... Zresztą dowiem się naocznie wszystkiego. Żeby ino skończył...

To mu najwięcej dodało otuchy, że już widział koniec bliski tego utrapienia. I myślą już wybiegał naprzód, ostawiając

za sobą obóz niedościgły, jako ten pielgrzym trudowny, który, obaczywszy z dala kres swojej wędrówki, przyśpiesza drogą, przelatuje w myśli mu reszta drogi i przerywa już naprzód chorale wypoczynku, nie patrzy, ile jeszcze padnie przejść manowców.

— Jednego dnia stało się we wsi, jakby grom z wierchów spadł... Ludzi ogarnia zdziwienie, jednych radosne, drugich trwożne. Rozpytuję się, co słychać. Mówią: tak, a tak, u wójta się tam coś stroi. Ludzie plotą niestworzone bajki. Nie słucham, rozumie się, ludzie się jeszcze bardziej dziwią, że mnie to nic nie trwoży. Idę prosto do urzędu, zastaję radę siedzącą na ławach, Łukaja w przewodniku. Radzą o czemsi z powagą. Przerywam im i przedkładam plan. Nie mogą odrazu pojąć, ale coraz dalej poczyna im we łbach świtać, i zrozumieli w końcu. Wszyscy są na to gotowi, z radością przystają. I poczyna się wesele, święto całego narodu. Hanusia od uciechy ledwie mnie nie zdusi. Stary Łukaj błogosławi. Wszystkie oczy płaczą...

Sam się rozczulił tym obrazem i przywodził go sobie na myśl, gdy parokrotnie na myśl, w nadziei, że gdy go w myśli utrwali, to się tem pewniej stanie jawą. Nagłość przemiany Łukaja i rodzinnych usprawiedliwiał przed rozumem swoim poprostu cudem, który ich przemieni. Urok powszechnego szczęścia, wieszczy gród, który serca pali, to zarzewie, który wschodzi oczom od niebios niewidzialnego słońca.

Z wiarą zbudziła się w nim chęć rozchwały głośniej, ale ją tłumił wobec towarzyszów, wiedząc, że dusze ich zapatrzone obce. Gdyby je oświecić lepiej, naprowadzić na myśl... Ku temu nadarzyła się sposobność bliska. Jednego dnia nie przyszli do roboty aż koło południa. Znając ich obu, jako niezawodnych, zdziwił się Franek i zapytał, co ich tak zbawiło. Bekas splunął czystą żółcią, a Chudomięt niezkwapliwie, niby ze wstydem odpowiedział:

— Wyjmowali-my cielę z pod sekwestracyje...

— Jakto?

— A no tak: Przyszli i poszli. Trza było iść i wyjść, chcący się dochować krowy...

— I wyszliście?

— Nie — odparł z ciężkiem westchnieniem.

— A za coż to?

— Za podatek.

— No i widzicie, jacy-ście wy nieopatrzni. Nie mogli-ście to powiedzieć zawczasu? Dałbym wam naprzód, bez żadnej trudności.

— Ho! mościwy! Ani wyrachować, kiedy jeszcze na to czeka... Trza odkupić ziarna, bo to, co się zebrało, do siania się schowa. Ziemniaki trza dokupić, bo ich niema dużo; padnie potem do sadzenia — co pocznie, jak braknie? Trza, czem móc, pokiel się da, oszukiwać czas. I mleko by się przydało, a darmo, wszystkiego naraz nie sprawi...

— To kiepsko, kiedy tak...

— Jużci, że nie dobrze. Dziś zaminutko kumoter nadszedł, mieli-smy się zabierać do lasu, a ci wchodzą. Popatrzyli po izbie, niczema nic do wzięcia. I byliby się bez niczego pięknie ładnie zabrali, bo już na osiedle wyszli, kiedy na to zmyście dyabeł nadniósł ku nim sąsiadową, i ta im poraiła, kany cielę stoi. W oborze nic nie było, bo żyd krowę, którą nam przyjaźnił, już na przedwiośniu z mlekiem zabrał, a to jedyne cielę, to stało w komórce, przyszły kuje zarzygaj, bo ja umiał, że oni to już o niem myślą. No i nie omylił się.

67.

Wzięli zwyczajnie i wywiedli, i teraz ich proś. Kumotr się kawał za nimi ujął, ~~ale co z tego~~ niech mu Bóg da długie lata, ale co z tego?

– To nie ~~[illegible]~~ ~~naród~~ ~~[illegible]~~ – wtrącił ~~[illegible]~~ Bekaś, który się dotąd nie odzywał – ~~[illegible]~~. Idę za nimi i powiadam: To tak Panie nas nęcił? A ci z pięściami do mnie... Dywidzie! – odkrył kapelusz i pokazał ~~[illegible]~~ łeb obandażowany. – Taka z nimi gwara, mości wy...

~~– Ja się też już nie upierał. Wszystko, coście wzięli.~~

~~Inszej rady nie ma, jno rękę...~~

~~Nie wykupicie? – [illegible] Franek.~~ Łzer chudowiąt inaczej był zdania.

– Co będę wykupował! ~~[illegible]~~ – Jeśli ~~[illegible]~~ już mocen taki trzeba to i tak bez cielicz ~~[illegible]~~ wytrwam, a rękę ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

I ~~[illegible]~~ wylał dużo słów ~~[illegible]~~ zdążył ~~[illegible]~~ ~~wyrzucić~~, aż mu się w sercu nazbierało. Franek w czasie obrabiania drzewa zwrócił się do obydwóch:

– Powiadacie: ~~[illegible]~~ źle jest... Ja temu ~~[illegible]~~ wcale nie przeczę. Ale któż wam winien? Jak się tak dalej będzie pchało, jak się dotąd pcha, to ani gadki, żeby było lepiej. Możecie kląć po cichu, cóż wam to pomoże? Teraz nie ma na podatki, a za lat parę, myślicie, skąd będzie? Na Opatrzność niebieską darmo się spuszczacie. Bo Pan Bóg na to człowiekowi dał rozumu, aby sam ~~[illegible]~~ sobie ~~[illegible]~~ radził. Pomyślcie jno ~~[illegible]~~ trochę... Tak źle, to trza inaczej gazdować. Sposób się znajdzie, jak się pomyśli. Przypuśćmy: jedziecie z sianem. Wóz wam się obalił. Mocy tyle nie ma w rękach, żeby go podźwignąć. Wtedy szukacie sposobu ~~[illegible]~~, musicie szukać.

– Kiedy to życie, mościwy, ciężkie od tego wozu...

– A i tak je dźwigacie na ~~[illegible]~~ plecach, ~~[illegible]~~

– Cóż robić?!

– Nie stękać pod nim, ino się ratować, póki dźwignąć nie ~~[illegible]~~ przyjdzie. Życie, powiadacie, ciężkie, niż ze sianem wóz. Ciężarę można przenieść, nie tracąc ducha, jak się sposobu zażyje. Ale człek ~~[illegible]~~, to tak: rękami będzie myślał, zamiast głową. To się też jak wół narobi, rzec do łokci powiedziawszy, i to wszystko na ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

– Dyć tak, bo nie inaczej, ale kto na to poradzi?

– Człek ledwie rad, że żyje. Jeszcze by miał dumać!

– ~~[illegible]~~ Skoro my już o wozie zaczęli, to dalej mówmy. Widzieliście wy kiedy, żeby wóz woły uciągnęły, choćby ich i dziesięć było, jak się je tak poprzęga, że każdy w inną stronę ~~[illegible]~~ prze?

– Któżby znowu był głupi tak je poprzęgać?!

– Ha, widzicie! Miarkujecie, że ani z miejsca nie ruszy. A w gminie tak się dzieje. Każdy w swoją stronę ciągnie, i wszyscy od środka. Każdy o sobie ino myśli, ~~[illegible]~~ nikt o ~~[illegible]~~ wspólnym dobru. Przeto coraz ciężej ludziom, coraz to rozpaczliwiej ~~[illegible]~~ uważcie, skąd może być jakie wspomożenie, kiedy ~~[illegible]~~ jeden drugiemu gorszy, niż wróg ~~[illegible]~~...

– ~~[illegible]~~

– Dyć wiejak!

– I tak ~~[illegible]~~ jeden drugiego ciągnie w przepaść. A żeby się naród ocknął, uważył, co robi, toby się przelękł sam siebie, swej lekkomyślności. Jeszcze by się mógł zratować...

~~– O, już się nie zratuje! – [illegible] zawołał chudowiąt.~~

– Ja tam w to nie wierzę...

Franek uczuł bezsilność całej swej wymowy wobec tych ~~[illegible]~~ ludzi. Chciał jednak wypowiedzieć wszystko, co zamierzył.

— Jakby się wszyscy wzięli w kupę, jakby zaczęli ciągnąć w jedną stronę, jakby się wspólnie wsparli, to kto wie... Gromada wielka siła! Pomyślcie, coby to za ~~[illegible]~~ dobrobyt był, jakby ~~się~~ wszyscy ku jednemu szli, ku dobru wszystkich... Wtedy niczego by się nie bał jutra, niczego na świecie, prócz jednego Boga i sumienia.
~~— Dyćby dobrze było — rzekł Chudomięt~~
Na to Chudomięt:
— Dyćby dobrze było... Ale poradźcie to z ludźmi?
— To też trza iść i nawracać, ~~póki nie [illegible]. A jak [illegible] obcas [illegible] swojej wszystkość~~...
— Jak taki kum ot Bekas... Porzucił ich nawracać i wrócił z gęsiami na Tkie.

Poczęli się śmiać gorzko, a Franek nerwy przykrócił w sercu i zaprzestał gwary. Za chwilę Bekas, który ~~się~~ mimo ~~rozgl~~ czas rozglądał się [illegible] ~~[illegible]~~ zapalając ~~[illegible]~~ nieustającą gorzycą ~~[illegible]~~ fajeczkę, pokazał ręką na bliską polanę i zawołał ze szczerem rozbawieniem:
— Patrzcie! On się tam o nic nie trapi... Chodzi se całymi dniami, jak jaki komisarz...
— A piesek przed nim — dorzucił Chudomięt.
— Ba, dyć bez pieska trudno se go pojąć...
— Któż to? — zapytał Franek.
— To nie wiecie? — zdziwił się mocno Bekas — Stary Dyzma, ten z Gronia, z Burkiem, niby swoim psiną...
— Aha, ~~z dawna~~ przypomina mi się z dawna...
— No to on taki sam dosiela, jaki był. Nic się nie odmienił. Będzie miał z ~~siedemdziesi~~ osiemdziesiąt ~~lat~~ roków, abo i więcej, a nie znać tego po nim. Latem przy bacy owczaruje, jak za młodych czasów, a resztę roku to tak przemieszkuje, ~~[illegible]~~ pomaga lub przespacerowuje, jak dziś, całego dnia...
— Co ono go tu przywiodło?
— A przyzwyczajenie, myślę. Zbaczyło mu się, widać, ~~[illegible]~~, jak se za owcami chodził i: pódź Dyzmo do lasa! — pociągnęło go, i przyszedł. Co będzie innego robił? Kiedy nic nie umie. Bez owiec, to on kiepski, jakoś mu wsze czegoś brak. Z owcami na wyżni, to go ono cieszy, że się latoś poczyna rozrabiać.
— Z czego ocie z tym psem żyją? — zagadnął Chudomięt.
— Ho! Oni se ~~ta radzą, nie~~ ta umieją radzić, ~~[illegible]~~ nie bójcie się. Ten pies dla niego, to dusza zbawienie. Sprzedał go ~~[illegible]~~ na przedwiośniu księdzu z Mostowniczy. Pies pobył u księdza parę czasów, wreszcie się zabrał i ~~wrócił potem~~ przyprowadził ~~[illegible]~~ do Dyzmy. Ten, nie czekając, aż ktoś ~~się o psa~~ upomni, sprzedał go ~~[illegible]~~ zaraz organiście za parę papierków. Pies znowu przyszedł. A mój Dyzma znowu sprzedał go komu innemu. I tak go ~~sprzedawał~~ w krótkim czasie po kilka razy sprzedawał, ~~aże się oba wyprzedno~~ ~~wali~~ ~~[illegible]~~ Aż pies urósł w taką sumę, że się oba za ten pieniądz godnie wyprzednówkowali.

Frankowi zbaczyło się ~~[illegible]~~ owo przykazanie, którego trudno było ~~zwrócić~~ cygana odmienić, ~~tak, tak [illegible] jak [illegible]. Jest w tem i [illegible] [illegible] z prawa [illegible] [illegible] — i nie dzieli nic... [illegible] przykazanie zawarte jest [illegible] za [illegible].~~

A Chudomięt z Bekasem, śmiejąc się z Dyzmy i psa jego dziwnego, zapomnieli — jeden o gęsiach na Tkie, drugi o cielęciu. ~~Fajnie było, jak było.~~ Jakby ich nic cięże tłoczyło...

Czas umykał, przeplatany robotą, gwarą, śmiechem.

Bekas i Franek potrafili ~~opowiadając wesołe powieści~~ zmyślając ~~[illegible]~~ często wesołe powieści o swojej własnej biedzie. A mieli czas opowiadać, gdyż teraz częściej oba z Chudomiętem przystawali na noc w Kolebie. Dnie się króciły, że to noc była dłuższa. Naopowiadał ~~się~~

69.

też dość o różnych duchach, o strachach, o bogunkach i o płanetnikach. A jeszcze by mu starczyło powieści na sto i jedną noc z okładem.

Chudomiast się i wydziwić nie mógł.

– Ho! ho! – powtarzał co chwila – Skądżeście wy też telo tego nazbierali do głowy?

– Od starych ludzi, najwięcej od stryka, który się jeszcze pasie, choć mu już sto lat dochodzi. Abo i kto wie, może mu już przeszło...

Franek też rad słuchał gadek, choć je już i nieraz słyszał, czem wyżej Bachaci [illegible] pardzie, niż kopca gościńca. Nie rozstawali się teraz, robiąc i nocując razem, chyba, gdy gadziom na jaką noc zajrzeć do chałupy, dowiedzieć się, co tam słychać i dostać żywności. Wtedy Franek pozostawał wysłany na wyręckę, a oni szli pod wieczór i wracali rankiem. Zwykle Franek przy witaniu pytał się ich o wieści z dołu, a ci zazwyczaj powiadali, że nic nie słychać godnego.

– Zresztą, jak wiecie, siedzimy pod lasem. Nikt nam odeszli z dołu nie dochodzi: Mogłaby się u powiedzieć, tak naszki kościół spalić, a nie dowiedzieliby się o tem, aż w niedzielę.

Jednego razu przecie przynieśli nowiny.

– Widzieliśmy Dyabła na swoje oczy! Nie wierzycie?

Franek zmarkował zaraz.

– Aha! Z kądże on się tam wziął?

– Szedł, jak powiadał, na kopanie... Jakto? – pytamy się go – To na pieniądzach siedzisz, a ze zarobkami będziesz chodził? ale cobyście się z nim dogadali! Korzeniarz są i poszedł.

– Spotkaliśmy też i Drozdza... Musicie go pamiętać, jeszcze z dołu?

– Wiem, od niektórych ciekawości, – ten, co to ma chałupkę przy wodzie...

– Było! Już jej nie ma...

– Jakto? co się stało?

– Pamiętacie te ulewy, co to trzy dni trwały? Wtedy mu ją zabrała woda... Z kamienicy nie ostało ani śladu znaku.

– Teraz on, biedny, teraz robi?

– O je to, co i przedtem. Chodzi we wodę i łapie ryby kryjoma. Zapytajmie: dróżdż... E dyć ten ma święte życie. Sam jeden jest... Cóż mu trzeba? O nic się nie zatroszcze...

– Gdzieście go znali?

– Na rozstoce, wiecie, koło tego jezu...

– Wiem. A nie mówił-że nic o mnie?

– Nie my się dużo nie rozgadywali, bo raz, że czasu nie było, – a drugie: co z takim bedzieście gadać?

Franek, doprzęgnąwszy chwilę, wymyślenie zeszedł ku roztoce, aby się z Drozdem obaczyć. Nie napotkał go, jednak, aż w trzeci dzień, kiedy schodził z towarzyszami od roboty na noc ku kolebie. Bachac go pierwszy wyzrał.

– Widzicie wy? Dróżdż...

Franek się rozglądał wszędzie i nie mógł go dostrzedz.

– Ku wodzie patrzcie, bo on inędy nie chadza...

Teraz dopiero Franek zauważył niedużego człeczynę, którego można [illegible] chłopca, zachylonego za wystającą z brzegu skałą tak, że go trudno było uznać, bo szary był, jak ta skała, i nieruchomo dotknięty skamieniały przymarł. Na jego widok Frankowi serce się rozczuliło.

— Idźcie, morskie wy, naprzód — szepnął towarzyszom — Nagotujcie wieczerzę, ja tu zaraz przyjdę...

I zbiegł ku wodzie, przedostał się na drugą stronę roztoki, za chwilę stał już nad wystającą z brzegu skałą.

— Czy się nie mylę?...

Na dźwięk jego, zgoła głosu, Drozd się w przestrachu przywarł, a potem podniósł z ciekawością głowę i spotkał

— To-to wy?... — zawołał zwiedziwszy wielce i począł się od razu wyciągać na brzeg. Skoro się już wydostał, ujął ręce Franka, ścisnął je długo i w milczeniu do piersi, jakby chciał wsączyć w nie wszystkie żale, klęski, jakie serce wszystkie żale i udręczenia:

Franek się też roztkliwił i, zapobiegając, aby nie ranić bolesnym opowiadaniem serca swego, rzekł ze wzruszeniem:

— Wiem, co was spotkało... Opowiadali mi ludzie.

— Ludzie i tak nie wiedzą wszystkiego — szepnął, przerywając mu słowa. Potem usiadł na brzegu za przykładem Franka. Po niemałej chwili zaczął:

— Ja się wam nie skarżę. Ja się jeszcze nikomu na świecie nie skarżył. Ale się już przepełniło w sercu...

Oczy mu zaszły łzami. Odwrócił twarz, aby je ukryć. I znowu chwilę przemilczał.

— Nie chcę przeskarżać... ale się cosi musi stać na świecie za to, że mnie ten los tak prześladuje ostatnie strzeżenie.

Zapatrzył się na wodę i zachował w myśli, nie wiedząc, że głos powtarza za nim.

— Najpierw chudoba, potem dzieci, potem nieboszczka, potem chałupa, potem...

Ozwał się i przerwał, kiwając po niebie, i chwili:

— Tak się mści i mści, nie wiedzieć, za co...

Roztoka bełkotała, to ucichała, potem podnosząc w zadyszeniu pierś, okryta pianą, jak czas, głucha na wszystko, zamyślona w sobie i w swojej drodze, której koniec za wiecznością ginie.

— Co ja się też naspodziewał: przyjdzie i na mnie koniec... Padło nie-szczęście, myślę: zabierze i mnie... A tu się tłucze i nieporada wyjść do wypadkowania. Zabrało wszystko, a ja ostał sam, jako ten kamień. Dyć najlichsze stworzenie ma się do czego przytulić... Ale już nie narzekam. Może kto za mnie narzeka...

Zwiesił głowę na piersi i zamilkł, zapatrzony w pokrętne przyskujące u stóp fale. Franek też nie co innego robił. Obaj się tak pogrążyli w zadumie i zapatrzeniu. Aż mrok, zastępując oczom, przebudził Franka pierwszego. Wstając, rzekł:

— Pójdźcie ze mną...

Drozd w zdziwieniu wielkiem podniósł ku niemu twarz.

— Kamy?

— Niedaleko, za wodę, do mojej chałupy.

Widząc, że ten w nieświadomości za żart może wziąć jego zaproszenie, opowiedział mu krótko, jak się tu znalazł i jak mieszka. Ale, mimo to, Drozd chwilę się za nim I [illegible]

wyprzeszedł... Po co ja wam mam kłopot robić? Człek ta już wszystko, to się jakbądź wyżyje...

7.

Ale Franek: „Musicie i można!" – nalegał, i prawie gwałtem zabrał go ze sobą.

Po drodze Drozd, z wdzięczności, nie mogący się inaczej objawić, jak tylko szczerością serca, począł się Frankowi zwierzać z ostatnich swoich przejść. Mówił jednak obojętnie, jakby to już dawno przebył i nie on sam, ale ktoś mały, mniej, niż człek, znaczący. Przytem, swoim zwyczajem, rozglądał się w koło i zdawał się uwagę bardziej zajmować wszystkiem, najmniej tem, co mu się gada.

– Jakby tu było nie przygodził – prawił – ale tak... na dole już niepomada było wyżyć. Wszystko się razem jednego człeka, i chcący żyć, trzeba się było wyżej pomknąć. Dość, że żywizny mało tego lata, bo woda wytłukła, co nie zdołała zabrać, to się jeszcze na dopłatach i ludzie taczy naleźli, co im się krzywda wodzi, jakbyś dostał jakiego głóca z pod kamienia, choćbyś połdnia i dłużej za nim szukał. Siedzę jednego rana i pozieram we wodę, jak zwyczajnie, a ten nie łaps! niemiłosiernie za kark i powiada: „Aresztuję cię, boś pstrągi chytał." „Idź – mówię mu – daj mi spokój." A ten mi na to pokazuje blachę mosiężną na jakimś pasie. „Czy ja wiem, co to?" A ten powiada: „Prawo!" No i gadajcież z nim... Dopiero, musiałem przysięgać, żem od lata nie widział pstrąga na oczy, bo święta prawda była, i wtedy mię popuścił. Na odchodnem powiada jeszcze: „Żebyś se pamiętał, że ci nie wolno nad wodą wystawać. Jak cię po drugi raz ujrzę, to zaaresztuję, choćbyś sto razy przysięgał..." No dy here, stój – pomyślałem, ale potem mi przyszło do głowy, że lepiej głupiemu ustąpić. Prawem się przekazuje... no dyć dobrze... ja też miarkuję trochę, co-to prawo. Ale mi się nijak nie chce wierzyć, żeby zaś takie prawo było. Zresztą, kto ta wie... Niczemu się dziwować nie trza.

Franek przytaknął [illegible].

– Słusznie. Niczemu się dziwować nie trza...

– Ja też, z tego wszystkiego, zabrałem się w górę... Bo se myślę: Bóg-że wie, co się może trafić... Przyaresztują... no dyć dobrze... Żeby choć to nie śmierci sądzili odrazu.... Bo wiem pomrzeć [illegible] naraz – że czasem to i śmierć lepsza od życia... Ale jak do lochu wepchną, to jeszcze gorzej... To już lepiej tak pomykać do jakiegoś czasu. A znowu myślałem se: leżeć na ziemi i czekać, aże śmierć nadejdzie, to też nie dobry rozum. Może śmierć akurat obejść i oszukać człeka. Jeszcze trza żyć – myślę se – bo kto będzie za mnie żył? I z tego dopierom tu przyszedł...

Przerwał, bo już stanęli u progu koleby. Bekas z Chudomięskiem nieufnie i w zdziwieniu przyjęli wchodzącego bojaźliwie Drozda, ale widząc, że Franek go opieką darzy, pozbyli się i oni [illegible] przymówić i raczyli go wieczerzą, którą zgotowali.

Nazajutrz, po śniadaniu, skoro się już do roboty trza było zabierać, zwrócił się Drozd do Franka z podziękowaniami. Przytem nieśmiało zagadnął:

– Może by się wam na co przydał. Bo jeść, w lesie... a nic nie robić...

– Ho! ho! ho! – roześmiał się Franek – Niey wam tu roboty dziany. Nie jedna, ale sto robót, jeśli o to idzie. Będziecie nam skład obiad, gotować wieczerzę...

– Hej! – potwierdzili Bekas z Chudomięskiem.

– Przez to nas dużo skrzepicie. Bo dni się krócą, czasu bardzo

mało. A tak się nie będziemy odrywać od pracy. Tu macie drwa, tu ziemniaki, tam mąkę, sól i co potrzeba.
— Czy ja to będę umiał wam dogodzić? — wymamrotał zażenowany Drozd.
— Tem się nie trapcie. My tu wszyscy nie grymaśni. Byle z ognia wyszło, to już dobre.

Zabrali się do ścinania, on został w kolebie. I tak se wziął do serca to zadanie swoje, że już od rana myślał o obiedzie, a od południa o wieczerzy. Mając tyle celów przed sobą naraz, powesołał i okrzepnął na siłach, ba, nawet odmłodniał. Komora Franka była dość zasobna, zresztą i ci dwaj dokładali, co który mógł i zdołał przywlec. Ale Drozd nie opuszczał się na gotowiznę. Nauczony biedą swoją, zawsze się oglądał na potem i na dalej, bojąc się, że może brakować i to na różne czasie. W chwilach wolnych, których miał dość, zachodził ku wodzie, szukał pod kamieniami pstrągów, a jak tych nie mógł ułowić, to łowił na płytkiej wodzie głowacze i przynosił. ~~Znowu~~ Pchało go też ku temu wieloletnie przyzwyczajenie, które nakazywało, że się potrzeba. Ryby umiał przyrządzać bez przypraw — nauczył go już odwieczny mus, pan wiele możny — to też, gdy miał sól i masło, i mąkę ku temu, jedzący nie mogli się nadziwić, że takie dobre rzeczy żyją w wodzie. Zachęcony pochwałami, Drozd się zaciął i coraz wymyślniejsze gotował potrawy. Franek z zadowoleniem patrzał na jego wzrośnięcie, Bekas na nowo zaczął opowieści, aby je mógł i Drozd usłyszeć, a Chudaniszt, zmlaskując przy każdej wieczerzy, powtarzał z rozradowaniem:
— Teraz człek wie, że żyje!

Cóż dopiero, gdy Drozd, za łaską Opatrzności znalazł, idąc ku wodzie, pół [illegible] którego lis, w ucieczce, nie miał czasu zabrać, i gdy tego potajemnie upiekł po swojemu i z uśmiechem tajemniczym podał na wieczerzę! Były gody, aż o jakich się Chudaniszkowi w głodowych snach nie śniło. Drozd urósł nagle w czarodzieja, który z niczego, jakby na zakłęcie, potrafi tworzyć różne cuda smaku. Odtąd Bekas z Chudaniszkiem darzyli Drozda przyjaźnią i obiecywali mu dozgonną pamięć.

~~[illegible]~~

I tak się wiodło. Schodziły dni na robotach, wieczory na pogwarce i opowiadaniach Bekasa — bez złości. Franek, mając zajętą myśl wciąż swoim planem, żył w kole towarzyszów, jak ze snu uporczywy. Przez dzień w robocie się pochłaniał cały, a wieczorem dyszał na swoim gnatku, zadumany, i nieraz po trzy razy musieli wołać nań, nim się do wieczerzy podniósł; ani po wieczerzy siadywał na progu, zapatrzony gdzieś w ciemność, w najciemniejszą stronę, albo kładł się na swój wyrek i z oczyma otwartymi nieruchomo przeleżał wieczór do północy — nie wiedzieć: słuchał opowieści Bekasa, czy też o czem innem myślał, śnijąc tak na jawie. Już się z nim z tem oswoili, i nikt go zagadywaniem nie zaczepiał, gdy sam nie począł gwarzyć.

Jednego dnia z wieczora, jeszcze widniawo było na polu — Franek siedział na niskim gnatku, podparty, Bekas z Chudaniszkiem coś majstrowali przy watrze, aby im widniej było od ognia, ~~przy którym Drozd obracał garnki~~ a Drozd z jedynym przyrządem w dłoni kucharzował, jak zwykle. Dopiero co wrócili z lasu.

Wtedy w tej chwili zadudnił ~~ziemia~~ poza ścianą – i do wnętrza wpadł Dyabeł z ~~[illegible]~~ okrzykiem radości:

– Jest! jest! jest!

– Co takiego? – wszyscy się potporywali.

Dyabeł, ujrzawszy ~~tyle~~ niespodzianie ~~tylu~~ chłopów, strwożył się ~~[illegible]~~ i mimowoli cofnął się do progu. Przytem prawicę, w której dzierżył coś, szybko za siebie zaukrył.

Patrzyli nań wytężnie, co go jeszcze więcej strapiło. ~~Franek zbliżył się ku niemu, powstając, [illegible]~~ Przyośmielił go Franek,
– ~~Zbliżcie się ku nam~~ który, powstając, rzekł:

– Podejdźcie dalej... Czego się trwożycie? Przecie my tu sami swoi.

Wtedy przewalczył obawę, zaszedł ~~bokiem~~, koło ściany bokiem i zbliżył się do Kalkowego. ~~Radość znów pojawiła się na jego twarzy, gdy [illegible] szeptanie~~ A rzucając ostrożne spojrzenia ku pozostałym, zachylił się za ~~Franka~~ przed ich oczyma za Franka i pokazał mu strzelbę, którą ~~[illegible]~~ z za pleców niespodzianie wysunął. Cicho było, bo stali od ognia zwróceni, i Franek ~~[illegible]~~ mógł ~~[illegible]~~ dokładnie ~~[illegible]~~ obejrzeć. Wypadł, że nabył strzelbę i ~~[illegible]~~ przyszedł się pochwalić! A Dyabeł patrzył to na niego, to na tę strzelbę, którą dzierżył w dłoniach, ~~[illegible]~~ uśmiechał się, jak dziecko, któremu ktoś ~~zabawkę~~ drogą ~~[illegible]~~ wyśniona.

– Jakże-ście ją nabyli? – półgłosem spytał.

– Ssy! – ~~[illegible]~~ uciszał ~~Dyabeł~~, wskazując ~~[illegible]~~ prędko, ~~[illegible]~~ pokazując oczyma na siedzących ~~[illegible]~~ przy nalepie.

Franek teraz pojął ~~nabył~~ strzelbę ~~[illegible]~~ w celu kłusowania, i boi się, aby ~~[illegible]~~ ktoś na karę nie zdał.

– Nie bójcie się, ci was nie wydadzą... ~~[illegible]~~. ~~[illegible]~~. To

– ~~Ho!~~ Oni ~~[illegible]~~ bratu nie ~~[illegible]~~ wierzę. ~~[illegible]~~ was mam ~~[illegible]~~ też wam ~~[illegible]~~ jednemu powiem...

~~[illegible]~~ Przysunął się jeszcze bliżej[x] i szepcząc, ~~[illegible]~~

[x] wzruszony przez ~~[illegible]~~ obawę niepokój i radość, mówił:

– Pamiętacie, com wam ~~[illegible]~~ o tej dolince opowiadał? Jaka o niej opowieść, ba nie jedna, ale jedna z wielu?.. Nie ~~[illegible]~~ wiecie? Jest tam kłoda, pod tą kłodą strzelba, a od tej strzelby na sto kroków...

Głos mu wzruszeniem silnem zadrżał, rozpiękniał się w nadziei szczęścia. Teraz Franek zmiarkował wszystko. Dyabeł ~~znalazł~~ widział, ~~[illegible]~~ jego strzelbę, którą ~~[illegible]~~ tam ~~kłodą i zapomniał [illegible]~~ przy tej ~~[illegible]~~ on przypadkiem, ~~koło tej dolinki idąc, [illegible]~~ ci zapomniał dolince schował, ~~kiedy ją [illegible] w las~~ wziął ją do koleby. Niezawody, ile razy szedł tamtędy, ~~[illegible]~~ [illegible] dużo przyglądać się...

– Pokażcie-no ją! – szepnął. – Ta sama...

– Jakto? Toście wy ją znali?!..

W oczach ~~[illegible]~~ Dyabła, radością promieniejących, zamigotał tajemny przestrach.

Franka odbył ogromną litość nad nim. Nie wiedział, co mu powiedzieć.

– W każdym razie nie będę mu rozwiewał złudy – pomyślał. – To jego jedyne szczęście...

~~[illegible]~~

I, omijając odpowiedź wyraźną, rzekł z powagą na twarzy, a litością w sercu:

– Los was obdarzył... I cóż wyplecie poezyi?

Nie dosłyszał słów Dyabeł, bo ich wszyscy trzej pozostali przy ogniu, póki ich razem wołał do wieczerzy. Dyabeł się wymawiał zrazu i chciał się wycofać za próg, ale go Franek ułagodził tem, że mu strzelbę doradził schować pod swój wyrek tymczasem, zanim będzie wieczerzał i gościł. Sam mu ją zaniósł i wsadził pod deski, obiecując, że jej tam żadne oko nie wyśledzi. V „mam już koparkę!"

Po wieczerzy długo jeszcze zasiedzieli w noc. Franek, na gnatku oparty, z początku brał udział w gwarze, potem się pogrążył w myślach i zdrętwiał w zadumie. Dziad, skulony przy nalepie, dorzucał na ogień szczypy i przy migającym świetle obierał ziemniaki, rękami się koło niego plątał, wygarniając z watry węgle, tłukł je na dłoni i wpychał do gasnącej nieustannie fajki, przytem bez przerwy opowiadał historye różne; to o jednym wisielcu, który się sam odciął i nie mógł do ziemi dolecieć, bo już był w piekle, to o strzygoniach, które dawniej bywały, aż je jeden ojciec święty wyklął, to wreszcie, z powodu gościny Dyabła, o zaklętych skarbach. Chudomięt, w kącie drzemiący, budził się, co chwila, i, chcąc zaznaczyć, że pilnie słucha powieści, powtarzał, z zadziwieniem: „Ho! ho! moiściewy..." A Dyabeł, siedząc na małym stołeczku, zdala od światła i ludzi, zatopił się w szczęśliwości i uśmiechał się tak słodko, jakby już w zanadrzu miał skarb, o którym marzył.—

—

V Podczas wieczerzy Dyabeł znalazł sposobność tyle, że nachylając się do ucha Franka, zwierzył mu się z drugiej swojej radości:

– Mam już koparkę! – szepnął, a po chwili: Któś siadek za nią trzy dni będziemy kopać...

Motto: Jesień (Pani moja! zrodzona ze smutku wśród... o smutnem czole.)

Tom II

VIII.

Jesień, posuwając się wrotokami w górę, stanęła we wrześniu w Hucisku. Tchnienie jej urokiem padło na całą dolinę. Najpierw trawy leśne po wrębach poczęły tracić zieloność, przybladły i przywdziały przeziębne stroje, czasem to czerwieńsze, z daleka jaśniej odznaczały się, jakgdyby chusty olbrzymie, stokolorami wyszywane, rozciągnął ktoś po zboczach; takim bogactwem barw mieniących krasniały zrazu wręby. Potem krzewy przyleśne, na które padł od spłowiałych traw odblask, poczęły się rumieńcem krasić, i czerwieniały z dala purpurowymi płatkami wrzecion, po wszystkich zboczach rozrzucone buki, gdzieniegdzie, gdzie wydzierał las rozgałęzieniem, poczęły żółknąć i rdzawić się liśćmi, przez co nadawały dolinie wspaniały jakiś wyraz przedśmiertny.

Jedynie smreki i jodły nie zmieniły swojego stroju. Tak samo czerniły się i zieleniły, jak przedtem. Ale cała miała mieć bystro wśród bogatych wzorzystych, złotych i czerwieniejących obrazów. Gdzieniegdzie tylko z kraju wrębu czerniły smrekami, albo wyskakiwały z traw, jak kępy ciemne; przestrzenne płaty zwadką były widne. Jedyny większy płat starego lasu, który okrywał całą ubocz, Pławny już się minął tym latem. Kosmyk jeno ostał w górze, a część na wierchu.

Franek z towarzyszami kończył już dociąć. Z dnia na dzień spodziewał się ostatecznego dociêcia. Potem jeno spychanie drzewa i po wszystkim. Ze spychaniem, myślał, to łatwo pójdzie, bo ubocz stroma, sam sobie da radę. Jeno żeby już to ostatnie drzewo obalić — wysłać robotników i rachować od stojącego. Rachowaniem trudno było przyspieszyć roboty, to też z dnia na dzień koniec się odwlekał.

A już też się już pierwsze zwiastuny zimy ukazywały: ludzie ze wsi przychodzili i przysiadali furami po cetynę. Dolina koło południa napełniała się rozgwarem, turkotem kół, i głośniejszemi niż inne góry klątwami. Wydało się Frankowi, patrzącemu z góry, jakgdyby życie, przepełniające się w dolinach, sięgnęło jedną falą w zaciszne Hucisko, podobnie, jak morze sięga w najskrytszą zatokę, gdy się przypływem wzniesie jego pierś przestrzenna.

Do tego życia już tęsknił gorąco. Wszystkiemi myślami tam był, na dole i płomieniście pracował choć w wyobraźni. Niespokojność serca tłumiła nadzieja przyszłego obaczenia wsi, ale za powodzeniem najbliższego, gdy ludziom objawi plan swój i zbawienie poda, tem upewnieniem wewnętrznem, że nie usłyszał z nikogo potwierdzenia bytu, jaką mu Tekla przyniosła. Znał ludzi trochę i wiedział, żeby nie omieszkali powtórzyć go, gdyby prawdy było w tem choć na paznokieć.

Spytywał się spotykanych na uboczy ludzi, co tam na dole

słychać, czy nie zaszło co nowego od czasu, jak wyjechał ze wsi, ale mu odpowiadano, że nic się nie odmieniło, ino biedy przybyło trochę i tyle. Ogółem byli to ludzie wydarci przyłożi, w ziemi patrzący przy rozmowie, zahukani od świata, bojaźliwi, których pytanie trwożyło ich, nasuwając obawę, czy nie ma w niem zwady jakiej ukrytej; to też Franek, po paru próbach rozmowy, przestał się z nimi rozpytywać, widząc ich pochwalił Boga, lub życzeniem szczęścia.

Aż raz spotkał chłopczynę niedużego wzrostu, który, jak mu się zdało, był mu znajomym kiedyś, ale nie mógł na razie zbaczyć, skąd. Wlókł on wysoko ociężałe cztery z ubocznej strony na dół, ku wozowi. Dojrzawszy Franka, zatrzymał się, i, nie odpowiadając na powitanie, rzekł:

— Wiecie? Jaś umarł...

Franek nie mógł pomiarkować odrazu, o kim mówi, tembardziej, że nie zdołał jeszcze na myśl przyjść, skąd pochodzi ten człowiek, z jakiego osiedla.

— Który Jaś? — spytał z niejakim objęciem, by żeby tak go nazywać.

— E, wiecie, ten Jaś Zatracony, to co to u nas ze młodu sługował...

— Co powiadacie!

— No, gdy prawdę powiadam, bo już go już kiesi pochowali...

Franek się zadumał ciężko. Stanął mu przed oczyma tuli sam, jakiego znał od mała, osierocony, smutny, o pachołkowym wyglądzie...

ani nic nie chorował? Tak umarł... [illegible] nie mierzył się, na co...

— Ojciec mu niedawno pomarł... On się też zadumał i... co będę żył? — powiada, zebrał się i poszedł z tego świata, — szepnął Franek.

— Na przewlekłą serca, ...

— Bywa to taka choroba?

— Bywa, rzadko, ale bywa.

— No powiedzcie, który się spodziewał... O żabie w mózgu tom już słyszał i robaku w nodze też... Ale o takiej...

Kręcił głową z podziwem i niedowierzaniem. Franek go porzucił, a teraz ochoty gadać, [illegible] się [illegible].

Idąc w górę, myślał wciąż o Jasiu. Przychodziło na pamięć wszystko, co z nim przeżył: jak razem pasali z młodu, jak się lubiali, choć [illegible] młodszym od Jasia, jak mu ten ze smrekowych szczapek fujarki wyrabiał, jak go w wielu różnych sprawach [illegible], jak przy ognisku siedzieli wieczór do późna wnoc, jak się przytem rozmarzali, gwarząc o przyszłości... „Ty będziesz panem — mawiał Jaś — w wielkiem mieście będziesz mieszkał, a my oboje ze Zosią będziemy gospodarować na gruncie. Przyjedziesz do nas kiedyś, to się ucieszymy razem. A jak nie, to my do ciebie... ale któryż kiedy ty będziesz, w jakiem kraju, czy byśmy cię dopytali...!" „Coby się ta nie mieli dopytać!" — zwadziarz [illegible] — i w końcu się schodzili oba w jednem zdaniu. Nic

ich nie rozdzielało, a łączyło mnóstwo jednakich upodobań, pragnień i zamysłów. Zgorszenia rozdzieliło ich życie. On do szkoły pojechał, a Jaś został, który wrócił już Jasia w domu nie było. Nie wywróżył, nieboraki, sobie, ani jemu... Całe budowę, którą stawiali razem przy ogródku, zwalił się za jednym podmuchem, jak mały domek z patyczków.

– Jak się to niemiłosiernie stało...

Nie chciał przypominać dalej, bo mu żal serce obejmował i gniew na ludzi bliskich. Nawet cień matki swej nie mógłby wznieść...

– Nie, lepiej nie wspominać. Wszystko już cieniem jest. Przeszło. Życzyłem może jeszcze nieraz ten cień na serce padnie...

Myślał o siostrze. Przybaczył też spotkanie z Jasiem w sadzie, i skargę jego, którą trudno z pamięci odegnać.

„Oj, ciągowałeś ci je, Zosiu..."

Tak się te słowa sprzęgły z melodyą znaną, że, jak z ugorów, ni smutek, szum z wodą, lub jak z jesiennym wiatrem. Z melodyą znajomą przychodziły na myśl, a ze słowami Jaś stawał na oczach.

– Dziwne... już go nie ma... a zdaje mi się, że jest... że się jeszcze spotkamy...

Ze smutnego tych zamyśleń wyrwał go okrzyk:

– Ostatnie!

Chudomił z Bekałem obalili je. Jakoś tak rozgłośnie, jakby zaś skon padające odezwał się o cieniu.

– Nareszcie! – zawołał Franek, i nagle taką ulgę w sercu, jakgdyby po długiej słocie mgła się podniosła i naraz niebo się odkryło.

Dziś jeszcze Bekał z Chudomiłem zabawili u Franka. Odpoczywali, siedząc i gwarząc swobodnie, jak zwykle po skończeniu długiej i ciężkiej pracy. Drozd się wysadził na ostatek na taką rozprawę, że się jej najeść i nachwalić nie mogli. Do syta Chudomiłowi bombardiej żal było opuszczać Franka i [illegible]. Przymawiał się też parę razy, żeby mógł zostać do sprzątania drzew, jakby tego trzeba było. Ale Franek, uradowany skończeniem najgłówniejszej, już się nie trapił o inne. Wypłacił obu towarzyszów pracy i podziękował im za dobroć pomocy.

Po ich odejściu Drozd posmutniał. Siedział długo w gąszczu ze zwieszoną głową, w końcu westchnąwszy ciężko, podniósł się i rzekł:

– To ja wam już nie potrzebny...

– Nie bajcie. Czemużbyście tak? Tak samo wam dom, jak i mój. Co jest, to zjemy, i mnie będzie milej z wami, a potem, jak się będę miał zabierać w drogę, to wam ostawię pieniądzy na żywność, na tymczasem, dopokąd wa wsi nie urządzą tak, coby ściedź wy tam mogli zmieścić...

Drozd się porwał wypraszać niesłuszności od takiego dobrodziejstwa, wreszcie ze łzami w oczach przystał, obiecując do śmierci wdzięczność i za grobem.

– Zaraz nie do was coś ciężko, jeszcze wam nie zrozumieć – mówił Franek. – Dobrze ci, zawołał, lżej mu w sercu, legła tam, postarajcie się, aby jak najmniej mydła zużyć, nakrył głowę starym płaszczem, aby mógł lepiej zwyczajniej na przypadłości życia.

Na nalepie zasnął się niewygasłe ostra.

Franek, opodal siedząc, zapatrzył się w te żółte ogniki, a głowę podparł, rzęsę od przymilnymi mgły.

– Zmieszem się wszyscy... I ten wodny ptak osierocony, i ten pustelnik leśny, i ci samotnicy wszyscy, których nędza

ukochała wszystkowo stale; ci pokaleczeni w sercach i duszach bogatych, ~~jak~~ których niemiłosierne życie, ~~jak ta woda pnie podczas powodzi~~, ~~[illegible] otłukła~~ stłukło i odrzuciło na bok, podobni, jak wzbrana rzeka, wezbraną powodzią, otłuka pnie, zabrane w drodze, po kamienistych dnach i samorodziach, a potem je, stłuczone, wynosi na falach, ~~i~~ ~~stawia na brzegu~~ wyrzuca na spokojny brzeg ~~i~~ pozostawia na piasku; życie płynie dalej wzburzoną rzeką, a oni patrzą na nie z brzegu, jakby już raz śmierć przeszli, to też im i śmierć nie dziwna; rozpacznie jednak smutny ~~[illegible]~~ przeżyli ten drugi żywot… Wszystkich tych, ducha, wiatrem usypianych, ogrzeje ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i zimnobim szczęściem i nawrócą do życia. A to życie będzie jasne, bez krzywd i nieprawości, będzie, jak ta polana na wierchu, gdzie swoboda wylęgnie się w słońcu południa.

Widzi swą gminę wykąpaną w jasności białego światła… Od czasu ~~postania~~ powstania owego wyrzeźbiła mu w oczach, każdy zakątek się odkrył, każdy rys stał się widocznym, dosięgał tak, jakiby ptakiem wzlot ~~nad~~ się nad przepaść, krążył nad nim w powietrzu, i z góry ~~[illegible]~~ przystko, ~~co na ziemi~~ najdokładniej. Wiosna, lato i jesień zeszły się w tym słonecznym dniu i ~~jakoś się~~ zharmonizowały się przedziwnie. Widzi… Od białej szkoły ~~rozsypuje się~~ wysypuje się gwarki różnobarwne, dzieci. Wypadły, widać, po nauce, i toczą się, jedne pomalej, drugie ~~po~~ prędzej, ku oddalonym i bliskim osiedlom. Wszędzie czystość taka, jak na święto; każdem oknem ~~[illegible]~~ wygląda uśmiechnięte szczęście. Sady się korzeniewszy i ostrzyżają drogi ~~[illegible]~~ niby wstęgami skrzydlate wielkie ~~[illegible]~~ tęczami, ~~jak~~ piórach. ~~[illegible], po obu stronach, [illegible]~~ wzdłuż drogi, po obu stronach, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wije ~~się nad drzew~~ się zieloność drzewna, barwiąca się ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ gęsto sadzonych przez dzieci jabłoni, tuląc się z widnokręgu ~~[illegible]~~ wstęgi śliw, tkwiących przestrzeń owocem. Ogromne ~~[illegible]~~ płaty zbóż zebrały się ~~[illegible]~~ i złocą ~~w słońcu~~ ~~[illegible] się [illegible] [illegible] stawów, w których się ponurza słońce. A [illegible] zieloność [illegible] nie [illegible] się [illegible] [illegible] jednak~~ ~~[illegible]~~ Otacza je zielonością o ~~[illegible] [illegible]~~ przeróżnym ~~[illegible]~~ stroju. Na jednym łanie ~~[illegible] długi~~ skraje widzi długi ~~[illegible]~~ rząd kosiarzy, ~~[illegible]~~ chyląc się równo, ochotnie i pobłyskują kosami. Opodal takiż sam długi rząd młodych żniwiarek; ~~[illegible], swawola, jak dzieci~~ co który gęsto odruci, to się uśmiechnie życiu i zawiedzie jakąś pieśń zapamiętaną z ~~[illegible]~~ niedawno-minionych czasów. Hanecka im przodzuje…

Ocknął się z tego pięknego i nemu, że płomień mu do serca dostał. Gorąco całem pragnieniem całą ~~tęsknotą~~ wezbraną tęsknotą za swobodne. Za szczęściem swojem i ludzi…

✕

Przyszło spychanie. Od samego świtu do nocy późnej dolina jęczała głucho, trzęsła się od nieustającego huku i ~~[illegible]~~ łomotu. Ktoby z za góry słuchał, ~~myślałby, że~~ mógłby myśleć, że dwa wojska zacięte zeszły się w Hucisku i ~~[illegible]~~ toczą walkę bez upamiętania, z równą prawie mocą. ~~Dudnienie idzie ziemią, [illegible] dudni~~, dudnienie idzie ziemią, ~~od~~ turkot nie ustaje; ~~aż [illegible]~~ noc tylko ~~[illegible]~~ spokoj dzieci weselszych, ~~[illegible]~~ i na tę chwilę zapadnie cisza, a po niej wstaje ~~[illegible]~~ ~~z tym [illegible]~~ z wschodem słońca, i tak dzień po dniu, ~~[illegible], że końca się nie [illegible] [illegible]~~ doczekać ~~[illegible]~~ mógłby myśleć w trwodze ~~[illegible]~~ zmartwychwstania za gór[illegible] ~~[illegible]~~.

W Hucisku samym ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ ~~ludzie~~, echa się ze sobą biją; gdyż od wsch~~odu~~ naraz zboczów ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~się się [illegible] [illegible]~~ wraz z odbitami i zderzały się w rozterce. ~~[illegible]~~

Przez to nie wiedzieć było, skąd się huk wyrywa. Przysiadujący po cetynach musieli dawać baczność wszędy, bo ich nosy zwodziły co chwila. Widzieli wbocz przed sobą, po której drzewa ślizgały, ale huk słyszeli zewsząd, czasem ~~z przeciwnej~~ całkiem przeciwnej ~~[illegible]~~ strony. To też nie nabliżali się zbytnio ku żadnemu zborowi, a już z daleka trzymali się od tej wbocy, ~~którą~~ z której drzewa gnały. Woleli nawet cetynę i swoich urządzeń zarzucić, a być na dole z wolnie w bezpieczeństwie, ~~i nie narażać się~~ nie narażając siebie i bydła na ~~przypadek wszelki~~ przypadek. Chodziło Franek, wobec nie, aby się ktoś z przysiedziałych bliżej nie zaplątał, ~~wołał przeciągle na cały głos~~ za każdym zepchnięciem drzewa wołał przeciągle na cały głos:

— ~~Waruj!~~ Wa-ruj!

I powtarzał wołanie, coraz to ~~póki~~ rozgłośniej, ~~póki się~~ dopóki drzewo nie wpadło w rostokę.

Dzwoń ze drzewem ~~huk się roztęgał~~, dudniała ziemia, huk się rozlegał i odgłos po całej dolinie. ~~Tu~~ I z niedużymi ~~przestanki~~ przestankami słychać było:

— ~~Waruj~~ Wa-ruj!

Już pół ~~wbocy zepchnął~~ zasłanej drzewami wbocy odkrył Franek, pół drzewa zepchnął do rostoki. Teraz ~~było~~ trudniej było przesuwać, bo drzewa nie leciały wprost, na dół ~~jak poprzednio~~ ku drodze, ale się w biegu skręcały na prawo, i, wydostając się z przechylenia, wpadały w przylaski boczne, a ~~potem w wodę, debrze~~ i w wodę niekiedy w debrze i w wodę. Franek się głowił i wielkich sposobów ~~się~~ zażywał, aby je nakierować tak, coby na drogę spadały. Udawało mu się to w większej części, ~~[illegible]~~ i przy ogromnym natężeniu sił, ale się trafiały drzewa, zwłaszcza krzywe jodle, które nijak nie chciały lecieć tam, gdzie on ~~zamyślił~~ je ~~pchnął~~ popchnął, bo obierały drogę same swoim wiedzione ciężarem i zgięciem.

Raz nad wieczorem odkrył najkrzywszą z jodli, nie większą jej się ~~[illegible]~~ po odkopaniu wszystkiemu ~~[illegible]~~ mocarnej się zda, temba, zdrowej, że była dużo ~~[illegible]~~ wychylona na bok.

— ~~Przyjdę~~ Z świtaniem, to ja cię tu sprowadzę...

I wyszedł, jak rzekł, z świtaniem naraz i zebrał się odwagę ~~[illegible]~~ do wykręcania tej jodli. Folgi na przyłkach poustawiał i dźwigał drzewem od ~~[illegible]~~ cienkiego końca, próbując, czy się nie da w ten sposób naprostować. Ale po chwili ~~obaczył~~ widział, że to na nic. Wtedy wyjął ~~jedną~~ ~~i~~ z drugich folgi, [illegible] opartą o przyłka, począł ~~[illegible]~~ wyważać. Napierał z całych sił do ziemi z ogromnym natężeniem, ~~wiedząc, że się~~ nie [illegible], że się drzewo, jak szpiła, odtoczy po podłożonych gnatkach i naprostuje. Tymczasem drzewo pośliznęło się, ruszyło... Franek ledwo ~~[illegible]~~ miał czas ~~[illegible]~~ odskoczyć, i obaczył, jak [illegible] jakimś dziwnym ze przechyleniem, ~~[illegible]~~ dudniąc i huczące rozgłośnie. Pomyślał w tym momencie, że tam nikogo nie ma. Jeszcze zawrzeszczał ~~[illegible]~~ ale przypomniawszy ~~popchnięty~~ popchnięty, wrzasnął z gorączką:

— Waruj!

Echo nie dobiegło jeszcze przeciwległych zboczów, kiedy usłyszał z dołu krzyk przeraźny, krótki...

Wdrapał się w szerz i popędził, co sił, w kierunku drzewa. Powietrzem prawie zleciał po wbocy, minął jeden przylasek, wpadł w drugi — i tu ~~obaczył drzewo~~ dostrzegł już z dala drzewo, zarytne końcem w ziemię. ~~Dobiegł bliżej~~ Z błyskiem ujrzał, że się nie

~~80~~.

nie stało dobrego bliżej – i teraz dopiero zmartwiał przerażeniem. ~~Pod drzewem~~

Pod drzewem, w dolinie wąskiej, leżał człek, w którym Franek odrazu poznał Cygana. Rzucił się ku niemu pędem, by go jeszcze ratować, ale obaczył zaraz, że już po skutkach. Drzewo wyrwane przeszło po nim i zgniotło pierś doszczętnie.

Leżał na wznak, twarzą do góry zwrócony; w twarzy zsiniałej widać było strach i zdumienie głębokie. Oczy wytrzeszczył z orbit, przerażone. Odwrócił się Franek, nie mogąc znieść tego wyrazu, i postrzegł obok ziemię, wyrytą świeżo, przy niej kopaczkę porzuconą...

— Dokopał się... – szepnął.

Postał chwilę i odszedł na dół, po ludzi. (str. 224)

*

str. (225) Upłynęło dni parę. Franek zapełnił wszystko drzewo i oczekiwał odbiorcy, któremu miał oddać je i otrzymać resztę należności. W oczekiwaniu łaził po dolinie, nie wiedząc co z czasem począć. Od dnia wypadku w dolinie jakiś mniejszy rozstrój odczuwał, długo nieraz. Nie mógł w kolebie usiedzieć, wolał snuć się i łazić po nad wodą. Przypatrywał się drzewom, których za cygana [illegible] szukał, chciał niemal być myśli zająć, aby go nie opadały. Wierzył, że jak się to wszystko wyrwie, to wszystko ominie, odtworzy się na nowo. I z niecierpliwością serca wyczekiwał odejścia.

Idzie w górę koło wody, doszedł do miejsca, gdzie się dwie rzeczki łączą. Na prawo pięknie się kępa zielonego drzewa, naprzeciw wstawała uboczu, która ogołocił. Przypatrzył sobie jej zieloność, która go przywitała spokojem, gdy tu przyszedł. I ten spokój, którego zaznał, sam z tej doliny wypędził. Chciał niemal myślom przyczynić, poruszył się dalej. Naraz ocknął go obraz, który nie przejmując żalem ścisnął serce.

Oto przed nim, na wzniesieniu, u stóp ostatniego zbocza leżała, złamana całkiem, biała, pęknięta brzoza... Drzewo i po niej pniaczek. Nie uchronił jej i choć przyniosł. Zapatrzony, usiadł na najbliższym pniu i długo, długo siedział nieruchomo, jak gdyby myślom swym spowiadał z grzechów, które popełnił w tej uboczy.

~~Cygana przed sobą~~

Wreszcie, westchnąwszy ciężko, podniósł głowę i ujrzał Cygana przed sobą. Stał, milczał również, kto wie już jak długo i patrzył zielonymi oczyma na niego z cichym, dobrym wyrzutem.

—

annexe.
a-b.

Chimère – Nouy-Jouet 22

7

t. II, r. XI — „Gazeta Polska" — Pierwotne zakończenie

redakcja wcześniejsza tekstu rozdziału XI — s. 2412–2414 — (brak odpowiednika w rpisie)

IX.

XI

Mgła widziała nad roztokami. Dzień był posępny, szary, jeden z tych najsmutniejszych dni, jakie jesień z północy przynosi.

Drogą, prowadzącą z Przysłopia do pobliskiego miasteczka, szedł Franek [illegible]. Ktoby go teraz spotkał, nie poznałby odrazu, że to ten sam, co [illegible] w [illegible] [illegible]. W całej postaci jego było także przygnębienie, jakiego wyraz można tylko w skazańcach obaczyć. Bo też przebył fale takie, z których rzadko kto wypływa na brzeg, a jak przemocą wypłynie, to już nie może śmiechu [illegible].

Parę dni zaledwie [illegible], jak się z [illegible] wyrwał. [illegible] od tej [illegible] [illegible] całe, i to lata dobyć, a zdało mu się, że [illegible] tak [illegible], z których jedno wystarczyłoby samych klęsk, zawodów, nieszczęść, z których jedno wystarczyłoby do zgorzknienia. Sześć też zgubionych cześciami [illegible]. Ta myśl tylko [illegible] [illegible]. [illegible] się już [illegible] podnieść. [illegible] oczami, aby [illegible] dalej od tego wszystkiego odejść, jak najdalej. A w sercu zbitym, obolałym miał jedno wrażenie: porwał go jakiś wicher straszny, rzucił na koło i, [illegible], strzaskał całkiem i odrzucił na ostry kamieniec. Nawet powstać nie [illegible].

Tak i jego życie odrzucone na bok, jak te dusze, którym [illegible] wreszcze dobywać.

W [illegible], coraz przewalały się przez głowę jego wspomnienia ostatnich dni, które, zdały mu się, snem tylko jakimś [illegible] [illegible]... [illegible]

— Ciżba ludzi... [illegible] [illegible] ... potem karanie... [illegible] chwili... z dumną [illegible]... Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie... wszystkie oczy zwrócone na niego... Cóż, on przecie nie wie o żadnej przeszkodzie... Naraz — [illegible] wszystkie światła...

Całym wysiłkiem [illegible] woli wyrwał się tym przypomnieniom. Natomiast [illegible] [illegible]. Krzyk... cały [illegible] [illegible] ich gardów... A on pośród nich z ostatnią nadzieją, z ostatnią deską ratującego [illegible]... Rzuca słowa... ale nie słowa — krew swojej duszy, wszystko, co ma ostatnią wiarą zwie... [illegible] [illegible] w ich serca rozpaczliwych pragnień swoich... A ci zwracają się [illegible], aby go zniszczać... I tak się wszystko załamało...

To przypomnienie nie [illegible] go już, tylko uderzało w serce [illegible] nadmiarem [illegible] bólu. Widziało mu się, że przebył [illegible] i [illegible] chorobę, życia mu nie zabrała, ale wzięła całą chęć do życia.

Minął [illegible], [illegible] roztoki, obejrzał się za siebie. Mgła się podniosła, widać było [illegible] [illegible] Turbacz, [illegible] [illegible] [illegible] kamień...

— Mój grób — szepnął — Pod tym kamieniem [illegible] [illegible]... Kołdras — Łaski.

×

[illegible] Dorolski się wracał do [illegible]. Kołysał się [illegible]. [illegible] jakaś gorączka [illegible], aby [illegible] [illegible] sposobić, pospiesznie wpadł do pociągu, [illegible] się do [illegible]. [illegible], [illegible] okno, [illegible] się.

— Dokąd?

Franek, [illegible] zapamiętał bez myśli powrotu nawet miejscy jak z [illegible] [illegible] [illegible]

8/1..

~~Dość~~ Powoli. Otrzymawszy żądany bilet, ~~[illegible]~~ wyszedł z ludźmi i wsiadł do ostatniego wagonu. ~~Siągnął;~~ Maszyna ruszyła ~~[illegible]~~ ze stacji z [illegible] pociąg do śródmiejskiego na zarobek...

X

IX.

Nareszcie nadszedł dzień, długo przez Franka wyczekiwany. W niedzielę [illegible] rankiem pożegnał się z Huciskiem. Kiedy już minął wąwóz, zamykający kotlinę i wydostał się na otwartą przed oczyma przestrzeń, wtedy ciężkie duszy niepokoje opadły zeń, niby płaszcz zmokły na deszczu. Stało mu się lżej na sercu i dużo swobodniej. Tam, za nim pozostały wszystkie utrapienia — przed nim [illegible] uśmiechy, dające nadzieję, jakiemi go witało zbliżające się rozgorzałe życie. Miał wrażenie, jak gdyby po długiej i męczącej słocie wyszedł z domu i obaczył przeświecające błękitem od zachodu niebo, które zwiastuje pogodę. Nie zaczął, że podobne wrażenie miał [illegible] wstąpił do tej doliny, gdy tu szedł spokoju szukać, uciekając od widoku ludzi. Teraz ścisnęło się w sercu na wspomnienie, że tak obawiały [illegible] niegdyś długo, i w tęsknocie wodzonej z długiego osamotnienia, myśl [illegible] poddawała wyganiające się z pamięci twarze. Wszystkie dobrocią się uśmiechały, patrząc ku niemu. I zdało mu się, że czekają nań z tęsknotą utęsknione.

Dzień był pogodny. Ani chmurki na błękitnem niebie. Zdawało się, że się zdawało: myśli mówią... Franek nie spieszył się, i [illegible] wszystkie tak późno wyszedł z Huciska, aby prawie zajść do kościoła na sumę, gdy się już naród wszystek pozgromadza.

Idąc pomału chodnikami, rozkładał sobie w myślach czas pozostały do wyjścia i rozmieszczał w nim, jak mógł, zamiary najbliższe. Niekiedy, a jakiem on ku nim dąży. Widzi poczciwą twarz Gwizdalskiego, jak się przyjaźnie doń uśmiecha. „Powiem ci, Franuś, że ty masz rozum niegłupi." Wyraźnie słyszy głos jego ciekawy. A za nim widzi innych z rodzinnego stanu, jak się życzliwie słowom przysłuchują. Myśli o nich wdzięcznem sercem: dobry z kościami ludziska. Nawet w obliczu [illegible] widzi tyż zarazem Zosi, jak która jakoby przez sen przypomina z dawna, lecz dobrotliwość z niej przeziera i zaduma szczera, jaka [illegible] uśmiechem mu oczy, gdy się rozgwarzył z równymi o minionych czasach. Wszystko to się [illegible] i twarz siostry, Zośki. Zwraca ku niemu zatrwożone oczy i zda się mu przez nie mówić: „Takoś już o nas doznał zabaczył?" Słów [illegible] że idą za nim, wracają uparcie, a za każdym ich powrotem zjawiają się [illegible] inne oczy, pełne łez i rozżalenia. Widzi mnóstwo tych oczu, które nań litości z serca płyną, a zarazem mają jakby niepojednaną przez się wiedź, o którą go oskarżają tymi łzami ten smutny rząd. I rozpoznaje pomału twarze komorników, którym kiedyś w kościele przysięgał obronę. Wnet jednak wszystkie te zjawy zaciera przed oczami obraz, który (ten) kontrastuje i rozwiewa ich postać smutną, bezdźwięczną, a w którym Franek ze zdziwieniem poznaje Hanusię. Biegnie ku niemu, wyciąga ramiona i oczami, rozświeconymi do płomienia, wita.. „Och, coś ty się naczekała!.."

Dzień był pogodny. Ani chmurki na błękitnem niebie. I cisza, że się zdawało: myśli mówią...

Franek nie spieszył się, i umyślnie tak późno wyszedł z Huciska, aby prawie zajść do kościoła na sumę, gdy się już naród wszystek pozgromadza.

Idąc pomału chodnikami, rozkładał sobie w myślach czas

pozostały do wieczora i wzmacniały w nim, jak wszystko, zamiary najbliższe. Zajdzie do kościoła, zobaczy się z Hanusią, opowie jej o wszystkiem, co go tam w lesie trapiło, i z uśmiechem tajemniczym nadmieni jej o niespodziance, jaką ludziom w ukrytości chowa. Po mszy pójdą razem do domu jej ojca, któremu uroczyście wyłoży swój plan. Stary Sołtys zwoła radę i może jeszcze dziś... I wszystko się odbędzie w jeden dzień rozgłosi się. Wieść będzie huczała po wsi jak radosny dzwon. Kto nie uwierzy, przyjdzie – cała wieś może się zgromadzić – i będzie rada trwała trzy dni i trzy noce. A potem ludzie z weselem powrócą do swoich domów.

Wyobraźnia rozpalała jego myśl gorączką, ledwie się zdołał powstrzymać, by nie myśleć już o tem, co będzie. Lękał się wprost bliskości tego szczęścia, co mu się już wyraźnie zdawało stawać przed oczami. W takich chwilach niczego dla rozmarzonej myśli nie było bliższego jak Hanusia, która tak bliską mu była, że odstąpić [illegible] od siebie już nie mógł, siebie bez niej pojąć.

– Tak się splotła ze mną, jak ta jodła z bukiem, i tak rośniemy razem opleceni. Ani nas wiatr nie rozerwie, ani burza nie rozszczepi, chyba śmierć podetnie które... A i to jeszcze nie rozłąka, bo możemy paść razem na ziemi. I cóż nas zdoła rozdzielić? Jak mnie to mądrze spotkało przeznaczenie! Jodła, gdyby sama rosła, byłaby lichsza, każdemu wiatru uchylałaby wierzch. A przy mnie czuje bezpieczną ochronę i przytula się z wiarą, że jej nie dam złamać. Rośniemy razem prosto w niebo. Ja przy niej rosnę w moc.

Rozpostarł ramiona swe jak konary, mocujące się z naporem wiatru, albo jak orle skrzydła, próbujące, czy wytrzymają zamierzony lot.

– Cóż to za przeprawa będzie. Ale już jeszcze jej widzę. Niech jeno wszyscy zobaczą na oczy... Najpierw Hanusi pokażę. A gdy się zdumieje w zdumieniu i zapyta: „Toś ty wymyślił?", powiem jej: „To my razem wymyślili..." I, trochę zadziwionej, będę jej powiadał o połączeniu naszem, o miłości, jakiej ludzie nie pojmują. „Czyby ja począł sam? Byłbym jak ów onego smutku, który się włóczy po ugorach. Przy tobie serce moje, rozżarzone szczęściem, pragnie wszystkich ludziom świecić, i stąd się rodzą myśli, które dają... Przy tobie dusza moja, opętana władztwem, pragnie coraz większej władzy, i stąd się rodzi moc, która zdobywa... Powiedz, czyś nie współdziałała ze mną?" I tak jej będę powiadał, aż zrozumie, że ja i ona – to jedno...

Z coraz większą tkliwością zwrócił się marzeniem ku niej.

– Moja najdroższa! Moje skarby! Moje najmojejsze! Co ci też musiało naprzykrzać, nałykać... Pewnie oczka wypłakane jak ranne kwiatki od płakania... Czy też przeczuwa, że idę...? Widzę, jak klęczy przy ławce z boku przed ołtarzem – głowę nisko pochyliła, udaje, że z książki czyta, a myśli jej lecą... „Co też ta robi mój Franek?" I tęsknota ją taka przejmuje, że westchnie głęboko, a ludzie klęczący obok myślą, że się tak gorąco modli... Już ja znam moje kochanie, przecie my razem na odpust chodzili....

I mimowoli uśmiechnął się na przypomnienie tych igraszek w Jaśkowej stodole, na boisku.

Ani się opatrzył, choć pomału szedł, jak się wyrwał w samym środku wsi pośród osiedli na drodze, prowadzącej wprost ku kościołowi.

Ludzi nigdzie nie spotykał, poszli już na sumę. A kto został, to się modlił w chałupie na książce, albo pacierze z pamięci szeptał, nie umiejąc czytać, albo i spał w jakim najlepszym barłogu, rad, że w niedzielę może odespać tydzień zmitrężony.

Cisza była niezmącona, świątecznie wszystko. Jesień zamierającym uśmiechem patrzała od pól. Po miedzach, pustych ścierniskach snuło się, i jak omamienie, nikłe w oczach babie lato, pobłyskiwało do słońca nitkami, czasem zasrebrzyło się całem polem przędzy, rozetkanej misternie na ścierni lub zaległo, niby woda, stojąca na ustawach. Słońce przetaczało się miękko ponad wierzby, świeciło jasno a nie grzało, zdawało się z tafli lodu, w której odbijało się pełnem światłem ukryte gdzieś rzeczywiste słońce.

Coraz więcej spotykane dymy wśród drogi zasłaniały oczom Franka ziemię i pół nieba. Znalazł się wreszcie u kościoła. Nie zatrzymywał się w rynku, ani przy sklepach kramarskich, bo widział z pustki, jaka była wszędzie, że już ludzie dawno poprzechodzili na sumę. Przyspieszył kroku, minął furtkę, i przepchał się przez ciżbę, stojącą we drzwiach pod dzwonnicą. Stąd posuwał się pomału dalej wśród natłoku, aż wydostał się pod chór, skąd widok miał na całe wnętrze.

Kazanie właśnie było. Ksiądz karał o tych, co to w tokarskie niezaznaczonem sąsiadom swoim szkody wyrządzają, po ich koniczynach pasą, po nocach cudze ziemniaki grzebią i znoszą do swoich dołów, spólnikom główki kapusty co najpiękniejsze wykradają, z kościelnego lasu cetynę i drzewa wszystkiego przez co dnia grzechy popełniają, bo i wszystko kradztwo, sami uczciwie nic nie pracują, bogatszym mienia zazdroszczą, i zgoła nie szanują własności niczyjej, choćby to było kościelne dobro, nie ludzkie...

Franek tymczasem rozglądał się po ludziach, szukając znajomych twarzy, bo się już dużo natęsknił za niemi. Przez podobieństwo położenia przypomniał sobie odpust w Ludzimierzu, jak on tam szukał Hanusi — i teraz ponad głowy, stojące przed sobą, patrzał ku kratkom, przed ołtarz, w nadziei, że może głowę jej zobaczy z dala. Może, tknięta przeczuciem w sercu, poczuje, że Franek stoi pod chórem, i obejrzy się... Ale napróżno śledził, nie mógł jej odnaleźć.

Kazanie dobiegało końca. Poznać można było po tem, że ksiądz o piekle, w którym dyabli smołą zalewać będą gardła nienasycone za życia, począł mówić — a wiadomo było wszystkim, iż po obrazach piekła pokaże jeszcze przebłysk nieba, jako ten promień słońca, spadający z okna ołtarza, i zakończy: „wtedy dostaniecie się do Królestwa niebieskiego, czego wam i sobie życzę — amen."

Nie wytrwało się. Kiedy ksiądz powiedział „amen", zachwiał się cały kościół, podobnie jak staw, który stał w ciszy nieruchomo, naraz, uderzony wichrem, wstrząsnął się, i długi czas chwieje się, nim się uspokoi.

Ksiądz, otworzywszy książkę, przewracał w niej parę kartek

i ksiądz czytał, przychylony, wyrażając każde słowo, aby ludzie wobec niespokojnie mogli dobrze słyszeć. Mimo to szum [illegible] tracił się w ciżbie, i pod chórem stojący nie wszyscy mogli rozumieć. Nagle stała się wielka cisza.

Franek drgnął — Co to?

— Michał Cichański, syn Józefa i Reginy z Chybowskich z Anną Sułajówną, córką...

— To nieprawda! — chciał krzyknąć, ale tylko szept mu wyszedł z ust.

— ...urodzeni i zamieszkali w Przystajni... zapowiedź pierwsza...
Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie...

(12)
str. 13. Franek jeszcze nie mógł zrozumieć. Jakto? Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie... Patrzał wielkiemi oczami po ludziach jakby szukał odpowiedzi — i widział wszystkie oczy, zwracające się ku niemu z ciekawością, litością, to śmiejące się, szyderskie... Teraz dopiero zrozumiał. Cały kościół począł drgać przed nim, światła wirować, kołować. I poszarzały mu w oczach naraz wszystkie światła. Na okamgnienie zatracił przytomność, a nim jeszcze słyszał dziwny krzyk w sobie, potem wir, obłęd rodzący, buchnął mu do głowy, i gniew okrutny porwał i wsadził mu pazury.

Kto wyszli naraz, sto zamiarów targnęło nim całym.
Rzucić się przez wszystkich ludzi, zwlec księdza z ambony i krzyczeć nim, by odwołał...
Znaleźć w ciżbie Michała i zgnieść go na miazgę...
Wypaść w pole i całemu światu obwieścić, że hańba jego...
Gdyby się kto sprzeciwił — zabić...
Cały świat wyzwać do walki!..

Ale równocześnie z tymi zamiarami wolał coś stłumionego rozumu i siłą go wstrzymywał w miejscu.

— Cóż uczynił właściwie? Co wiedzą ten wolał Teb, Cichański? cóż z tego, że się ludzie dowiedzą? Z Hanie będzie wszystko? że wiatrem?

I opadła go głucha złość niemocy, serce przygniotło jakiś ciężkie, że ledwo dyszał. Z głębi serca przywołanego cierpienia dobywał się żal, który ostremi nożami, rozchodził się ugrzęzniętym po ciele i ogarniał bólem całej duszy: okrutny żal do Hanki. — Jakże ona mogła przystać? Jak mogła dać się nakłonić? Jak mogła? Jak mogła!..

To znowu gniew i oburzenie na fałsze Tanowskie żal, ciemnego się już do ... ócz łzami kołaczeniu. Jak może ona jej zmusić, zniewolił przemocą? Może ją katował strasznie i musiała się pozornie zgodzić, nie mogąc dłużej znieść bólu i męki... co ona tam teraz musi cierpieć w sercu! Jakież udręczenia straszne!... O żeby ja cię dopadł teraz! odpędziłbym cię ze wsi, kanie! Trzeba mi było cię zabić naprzód, trzeba było wprzód pobawić...

Oburzenie, ukłucia i wyrzucane, ciężko, a żal do Hanki zaczęła się przewracać i stał gorzkiemi przypływami z serca.

— Jak mogła dać się Fel przymusić? chociażby ją i zabili. — To cóż, to mogła nawet! wiedziała przecie, kiedy Franek ... Nawet mu ani słówkiem o wszystkiem będzie nie domówiła. Przecie chyba nie więzili w domu. Gdyby sam był wie,

15.

dział o tem, oddałby wszystko, i przybiegłby tu z powrotem na obrotce... Albo zabrałby ją z sobą, nie pytając się nikogo o przyzwolenie. Niechby wtedy tukaj wściekłość swoją ściekł z pustym zwątrem... niechby mu na ten wesele dyabli tańczyli, a dziwowali się starzy dobrze... Niechby się działo, co by chciało!

I różnemi myślami borany, stał pośród ludzi, nie widząc nikogo, nie wiedząc chwilami nawet siebie. To żal, to gniew, to oburzenie miotały niem i nieprzerwany i niewidzialny zmysł. W dusznym jego rozbolałym [illegible] pieśnią prawdziwie. Stał tak wdzięcznie przysłuchujący, cichym uderzeniom, jak z dalekiej bardzo oddali, słychać organy, dzwonki, śpiewy... majaków jakichś cudnych, nie umiejąc zgoła pojąć, skąd ich głos się bierze. Chwilami nawet zatracał czucie, i zdawało mu się, że go jakiś sen niedobry trapi, który podobny tym, jakie niemu w gorączce go opadały. Tam, że się prawie korzyści, i ten się musi skończyć... Czyżby to mogło być prawdą? Począł w rozumie mieszać się i wątpić w to, czy naprawdę słyszał, czy mu się jeno zdawało, począł nie wierzyć w rzeczywistość otoczenia, w te góry tak dziwnie, obco, niemoc czając brzmiące. Pracował w pamięci i starał się poznać, gdzie jest w obecnej chwili, w jakim śnie... I obaczył się w niemanym lesie pośród gęstwi ciemnej; a wiatr szumi po gałęziach, a wodospady gdzieś huczą, a z polanki się donosi turlikanie owiec... wyraźnie słychać dzwonki... I huk się przybliża... Szum dokoła rośnie, jęczy, jak chór potępionych... W uszach świdrami wierci.

Ocknął się.

— Przecie to kościół...

Nad głową huczały mu organy, naród dookoła śpiewał, od ołtarza, od świateł rozlegał się odgłos dzwonków...

— Ściana stoi — pomyślał — Karanie już było...

Na nowo boleśnie wrześć zadwoiło w uszach, i znowu straszna męka oplotła jego duszę. Jakby się znalazł w gdzieś wyznawszy... Każde zbaczane słowo zapowiedzi jednem trującym kasało go w serce. A do tego przyszczył się wstyd płomieniami palący, gdy sobie uświadomił, że stoi pośród ludzi, którzy musieli wówczas zapowiedzi słyszeć. Te oczy zewsząd zwrócone ku niemu z tajemnem porozumieniem parzyły jego mózg. Nie śmiał oczu obrócić, aby nie napotkać tych szyderstwem patrzących uśmiechniętych twarzy. Przydało mu się, że stoi wśród wrogów, którzy go otoczyli ciżbą i szydzą zeń nielitościwie. Ze co? — pytał się w sercu, bo nie mógł zrozumieć. Że to podstępnie mu gdzieś jakiś nieznany — ześ jest od nich o głowę wyższy...

I Franka jeszcze większy wstyd ogarnął, niewiadość twórcza, jakiej nigdy nie znał. Poczuł się kurczyć w sobie i maleć przed sobą, aż znużenia tak, iż się tam rozpoznać nie mógł. Przydało mu się, że... jest Jasiem, stojącym w kościele, kiedy ksiądz wołał z Jędrkiem zapowiedzi... I takie go żal serdeczny nad sobą mierzący objął, że ledwo ostatkiem woli powstrzymał się od płaczu.

Organy dudniły w chórze, naród wszystek śpiewał, kościół drżał nieraz się od nabrzmiałych głosów.

Franek powoli zaczął przychodzić do siebie. Odróżniał się już wyraźnie od Jasia i nawet przybaczył sobie, że Jaś na cmentarzu leży... On zaś, Franek Rakoczy, opuszczony przez [illegible] z nowiny...

Jakby zdrowie stanęło, na ołtarzu, cały kościół rozwidniał

86

się mu wcześniej. Stanął mu w myślach plan odkrytej gminy...

Wszystko mu naraz pojaśniało, wszystko poczęło inne odziewać barwy. Nawet i zapowiedzi, które go tyle strapiły, wydały mu się teraz czemś tak mar-nem, że ani chwili myśleć o nich nie warto. Przecie to wszystko nic wobec nowiny, jaką ludziom w myślach [illegible]. Niedługo po-wie — a wszystko się, jak i ludziom, odmieni. [illegible], nie dziwota, nie wiedziano nic, co się z nim dzieje... Mogli ludzie różnie myśleć... Ale, że Hanka! No, odpłaci za to. Choć może i nic nie winna... Zresztą czem się po podróży trosz-czyć? Pierwsze zapowiedzi, nie ślub... Mógł ktoś księdzu zapłacić, ka-zać wołać, i wołali... Gdy się dowiedzą — wszystko ku jego dobru się zwróci." Nawet Lubaj, choć tak twardy, musi zmięknąć w sercu...

I począł swobodniej patrzeć po kościele. [illegible] widział, że ludzie nie zwracają nań uwagi, bo każdy chwali Boga, jak umie i może, to śpiewem z całego gardła, to przebieraniem pacierzy, to wreszcie spowiadaniem się (wedle słów pisma [illegible] kto się, nie grzeszy myślą, mową ni uczyn-kiem) ten dźwigający się, oswobodzony z utrapień i swobodnem sercem [illegible] powodzi, skręcającej, jaką daje samotność wśród tłumnej gromady z zamiar czystym bliskich a potężnych.

Postanowienie jego mocne... Zaraz po sumie, nie czekając Hanki, pójdzie do wójta i tam Radzie nowinę ogłosi. Potem na wszystko czas będzie...

str 19. || Zatopił się w myślach nadtem, jakim najprostszym sposobem wyłożyć plan swój ludziom, aby łatwo zrozumieli, a potem z jaką pomocą weźmie się do wprowadzania w czyn zamia-rów ciężkich. I ze zdziwieniem postrzegł teraz, że największą nadzieję pokłada w Lubaju, w jego do gminy przywiązaniu, w jego rozumie roztropnym, wreszcie w jego doświadczeniu a i powadze niezwykłej, jaką za-żywa u przystojnych ludzi. To go trochę zmieszało, tem bardziej, że w sercu jeszcze cho-wał gniew do niego, jako do ojca Hanki. I nie mógł się z tem pogodzić, że do Lubaja ma pójść teraz z uraczeniem serca, a nie z oburzeniem głośnem, jakie zawsze na ustach przed wszystkim miewał zamierzony. Przecie pomału zmógł się i złagodził swoje wewnętrzne krzyki i protesty, bo wobec tej sprawy ludzi, wychylającego się trawą słoneczną z poza chmur teraźniejszości wydały mu się swoje strapienia marnemi. Jakżeby mógł z powodu swojej do kogoś niechęci pominąć pomoc najpewniejszą, skoro o ludzkie dobro idzie? Dumał też i tak, że wszak Lubaj zawzięty w swoich własnych sprawach, o dobro gminy pewnie dba i leży mu ono na sercu, bo przecie ludzie przez tyle lat odwróciliby się go słuchać, gdyby inaczej było; a że o radach myśli więcej, to tu nie przeszkadza, bo tu i rodem nie stanie się krzywda, krzywdą będzie le-piej [illegible] obecnie. I on się może dużo przyczynić do dzieła...

Podobnymi uwagami myślał i rozważał, wśród tej ciżby ludzkiej przy huku organów, jak w lesie przy szumie wiatru [illegible]

Tymczasem chorał zbrzmiał, suma się skończyła. Ludzie poczę-li opuszczać kościół pomału. Jacek miał wyjść za innymi, ale se myślał, że było to za wcześnie. Nim się Rada powolna u wójta zgromadzi, to jeszcze zejdzie spory

46/2

kawał czasu. A musiałby się z ludźmi witać, postawać po drodze, to już lepiej tu poczeka. Nie miał chęci do rozmowy, tembardziej po takim wstydzie, jaki go spotkał w kościele. Żałowaliby go pewnie, a onby się czuł, i pocóż ludziom cudze widowisko, a sobie nową udrękę?

Tak sobie to tłumaczył, nie chcąc się przed sobą przyznać, że go bliskość wyjawienia planu po cichu w sercu trwoży. Czuł wyraźnie, gdy miał wyjść ze ludźmi, jak go coś wstrzymało z lekka i szeptało mu słów parę, które niepokój [illegible] w nim zbudziły. Zapragnął jeszcze choć godzinę zwlec, a ten czas użyć na umocnienie serca i utrwalenie wiary.

Usunął się ludziom wychodzącym, postanowiwszy zatrzymać się dopóki go drugie postanowienie z kościoła nie wypchnie. Pragnął jeszcze raz wszystko dokładnie przemyśleć, aby wyjść przygotowanym i mocnym w zamiarze. Jednak uwagę jego rozpraszały śpiewy, które mu się rozwiertywały w pamięci mimowoli, tak, że począł sam bezwiednie brać współudział w nich i przenosić się do czasów, kiedy z nieboszczką matką chłopięciem do kościoła chadzał.

Teraz w kościele było jakoś swojsko. Po „Anioł Pański" organy ucichły i [illegible] siedzący w ławkach pod chórem poczęli śpiewać hrubymi głosami, na swoją dawną, starosiecką nutę, a niewiasty za kratą cienko im odpowiadały. Zbaczył się Frankowi adwent i te wieczory w chałupie, kiedy rodzice z sąsiadami śpiewali Godzinki na pamięć. Przeniósł się myślą do tych czasów, i kościół teraz mu zdawał izbą, a co ludzie sąsiadami, którzy się pozchodzili na wspólne pacierze. I tak chciał [illegible], odśpiewał z nimi Koronkę, Różaniec i Litanię do Pana Jezusa, i pewnie byłby tak [illegible] przebył, gdyby organista, kto [illegible] w górę i zatrwożyły przypomnieniem, że już czas opuścić kościół.

Chwilę jeszcze stał, a zgarnąwszy w sercu moc krzepiącą, wreszcie, oddawszy pokłony ołtarzom, zawrócił ku drzwiom pod dzwonnicę. Przechodził prędko i nie wodził oczami po pozostających za nim, to ciekawości, że tak długo ostawał w kościele, to zgorszeniem katoliczkom, że [illegible] opuszcza.

Na rynku nie spotkał człeka, bo kto do domu lub do kościoła nie poradził, to w ratuszu albo w innej szynkowni przebywał, rozgrzewając się darem bożym w rozkrwawionym sercu. Nie spotkał też nikogo i na dalszej drodze, czemu był rad niemało, bo miał teraz stanowczą wolę być sam. Idący, myślał nad sposobem, jakimi przyjść [illegible] i nadużyć, [illegible], jak, od nich sposobnie, by ich uwagę odwrócić mimowolić.

— Potem już sam plan ich zajmie. Najgorzej z początkiem. Kto wie, w jakich są ku mnie usposobieniach...

O tem poprzód nie myślał ani trochę. Teraz go to zaniepokoiło. Tak dawno ich nie widział...

Jego pierwszą krzykiem i klątwą, wylatującą z bliskiej osiedla. Ze słów, ku drodze dolecących, dowiedział się, że chłopczak jednego z [illegible] złamał szczep w sadzie drugiego, ten go [illegible] sprał — i oto piekło. Zwykła, sto razy znana historya. Frankowi jednak nie była teraz tem, czem dawniej: niedającem zwiemyć, smutkiem obarczyłem.

— Za rok będzie już skarzej! — pomyślał z radością — Bo drzewa będą wszystkich i każdego. Pewnie każdy będzie [illegible] je ochraniał...

Ta uwaga po drodze wprowadziła go w plan cały wszystków, jakie widział niedaleko w obmyślonej gminie. I na nowo już po sztuki raz przechodził myślą swoje dawniej ukochane dzieło.

str. 24.

– Nareszcie się uwidoczni..

Myśl, że jest tak blisko celu, płomieniem go obiegała. Gorączka go pchała naprzód – szedł szybko, i coraz prędzej. Na nic dokoła nie zwracał uwagi, był całą pamięcią w sobie i wizji. Jeszcze tam wyobraźnią bawił, już widział, już się zapalał, i znowu w siebie po tem myślowem wyczerpaniu wracał.

Gdy dochodził do sołtysowego osiedla, serce poczęło mu bić tak silnie, niespokojnie w piersiach – na moment zwątpienie mu zastępie, i zwolnił nieco kroku. Dziwnym przeczuciem bojaźni powiało zimnem po jego strwożonem sercu.

Całą nadzieję jego w tem odkryciu... Ostatnia deska tonącego okręciku... Co będzie, jak się nie uda?

Ale gwałtem, siłą zmógł się i, nie dając myślom czasu do zastanowienia, przeszedł prędko obejście, wpadł prawie pędem przez sień i szarpnął drzwi od świetlicy.

W izbie zastał się duże zgromadzenie. Widzi, nie spodziewali się tu takowego, i nagłe jego zjawienie się wszystkich zaniepokoiło. Nawet na pochwałę Bogu mało kto co odpowiedział. A ludzi było dosyć wiele. Ława prawie cała gminna, i dalsi podletni, wśród nich Łukasz, jako zwykle, siedzący za stołem.

Zmieszał się nieco i Franek, ujrzawszy tylu naraz samych ojców rodów. W obliczu ich wszystkie zabawione niechęci wróciły mu na pamięć, wszystkie doznane od nich krzywdy poczęły mu się w sercu odzywać, i nie mógł się odrazu oswoić z tą myślą, że on tam szuka na ziemi im szczęścia i że tu przyszedł do nich z dobrem uczuciem. Przytem na widok starego Łukasza, który siedział, zaspiony i zdawał się go nie widzieć, Rakoczy uczuł dotkliwy ból w sercu, a ogień gniewu na twarzy.

Stał więc chwilę w milczeniu i zmagał się z wzruszeniem. A gazdowie poziérali po sobie wśród niego, nic nie powiadając. Wreszcie jeden z Gniechów wyrzekł się z pytaniem:

– Skąd że, Franuś, gdzieś długo bawił?

Rakoczy, który w myślach gotował przemowę, nie słyszał prawie wypowiedzianych słów, ale zaczepił jak o pytanie i zebrawszy odwagę w sercu, rzekł:

– Przychodzę do was z gór... Przychodzę z zamiarem otwartym i zwierzę, że, co tu przed wami powiem – przyjmiecie z otwartem sercem i zrozumiecie, jak szczerze dziś odpowiecie...

Mówiąc to, czuł wyraźnie już drżenie tych słów, które tak obco w tej izbie zabrzmiały, jak świeckie pieśni w kościele albo modlitwa w karczmie. Podniósł głos, aby ten dźwięk serce trwożący przygłuszyć:

– Przychodzę z nowiną ważną...

Wiele głów z ciekawością obróciło się ku niemu. I myśląc:

– Oto, siedząc tam w górach, oddalony od gminy, czas o wszystkiem myślenia tu tęskniłem. Z wyżyn tych też i przyszłości i o narodzie patrzyłem na tę smutną ziemię, na tych ludzi, zgrubiałych w pracy, na ich rozpaczne szarpanie się z życiem, wraz z gorzkimi dziećmi. I wtedy mi się zdawało, że stoję na wyspie, a dokoła opływa mnie wielkie morze nędzy, to znowu zdawało mi się, że widzę człowieka, skazanego na śmierć pewną, który o tem nie wie... A tym odwiecznym wrogiem przyszłości, idącym z roku na rok ku zagładzie

[illegible], dzięki tej ziemi puste na coraz mniejsze okruszyny, sterczące się zwolna nad przepaść okropną i już stojący prawie nad wszystkiem...

Przerwał, wzruszony, a gazdowie strwożyli się w sercach, i spochmurniały im twarze, jak chmury pod jesień, i niektórych oczy z lęk wyjrzał w stronę mówiącego.

– Przerażony tą otchłanią, jaka mi się odsłoniła u stóp narodu, chodziłem, jak błędny, zmierzć, rozbaczyłem ornaku o spaniu i jadle, że już mnie nic nie weseliło na tym świecie. W sercu było mi tak ciężko, jakkolwiek mi wszystka nędza tej ziemi przywodziła. Błąkałem się po wsiach, po wierchach wysokich i smutnych ratunku jakiego dla gminy. Aż naresczie natrafiłem w takim oto planie:

Tu począł z zapałem mówić o wiadomych zmianach, jakie mają poprzedzić ostateczną gminę. Mówił więc: o innym podziale gruntów, o innej uprawie roli, o wspólnych pracach i wspólnym pożytkowaniu owoców tej ziemi, o spichrzach gminnych, o pastwiskach, o zaprowadzeniu kopalń, fabryk i warsztatów, o wykształceniu synów i o wszystkiem, co mysł, zapałem pędzona, nadniosła.

Str. 28. Mówił bezładnie, urywkami, w gorączce coraz to większej, pragnąc dojść prędko do pożytków, jakie z tych zmian wynikną ludziom. A nie pokrył rozumem drogi nazy, w częstych potokach dla wielu wszystkich. Naprzód, że mówił tak, jakby już wszystkim zrozumiałymi jużby wiersz ogarnęli wszystko, jakby oni z nim wspólnie / nawet to, co nie mogli pojąć, wszystko – powtórzę, że plan jego, który w krótkiem musi czasie być szybkim sądem na dzisiejszą gminę.

To też gazdowie stary otrząsnęli się wnet z niepokoju, jakim ich przejął obraz, rzucony przez Rakoczego, o ostatecznym upadku narodu, że i poczęli w sercach chmurniejść, poglądać na siebie i na wójta, jakby wyglądali, co on na to powie.

Lubej, który z początku sądził, że Rakoczy przyszedł o zaporach dla jakiego otrzyć, i już się na to odpowiednio w obojętności przygotował, począł teraz za stołem niespokojnie sapać i zerkać się spojrzeniem w stronę Rakoczego.

Nie zauważył tego Franek, natomiast zwrócił z trwogą, że odzew jego nie wywierają wrażenia, jakiego się spodziewał na pewno. Tem więcej opanowywał go zapalność, gdy mówił:

– Rozwidni się świat ludziom, jak po długiej nocy. I ujrzą oczami światłość, której dotąd jej nie mogą ujrzeć. Dziś każdy ma kamień ciężki, nawiązany na sznurze u szyi, który go ku ziemi ciągnie i nie dozwala dalszej patrzeć, jak ino na biedę swoją, na ten niewczesny grób. A wtedy ludzie poprostują czoła, wyprostują do góry przygarbione plecy i staną się odrazu, jak drzewa, piękniejsi. W oczach im wesołość zajdzie, na twarze uśmiech przylgnie, i dusze ich pojaśnieją, jak świat, gdy słońce ranem wstaje, po długiej, szarej słocie. Wszelkie zwyczajne kłopoty przeminą. Nie będzie troski o życie, ani o przyszłość, ani o nic, bo się wszyscy razem wspólnie będą o to troszczyć. Nie będzie zazdrości grzesznej, ani łakomstwa żadnego, bo każdy będzie miał we wszystkiem jednaki współudział. Nie będzie kłótni, zabijatyki (ani gniewów) jakich między sąsiadami, bo zajadłość ustanie odrazu, skoro przyczyny się stracą. Nie będzie sądów, bo się ludzie nie będą mieli o co sądzić. Całe dzisiejsze piekło zginie, sadze wiatr rozwieje, i stanie niby ogród na tem miejscu... Ludzie, którzy dożyją tego, nie będą mogli

uwierzyć, że się tu pourodzili, i że to ta sama ziemia... Będzie się im wydawało, że na tamtym świecie są i drugi żywot przebywają w jakimś niebieskim kraju... Czy ja wam wreszcie umiem opowiedzieć, jakie cudy i wielkie korzyści w tej gminie, którą wam przed oczy stawiam! Ani setnej części tego, co się z nowego życia narodzi, nie wysłowiłem przed wami. To się nie da słowami wszystkiego wymówić. Ale tego już chyba dosyć, aby widzieć, że to jedyny ratunek dla gminy, ochrona od zatraty i ucieczka od nędzy, która morzem wstaje... Wtedy ratunek za późny, gdy zatopi wszystko. W jesieni nadtem trza się zastanowić, w zimie rozważyć wszystko należycie, a z wiosną fundamenta już założyć pierwsze... Nie upłynie lat dziesiątek — co mówię! — lat parę, jak się wszystko przeodmieni, i powstanie nowa gmina o innym wyglądzie...

— A ty w tej gminie będziesz wójtem — dokończył szydersko Łukaj.

Cała izba zahuczała śmiechem.

Rakowy zbladł — ogromny ból ścisnął jego serce i odbił się na twarzy męką. Długo nie mógł słowa wyrzec. Dopiero, gdy się całkiem już uspokoiło, powiódł załzawionemi oczyma po zgromadzonych i rzekł:

— Ja z otwartością szczerą do was przyszedł... Mógłbym iść do ludzi innych, ~~[illegible]~~ lub zebrać cały zarząd gminy i wyłożyć im wszystko tak, jak wam przed chwilą. A kto wie, czy by się śmiali... Wszelako do was udałem się naprzód, jako do ojców familii dużych, o przyszłości których niaraz pewnie serce wam lękiem zadygoce... Nędza, to nie śmieszna rzecz. A plan mój powstał z serca cierpiącego na widok nędzy, jaka się dokoła pleni. Macie lepszy niż mój sposób, to odkryjcie głośno, a ja pierwszy przystanę ku wam do pomocy... Jeno nie trwajcie w ludzkiej pysze, bo mnie tu idzie o wszystko!.. Ja zobaczyłem niesprawiedliwość, jakie-ście lichszym od siebie czynili. Bo mam wiarę w grunt dobry serca waszego, ojcowie! Ja nawet i do was, wójcie, urazy nie żywię, choć uczyniliście mi ~~[illegible]~~ w zawziętości swojej niemało ciężkiej krzywdy... Ja wszystkim pragnę dobra... Gdybym mógł serce otworzyć przed wami, ujrzelibyście na oczy to, co wam słowami gadam! Jedna jest wiara, jeden Bóg i jedno prawo: szczęście... Ja szczęściu cały oddał się na służbę. Służę mu całą duszą, całem życiem swojem... Chciałbym, aby się bogaciło dla wszystkich i dla mnie, aby zarzewiem światła strzelało wysoko, aby świeciło jaknajszerzej po tej smutnej ziemi; chciałbym, aby się stało słońcem w niepogodę, deszczem w posuchę, cieniem w upał; aby się stało spokojem dla wszystkich, i błogosławieństwem życia, i całem niebem na ziemi... Ja z takiem pragnieniem do was — a wy mi śmiechem w twarz! Gdybym tu martwy padł przed wami, zabity smutkiem o wasz żywot — uwierzylibyście?.. Któż nie ma nad sobą litości? Chyba ten, co rozumu nie ma. Miejcie litość i nad dziećmi, nie ostawiajcie ich w takiem opuszczeniu, bo się potopią w nędzy ostatecznej...

Mówił potokiem słów płynących z serca, aby ich porwać dla zba-

męczenia. Czuł, że i twoje szczęście postawił na los niepewny. Trwoga o nie budziła w nim coraz większą rozpacz, wywoływała w jego słowach coraz mocniejsze uniesienia.

Łukaj z niepokojem postrzegł, jak się twarze słuchających pomywają w gniew, i oczy żarzą niektórym. Coraz też gorsze spojrzenia rzucał w stronę Rakoczego.

A Rakoczy już na nic uwagi nie baczył, i grzmiał w tej izbie, jak burzy dzwon.

— Spojrzycie dokoła siebie, idźcie na wierch, i stamtąd przypatrzcie się tej roztoce smutnej. Jeżeli was strach nie porwie i w całej istocie waszej nie odmieni, to niech wam ziemia będzie lekką... Nie przeto, żebych wam miał starość wypominać — bo i drzewo, choćby stare, zazieleni się nowo od wierzchołka, ale umarli się nie odradzają... Odmłódźcie dusze twoje! Pokażcie, że was stać na drugie życie! Niech was nie straszy nieznane — bo co serce w skrytości swej uznawa dobrem, to to i wobec rozumu nie może być złem! Idźcie za szczęściem swoim w bój z naturą trwożną!.. Wstańcie świtaniem odważni, bo na dzień jasny wstaniecie!.. Otwórzcie serca na oścież, jak moje otwieram przed wami... Całą istotę swoją pokazuję wam dzisiaj przed oczy. Ale chcę jeszcze bardziej być szczerym!.. We mnie nie to tylko jest, co się słowami wyrazić. Jest tłumna izba pragnień, których wysłowić nie zdołam. Są nienazwane moce, których czynów zamało na ziemi. Dajcie mi ludzi! a stworzę dla nich świat tak piękny, że raju nie będą pragnąć...

I już nie słowa, ale iskry z gorejącego serca wyrzucał. Zdawało się: lada moment krwią serdeczną chluśnie.

— Jeżeli ma być życie, to niech będzie życiem! A nie — to niech się wszystko zatraci! Miast powolnego konania, niech będzie raczej śmierć! Niech wszystko zginie odrazu, niech się rozsypie w proch, niech pamięć straci o istnieniu, a niech nie cierpi! Niech zła cierpi!!

Pomimowoli, zwalał prawie z przeciągłego nucenia.

— Tę gwiazdę trzeba wnieść do życia, a nie, to popchnąć w grób...

Wtedy razy Łukaj stanął przed nim i zapatrzył się weń groźnie. Rakoczy odpowiadał mu równie oczami. I poszła się między nimi bezgłośna walka oczu. W izbie uczyniło się cicho i nieruchomo, gazdowie wstrzymali oddech, czując wszyscy, że się coś dziwnego dzieje. Łukaj z Rakoczym stali w bezruchu niemym naprzeciw siebie, a duchy wyszły z nich i poszły się ze sobą zmagać: ten nienawistny, groźny, a ten płomienny, niezłomny... Walka toczyła się zawzięta, krwawa, niby walka dwóch bogów o rządy. Naraz duch Rakoczego porwał ducha Łukaja za włosy i przygiął go do samej ziemi...

— Wiążcie go! — wydobył się krzyk przyduszonego. I Łukaj pierwszy rzucił się na Franka. Franek odepchnął go ręką tak, że upadł nieprzytomnie i o róg stołu ciemieniem uderzył. Gazdowie, wściekli, rzucili się tłumem na Franka. Zamigotały nad nim pięści — pałą już spadły mu na głowę. Rakoczy naraz poczuł, że dziwnie osłabł w sercu i nikomu nie zdołałby się bronić. Przeto się cofnął do drzwi i do sieni, popatrzał mówiąc: niech...

A stało się to wszystko w niedługim momencie! Gazdowie, skoro ochłonęli nieco, pospochylali się nad Łukajem i obiecie.

— Ciemię nadwerężone...
— Rana dość spora...
— Żeby się ino rozum nie narwał...
— Niech-że też Bóg zachowa!
— Przynieście-no wody...

92.

Paru gazdów wyszło do pochamni. Naraz drugiego Hanka wpadła z wodą...
— Matko Ludzimierska! — Co się to tatowi stało?
— Dy się przypatrz... Twój Franuś tak go urządował — odrzekł z przyjemnością jeden z dalszych stryków.

Hanka jeszcze bardziej zalękła się.

— Je o co?
— Dy się tyż tu dowiesz...

Podnieśli go z ławy i posadzili go na ławie. Paru doświadczonych w składaniu nóg i leczeniu bydła, doktorów zajęło się z powagą jego opatrunkiem, reszta stała nad nimi, przypatrując się ciekawie, lub dalej, po całej izbie, w rozgwarzonych grupach. Mówili naturalnie o sprawach całego nieszczęścia, o Rakoczym.
— Wcieleb ja takiego niedźwiadka tobych wnet zabił...
— I ni miałbyś żadnego grzechu, wierz mi...
— Niech świata nie buntuje, niech nie robi mętu...
— Dyć no spokój, mój tyrnuś — porwał, wtrącając się, Grzecki — boć ty też nie najmędrszy... Rakoczy nie tak doszczętu źle gada — zwrócił się do paru gazdów — jak wam się zdaje... A nawet powiem wam — przyjdzie czas — że on ma rozum niegłupi. Ino to bieda, że zastanowienia nie ma nijakiego...

W innej znów grupie dowodził Cichacki:
— A ja od dawna powiadał, że on cosi w rozumie niepewny...

Wreszcie po długich naradach wyłoniło się przystania na to, że z jego rozumem źle. I poszli spać do domów, bo noc nadchodziła, a tutaj z pomocą Borka i doktorów przecie zaczynał przychodzić do siebie.

str. 38.

* * *

W zaroślach gęstych, we mgle jeszcze niewidzących myśli siedział opodal drogi na drzewie Franek Rakoczy. I już nie dumał, jako dawniej, siedział w tępem zapatrzeniu, jak to drzewo ścięte. Co dotąd przebył od czasu, jak wyszedł z chałupy wójta, to się wyczerpanem człowiekowi w najgorszych snach przypomnieć nie przyśnije. Snem to już wszystko, bo przeszło... Ten szum straszny, który krew w mózgu czynił, że zdawało mu się: lasy lecą, ten łoskot, gdy wola w nim złamała, jakieby ziemia zapadła, te płomienie palące, które go objęły, i że cmut się pełnością przeszyło tu nowe żale, które go zalały, tak, że stał w nim bez pamięci, nie mógłby w zatraceniu te wszystkie nieszczęsne przebyć, i przecierpieć w tej chwili, Mój Boży... I teraz tylko ciemność gęsta dolatywała przed oczyma, dawnego po tych przejściach doznając spokoju. Jakgdyby wszystko w duszy swojej zamarło i ostało w nim jeno okruszyne świadomości życia, ale to nawet nie życie, lecz konieczność istnienia. Ten spokój jeśli nazwać, był chyba podobny temu, jaki pod [illegible] uczuwać może serce nie doszczętu zmarłe, z którego ból wypędził życie, a ono jeszcze tętni, nie ustając. Ciemność przed oczyma jego gęstniała ponieważ, aż nareszcie stanęła lasem wielkim, nieprzebytym, mocą wszystką, murem...

~~W zaroślach gęstych, we mgle jeszcze czarnych myśli siedział na drzewie opodal drogi Fr. Rakoczy. Co dotąd przebył ... Już przeszło. I teraz tylko ciemność~~

... bogaty ...
... dzieciństwa swego rzewnymi łzami zapłakał. 53

Od dworów wiatr przyniósł echo głośnych śpiewów. Ludzie szli z karczmy do domu, zawodząc po drodze. Powoli zbliżały się odgłosy pijanych. Już zaledwo już wyraźnie z drogi doleciało:

„Hej! — powiadają wszyscy,
Że my nie umiemy —
A my se pałacy,
chłopcy ostrzycy...”

I grały echa niewesołe po całych wertepach. Wiatr je roznosił po osiedlach z (przejmującym) świszczącym chichotem.

Franek Kafary, który opodal drogi, pod drzewem, w samotnym gąszczu w niemocy, pierwszy raz od czasu dzieciństwa swego rzewnymi łzami zapłakał.

×

Zakończenie rozdziału IX

s. 227 [illegible]

X.

str. 41.

Nazajutrz – rano – w domu ojców.

Zośka, stojąc przed Frankiem, spoczywającym na ławie, żaliła się głośno:

– Takeś już o nas doszczętnie zabaczył... Ani słóweczka, ani pozdrowienia, ani pamięci najmniejszej... Przecie nawet obcy ludzie dopytują się o ciebie, aleś ty, brat, i takeś zdołał wytrzymać, żeś się słóweczkiem nie odezwał... Daję wiem, że ci markotno musiało być na nas, ale coś ja zawiniła? Żebyś wiedział, co ja od tego czasu przecierpiała...

Głos jej załamał się w płaczu. (Franek słuchał ciężkim, przygnębionym smutkiem – i słowem jednem nie mógł jej pocieszyć). Przetarłszy oczy fartuchem, żaliła się dalej:

– Jakeś wtedy z domu poszedł, to mi se miejsca ni mogłam do spoczynku. Tak mi się to [illegible]... A potem, jak cię nie widać było jeden dzień, drugi i trzeci, to mi się zdawało, że się w jeziorze doszczętnie zatopił. Ani jeść, ani usnąć, ani robić co nie naporada było. Ciągle mi się zdawało, że jakiś grzech na duszy dźwigam. Poszłach do spowiedzi, powiedziałach księdzu wszystko, ale i to nie pomogło. O ciebie byłach w sercu niespokojna, bo wiem, jakiś ty do wszystkiego nagły. Myślę se: „Kto wie, co se mógł uczynić, na jakie złe postanowienie trafić!...” A już mnie nic nie czekało, jeno to, co się komu z tobą dzieje. A tu, jak na despet, nikt z dworu nie przychodził; potem chociaż się spotkało z kim z ludzi – nikt mi nic nie umiał powiedzieć. I przeszło spory czas w niespokojności i trwodze. Ani se możesz uważyć...

Franek podziękował jej uśmiechem [illegible], choć mało co i [illegible] z tego, co mówiła.

– Dopiero, jak mi donieśli, żeś w Hucisku ostał, wtedy trwoga o cię opuściła. Ale wciąż było mi przykro. Zbierałach się iść do ciebie, ino tak zawdy coś zachodziło. Miałach też niemało kłopotu...

– Wiem, wiem – przerwał Franek, nie chcąc, aby o [illegible] sama powiedziała.

– Skądże wiesz?

– Od ludzi.

Pomilczała chwilę, potem rozpoczęła o powodzeniu obecnem.

– A teraz u nas tak, jak dawniej... Jędrek do lasu jeździ i drzewo pojedzie, ledwie się na dzień namyślawa – ja [illegible] dom [illegible], co potrzeba, a też mała pasie, choć jej było nie dźwigać, bo to przecie jeszcze dziecko, ale cóż robić z pasterzem tak ciężko!... – no, teraz przynajmniej [illegible] było [illegible] chodzić [illegible], ino [illegible] za [illegible], to to [illegible] wiem [illegible]; może [illegible] chciałby przyjść do chałupy, jak [illegible] i zagrzać się, i posiedzieć... Zresztą wiesz dobrze, jak bywa, boś sam w tem wszystkiem był. Tak to u nas, mój bracie, nic się [illegible] zmieniło, ino [illegible] teraz... a czasem to tak, że się ne [illegible] bez [illegible] [illegible]...

Zasępiła się, chciała coś dalej powiedzieć, rozmyśliła się jednak chwilę, wreszcie przybliżyła się ku niemu ze szczerem postanowieniem i poczęła dużo ciszej:

– Powiem ci tylko, mój bracie, co mnie najboleśniej trapi... Bo komuż powiem, jak nie tobie? A może mi się jako ulży...

44.

Franek podniósł zsiniałą od ~~[illegible]~~ zmęczenia głowę i spojrzał na nią pytająco.

— Wiesz... on za mną chodzi...

— ~~Kto?~~

— Jaś!.. Naprawdę ci gadam... Widzieć to go nie widzę, ale go czuję ~~[illegible]~~ wciąż i słyszę... Najczęściej w nocy... Ledwo głowę przyłożę do pościeli — on już za oknem śpiewa... Pamiętasz ty jego nutę?.. „Oj, ślubowałem ci ja, Zosiu!"... I słowa wyraźnie słychać... Nie śmiem się nikomu skarżyć... I co ja, biedna, pocznę?

Patrzył zatrwożonemi oczyma na brata, a skoro się nie odezwał, poczęła dalej tłómaczyć drżącym i cichym głosem:

— Bać to się nie boję, tylko mi tak jakoś dziwnie... nie umiem powiedzieć jak... Strasznie mi ciężko na sercu... Tak, jakby on przeczuwanie [illegible] z tego świata... I zdaje mi się, że on mnie tam śpiewem woła... [illegible] mnie też już teraz świat nie cieszy...

Nachyliła się ku niemu, oparła głowę na jego ramieniu i wyszeptała w płaczu:

— Oj, bracie, bracie!.. ~~Żebyś wiedział~~... żebyś wiedział... Poratuj mnie jako ~~po~~... pociesz... bo mi tak ciężko! tak ciężko!..

I płakała mu cicho na ramieniu.

A Franek, siedział równie cichym przytłoczony smutkiem, i słowem jednem nie mógł jej pocieszyć.

— Cóż ja poradzę? — wyrzekł wreszcie z westchnieniem głębokiem.

Odjęła głowę od jego ramienia i zapatrzyła się przed siebie.

— Ja wiem... on ma do mnie prawo... Tak mu na sądzie musieli powiedzieć...

Po drugiem, czystszem milczeniu poczęła mówić, uśmiechając się na ~~[illegible]~~ zbielałym licu.

— ~~Ja~~ Wiem... to dziwne... czasem chciałabym go widzieć... i boję się... tych oczów jego... Sama nie wiem, co się ze mną dzieje... We dnie to chodzę zwyczajnie, i nikt by nie zgadł, co mam w sercu — a w nocy to mi się świat dookoła odmienia... Wiesz — nawet nie śpię z Jędrkiem... bo mi się teraz zdaje, że to grzech — czy jak — czy ja wiem zresztą... No nie mogę się przezwyciężyć i... zdawałoby mi się wciąż, że on tam patrzy...

Z rozrywającym smutkiem dokończyła:

— Strasznie mnie to życie znudziło! Wolałabym już i nie żyć... Żeby już nie ta mała...

Po chwili:

— Nie chodź ty od nas, Franuś, może mi będzie jakoś lżej przy tobie. Jak chcesz, to podziel grunt, bo on ci pewnie pieniędzy nigdy nie da — jak nie przystanie z dobrej woli, to podziel przez sąd. Mnie już nic o to nie chodzi.

— Tego nie zrobię. Darmo. Niema o czem gadać.

Wstał — przeszedł się po izbie. Zosia siedziała, płacząc cicho. Stanął przed nią, ujął jej obie opuszczone dłonie i przycisnął do swoich piersi.

— Żal mi cię... Strasznie mi cię żal... ale darmo.

~~Zosia~~, Politowaniem jego wzruszona, jeszcze mocniej zapłakała. I długi czas cicha izba odzywała się jej szlochem. Franek cho-

Już w zachmurzeniu, głowę zwiesiwszy od ciężaru bezradnego smutku. Wreszcie, gdy się zastanowił w pracy, zbliżył się ku niej ze słowami:
— Moja kochana Zosiu, mam do ciebie prośbę... Idź, powiedz Hance, że ją tu czekam... Niech przyjdzie... Chcę z nią parę słów pomówić...

Silił się na spokój, ale głos mu drżał, gdy mówił; zauważyła to Zośka i, wytarłszy zapłakane oczy, przyjrzała mu się teraz lepiej. Ale ostro, ich strapieniem zabarwiona, tak się jego wyglądu ~~zdziwiła~~ przelękła.
— Co tobie, bracie? ~~powiedz~~...
— Nic... — odparł odwracając twarz.
— Żebyś się ty widział!...
— Idź i powiedz jej... — powtórzył, zagadując się.

Zośka dopiero teraz przybrała sobie zapowiedź, niepokój stanął w jej oczach, ~~[illegible]~~ zwróciła się ~~[illegible]~~ do brata z uśmiechem ~~[illegible]~~:
~~— Ty... może ona nie [illegible] się z [illegible], [illegible] przykrego [illegible]...~~
Franek postrzegł ~~[illegible]~~ jej ~~[illegible]~~ obawę i ~~[illegible]~~ ujął ją za ręce.
— No nie trwóż się... Już ją przykrego nie spotka... chciałbym pomówić ~~[illegible]~~ z nią na osobności... ~~[illegible]~~ Niech zaraz przyjdzie, ~~[illegible]~~... Najlepiej, przyprowadź ją z sobą...
— To tak pilno ci trzeba widzieć ją?
— Koniecznie!

str. 48. ~~Za~~ Uspokojona już w sercu, poczęła się wartko zbierać.
— Jakby też tu Marysia przyszła do chałupy, to poradź jej, mój drogi, że mleko pod blachą...

Wytarła oczy chustką, żeby nikt nie ~~[illegible]~~ domyślił się jej płaczu, i, zapowiedziawszy prędki powrót, poszła.

Franek został sam w izbie.
— Czy też Hanka przyjdzie? — myślał, niepokojąc się tym pytaniem. ~~[illegible]~~ — Kto wie, co tam mogło zajść od wczoraj...

(•) tutaj d. c. tekstu

do str. 231 t. II

– Kto wie, co tam mogło zajść od wczoraj...

Narzucały mu się obrazy coraz to bardziej trwożące. I w chorem sercu przypomniał, że wszystko mogło zajść... Dlaczegóż to, co najgorsze, ominąć miało? Już pewność [illegible] wiary w powodzenie stracił od dnia wczorajszego. Teraz też ostatni wierzył, że się już nie [illegible] osiwiałą nigdy dobra dla siebie spodziewać. Dawniej widział duszę swoją gołębią [illegible], które wyglądały jak ptactwo, na wszystkie strony powietrza wylatując – a teraz widzi ją spaloną, okiem smutnem, po którym wyszli właściciele, jak pogorzelcy [illegible]... Czegóż spodziewać się, kiedy jedyne dobro spłonęło? Chyba jakiegoś pocieszenia od kochanych serc... I jak owi pogorzelcy zwracają oczy na drogę, czy nie ujrzą zbolałych twarzy przyjaciół, i zwracają je coraz beznadziejniej – tak wszystkie jego smutne wyglądają przyjaciółki i zwracają coraz to niespokojniej...

– Któż wie, co jej tam naopowiadali, jakie niemiłe przez to dla mnie chowa... Ależ mnie naprawdę podejrzewać wypada... Ach, ciemno ja dawniej nie mówił nic o wszystkich moich zamysłach i oddalał do ostatka.. Teraz cóż mówić już o tem? Kiedy umrze... I nie zdziwiłaby się nawet..

[illegible]. Znienacka jego przerwał się stuk niegłośny w sieni. Ktoś [illegible], szybko [illegible] drzwi i nie może ich otworzyć. Frankowi serce zabiło – myślał, że to Hanka. Drzwi się znienacka otwarły nie[illegible] – i weszła, a raczej przewlokła się przez wysoki próg do izby niewiasta [illegible]. Tamten [illegible] że tylko jej wiedzieć, że była opatulona w płachtę lnianą, która jej matkę, obutymi stopami zawadzała.

– To ty, Marysiu? – przywitał ją wujek.

Franek myślał o Hance. Jak dawniej nie widział, nie myślał o jej przyjściu.

Obróciła ku niemu zadziwione oczy, po tem podniosła cicho i pocałowała go w rękę. Ozwały się w niej nuty dość duże i przypomniał jej jego ... tańczącą przy nim tkliwy. Nie była to już ta Marysia rozswawolona, śmiechliwa, która go kiedyś zwodziła koń[mi] ... „turystkim”, ale jakaś dziwnie postarzała, w oczach, jakby od tego czasu przeżyła niejedno w sieroctwie lato. Zastanowił się Franek: ... w sercu zadumionem... Mróz, idący po polach, kwiatka nie oszczędzi. Smutek, idący po ludziach, i na to dziecko tchnął swoim mroźnym wiewem.

– Coż tobie, Marysiu? Czy ci zimno?

– Nie...

– Samaś przyszła?

– Same...

– Może ci się jeść chce?

Nic nie odpowiedziała.

– Korodzyj-że się, i weź se mleko z pod blachy. Mama i tam ostawiła i kazała, żebyś se wziął, jak przyjdziesz...

Poczęła zgrabiałymi paluszkami wyplątywać węzeł, [illegible] wyjęła.

– Poczekaj..., bo nie dasz rady... Ja ci rozwiążę...

Rozwiązał jej ... przygarnął ku sobie i pogłaskał ją po włosach.

– Moja ty to pasterka... Cóż to tak wyglądasz nie rada?

52: Zaczerwieniła się i nic nie umiała odrzec / przy nim w ... i widzi ... dobrodziejstwo, bo zabaczyła ... na pastwie o mleku. Był jeden naście, skoro Franek na nowo rozpoczął myśli o ... ciach zmarł, podniósł (główkę) ... i wyszeptała:

– Wiecie, wujku? Mama tatę pobili...

Franek popatrzył w jej oczy zdziwione.

– Nie bajcie, dziecko, to się zdawało...

– Naprawdę! Potem tatę ponieśli i nie przyszli się po tem, potem...

Chciała dalej opowiadać, ale ją wstrzymał surowy głos wujka:

– Idź-że, weź se mleko. A o tem nie myślij...

57

Usłuchała, choć niechętnie, i poszła ku piecowi, a Franek zwrócił się do okna i oczy posłał ku drodze. Nie widać było nikogo. Porachował czas, odkąd Zośka wyszła z domu, i widział, że już powinny były nadejść. Tem się pocieszył, że Zośka już dawno by na ten czas wróciła, gdyby jej albo nie zastała, albo nie mogła ze sobą uprosić. Oparty łokciem na okniu patrzał przez szyby uporczywie, a serce w piersi tłukło mu się coraz niespokojniej.

– Czy też przyjdzie? Czy się da nakłonić...

Nie mógł już ustać ani usiedzieć spokojnie; fale serca rzucały nim od kąta do kąta. Chodził dużymi krokami po izbie, to prędzej, to pomalej; kostrzewie porywało go ostateczne – siadał, ale znowu gorączka nie dała mu długo siedzieć, i tak w izbie miejsca nie mógł od niespokojnego wyczekiwania. Wreszcie zdecydował iść na przeciw, i zabrał się ku drzwiom, kiedy w tej razy przed nim się otwarły, i stanęła w nich Zośka, za nią Hanka...

Ogarnął nie zadał z największego wzruszenia. Serce zatrzepotało w nim radością i trwogą, nogi się pod nim zachwiały, i ledwie zdołał cofnąć się ku stołkowi, na którym się spadł bezsiły. Czoło przypomnienie niedawnych i bolesnych przeżyć mu przemocy wiedział do żywy. I stał pobladły mocno obok stołu, a naprzeciw niego, przy drzwiach, stanęła Hanka z widocznem niepokojem w twarzy.

Zośka spojrzawszy na nich, zaraz do izdebki wyszła. Zostali więc sami. I długą chwilę serca im tętniły, jak dwa zegary w pustej izbie. ~~[illegible] wyglądał [illegible] Franek, przenikając obawy, które się w sercu zrodziły z niewyraźnych pragnień [illegible] od [illegible] głosem:~~

~~– Nadszedł czas, [illegible] dawniej...!!~~

~~(Cóż?.. Ona: nic. On prawie mówi: Cóż? Ony: nic! [illegible] ci przedstawić raz ze sobą... wreszcie wybucha wymową. „W miarę [illegible] mówi [illegible] jak poszła się oddzielać i [illegible])~~

7

~~Franek~~ Ponury poszepnął: ~~Franek~~:

– Myślałem, że już nie przyjdziesz...

Było w tych słowach ~~wymówka i radość z jej widoku~~ dalekie od myśli serca, i wyrzut ~~wyrzut~~ i radość z jej obecności. A gdy Hanka nic na to nie odpowiedziała, Franek, przemożony obawą, która mu się zrodziła w sercu z niezwykłych pieszczot, przemówił drżącym od wzruszenia głosem:

– ~~Widziałem czas, o których i wspominać dziś, choć nie wszystkich,~~ Pamiętam, ~~co~~ ~~idzesz do domu, co~~ ~~czy~~ ci powiedziałem ~~raz~~ jednego ~~razu~~ wieczoru, kiedyś mnie przez te dziady puste odprowadziła do ~~zam~~ domu?..

Hanka wzruszyła ramionami, ~~odęła się~~ przedtem na stare mury:

– Skądże ja mogę pamiętać?

– A ja raz wyraźnie bardzo... Wszystko ci mówię, pytając: „A jak nadejdzie czas, że powiem: „Pójdź ze mną na ~~kraj~~ koniec świata!"..

Wstrzymał się, jakby pamięci jej chciał do pomocy czasu, i wyrzekł twardo:

– Teraz ten czas nadszedł.

Po chwili, gdy milczenie jej upartego poczęło trwożyć, zbliżył się ku niej i, ujmując ją za ręce z jej wówczas, ~~..~~ ~~tak~~ serdecznie spytał:

– Pójdziesz w świat ze mną, Haniu?

– Nie.

Wyrwała ręce z jego dłoni. W twarzy jej już nie było niepokoju, ale zaciętość surowa, która mówiła: nie ustąpię, choćby nie wiadomo co... Aż się Franek ~~zadumiał~~ temu wyrazowi, którego nie widywał dawniej w jej obliczu, a który mu nagle zbaczył podobieństwo jej do ojca. Zimno też powiało ~~..~~ na jego serce: tak od jej ~~krótkiej~~ odpowiedzi krótkiej, jak i od jej postaci odmienionej. Przecie chciał wierzyć, że to złuda jego przemęczonych nerwów. I przewalczywszy w sobie wszystko mocniej nie swojej, począł z tem większą serdecznością:

– Haniu! Dziewczyno moja! Coś ty nie rozumie? Przecie się zastanów w sercu... Ja z tobą nie mogę zostać, to ty musisz ze mną... Inaczej przecie chyba być nie

może... Wypłakałaś je nie słowa na świętym upytał, ale
darmo... Niosłech ci z Huciska dobro, o jakiem nawet
nie śniłaś, ale ludzie odebrali... I stoję przed tobą ~~tak~~
56. biedny, nawet biedniejszy, ~~jak~~ niż przedtem, ale ~~z twojej~~
~~tobą pójdę ... bogactwa odebyszę ... to nie ...~~
~~ży, nie ...~~... nic to nie ~~...~~ cofa, iżbych ci
nie śmiał powiedzieć: Pójdź ze mną, ku końcu świata...
Bo wierzę, ~~bo~~ że ci podołam dni szczęścia... A ty nie bę-
dziesz bogatszem, ... dobrem życia... Lepszy
ci może niż ... ? Od ... trudów i pra-
cy ? Ja ci na miłość przysięgam, że wszystko
... od ciebie odejmę i stanę ci się o-
... , jak ... najdroższem
~~zadaniem ... ja ci ... nie ... powodzi-~~
~~... ... ... tyle ...-~~
~~... bo wiem, bo wierzę, że ... ~~...~~~~
~~~~...~~ ... i musztać ... przenieść...~~
~~... ale, ... to ... moje~~
~~wszystko wypowiedzieć !... Że twoje i moje o ...~~
~~... i że ~~...~~ najdroższe...~~
~~wszystko ... że ani ... oparnię~~
~~...~~...
– Co o tem gadać – przerwała – kiedy nie pójdzę, i ko-
niec.
– Hanka !!
– Ja wiem, że obiecować umiesz...
Frankowi nagle myśl przebiegła głowę : „ a mo-
że ona sama, bez niewolenia, przystała ?" I to go tak
zmierziło w sercu, że się cofnął, upadł bez mocy na
ławę i w milczeniu jej słuchał potwierdzenia domysłu.
– Obiecowałeś, że wyjdzie dostaniesz i coś dostać
powiedz... ~~Potem~~ Obiecowałeś, że ~~...~~ ci przypadnie
~~...~~ pół roli, jak się ze szwagrem podzielisz... ~~Tak~~
~~A potem~~ I coś z tych obiecanek wyszło ? To, żeś się wstyd-
~~~~

dzi pokarać i sam do [illegible] ś nieść. Potem-eś jeszcze obiecował... ale myślisz, że ja tym obiecankom wierzyła? ~~[illegible]~~ Stolichowicki się, skoro się dowiedział, że ~~[illegible]~~ się z Michałem zaręczyła... Cóż? [illegible] na ciebie czekać, więc umrzeć? Wiedziałeś przecie, że i z tego nic ci dobrego nie przyjdzie, boś po lesie pozbierał wszystkich głodomorów, jakichsi Dyabłów, łyków, i samcoś ich pasł... na dopłatek jeszcze zamiast wrócić do ludzi jak ludzie, przyszedłeś z lasem jak jaki potwór i narobiłeś takiego taternu, że ~~[illegible]~~ cię wszyscy, nie wyłączając i ojca, za zmarłego uznali... Ja? Komuż teraz prawem śmiesz mnie napastować? Co było między nami, to już przeszło, i na tem się skończyło. ~~Podobałeś się mi z tego, coś był [illegible]~~, Kochanie co innego, a życie co innego... Żebyś ~~[illegible]~~ był umiał żyć, jak ludzie żyją... ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Teraz przynajmniej miej rozum i nie gadaj tak we świat do niczego, ~~[illegible]~~ bo ludzie naprawdę gotowi pomyśleć...

W miarę jak mówiła, poczęło się Frankowi rozdwajać ~~jej postać~~ w oczach. I widział, jak postać jego ukochanej oddziela się od ~~[illegible]~~ jej postaci, ~~[illegible]~~ się coraz mglisto, aż nakoniec wyszła się od[illegible] na siedzenie, i znikła, razem wracała do jego pamięci. Przed nim stała tylko Hanka, zwyczajna [illegible].

I rozśmiał się tak ~~[illegible]~~ szeroko, niepohamowanie ~~[illegible]~~, że aż Zośka przyszła patrzeć, co się stało.

—

To było druk. osobno w „Krytyce" 1901

Fragment rozdziału XI - drukowany z nieznacznymi zmianami na s. 242-44 I wyd. Ks. Z. 59

XI.

Mógł wziąć nad roztokami. Dziś był pogodny, szary, że [jeden] dzień z tych najsmutniejszych dni, jakie jesień z północy przynosi.

Droga, ~~[illegible]~~ wąwozami z Przysłupia do najbliższej ~~[illegible]~~ dworca kolei, szedł Franek Kabowy. I taki przestrzenny smutek dźwigał w swojej duszy, jak te pola jesienne ~~[illegible]~~ zamglone osmutne.

A nie szedł sam. Szły z nim wspomnienia ~~[illegible]~~ tego lata i przeżyciami ~~[illegible]~~ ciężkimi. Zdawało mu się, ~~cała wieś~~ że z nim całe roztoki ruszyły. Odprowadzali go ~~[illegible]~~ Franusia umarli i żyjący.

.. ~~[illegible], spłakaną, przytulającą Marysię do kolan, i patrzącą już na tamten świat...~~ Szły ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zawodzącego ~~[illegible]~~ po- ~~[illegible]: „Oj, stargowałeś ty je, Zosin, bez ni jednej wiary"..~~

Wśród tej procesji, ~~[illegible]~~ zmieniony [illegible], widzi:

Zosię spłakaną, przytulającą Marysię do kolan i patrzącą poprzez ludzi gdzieś na tamten świat...

Jasia Zatraconego, który szedł za nim z daleka, jak cień, wzgardzony, ~~[illegible]~~ i żalił się cicho: „Oj, stargowałeś ty je, Zosin, bez ni jednej wiary..!"

Widział też: Hankę ~~[illegible]~~ z Michałem, oboje rozświeconych ~~[illegible]~~, ubranych jak na wesele w jaskrawe bukiety, które nad drzewami ~~[illegible]~~, wywodzących na głos ~~[illegible]~~ „Hej! powiadają ludzie, że my czarownice"..

Widział Łukasza pośród całej zebranej Rady Przysłupia, ~~[illegible]~~ pracowitego, rozumnego i rozważnego, ~~[illegible]~~ Bekacza, opowiadającego aż z chudą mogiłą wi, którzy się temu cudowali: „Ho, ho! Umiemy...!"; ~~[illegible]~~ nawet Tekli, dźwigającej ciężką ciężarną, i który w oczach mądrych ~~[illegible]~~ głosił ~~się~~ ważne słowa... ~~[illegible]~~ widział nawet i Biesieja, który z ciekawości ~~[illegible]~~ dołączył się, by obaczyć, ~~[illegible]~~ gdzie Kabowy pójdzie.

~~A potem [illegible] dygnął [illegible], patrzący [illegible] [illegible] wyrazem, [illegible] [illegible]~~

~~się koło wody smukłego i szypiącego w wodzie i dymku, [illegible] [illegible] się na [illegible]~~

A poza tą procesją, jak poza płynącą nieby odbicie [illegible] z lasu drzewa i ostawione na brzegu, widział: Cyrka, patrzącego za nim ciekawym, smutnym ~~[illegible] wyrazem~~, i Drozda, ~~[illegible]~~ smukłego ~~[illegible]~~ gładkiego, ogromnej [illegible] sylwetki w wodzie i dymie, wychylającego się z poza nich twarzą, w której nie widzi zakrzepły ~~[illegible] [illegible]~~ strach i [illegible] rozpacz. ~~[illegible]~~ Ubogi, zdawało mu się, siedzi Dyzma ze swoim Burkiem.

~~— Tak i mnie życie odnosi~~...

Powoli stracił z oczu całą procesję. Ostali przy nim jeno ciężkie drzewa przez niebo smutne boki odmierzani. Coraz ~~stał~~ przestrzeńszy smutek wpływał w jego duszę.

— Tak i mnie życie odnosi...

Mijając drzewa, zakręcające potoki, obejrzał się poraz ostatni za siebie. Turbacz stał górą we mgle i dziwnie odział się zgarbiony, jakby się przez to lato zestarzał o wiek. Kalonczyk jego wodą zbierał dawną śpiewkę:

„Hej! Turbacz, Turbacz,
Czemuś tak osowiał...”

Z tą melodyją zakończył aż do pasterskich twoich czasów.

Myśli się podniosły, ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ odkrył się zaciemniały Czoło Turbacza — na niem wyrastało jedno ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] Kamienie...

— Mój grób... — rzekł Kalony ze smutnym uśmiechem.

A idzie dalej, powtarzał:

— Lachy.. Kołodzij-Lachy...

Za nim grób zabitej przeszłości — przed nim świat nieznany.

×

, Dowlókł się właśnie

50 ct Ruffoni.

początek rozdziału IX

s. 196 s. 81 odbitki

IX.

Nareszcie nadszedł dzień, długo przez Franka wyczekiwany. W niedzielę, po [illegible] razem, pożegnał się z [illegible] kiedy już minął wąwóz [illegible] [illegible] Kotliny i wydostał się na otwartą przed oczyma przestrzeń, tedy wszelkie duszy niepokoje opadły zeń, niby płaszcz ~~zmokły~~, ~~mokry~~ zmoknięty, stało mu się lżej na sercu, jaśniej i swobodniej

8557

Notatky do tomu I

k. 61-63

. . . .

61

Franek porwał się ~~[illegible]~~
- roztajany zamiar wrócił - nikt
odrzec gromkie słowo, gdy drzwi się
otwarły i
- Pochwalony!
[illegible] Bracie...
[illegible] - Franek przy obcych
[illegible] [illegible] - [illegible] [illegible]
na [illegible] - z gniewem dogadzając
Bracie, [illegible] na [illegible]
o [illegible] [illegible] w gniew...
Tymczasem [illegible] ~~[illegible]~~
wybiera się ~~[illegible]~~ odpust
Brat: [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible]...
„Honorka !"
- O! i Hanka...
Spojrzeli na siebie. Hanka [illegible]
[illegible] [illegible] uśmiechem...
- Obróćcie się po [illegible].. a [illegible]
~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~ [illegible]
Zuza: Zbiera się Franuś...
- E!! zachciał się...

. . .

Żył, że go Hanka nie
prosi - raptem godzi się..
~~[illegible] się uprosić~~ Idzie...
Na noc
- zrobiło się w izbie jasno
od szyszczek [illegible]

V.

Droga......

Nocleg....

Odpust....

powrót (bitka..)

VI

W chałupie tymczasem. Wybory etc.

a) Droga...
b) ~~Na~~ ~~[illegible]~~.. Tobołów...
Obydwoje - ~~[illegible]~~ spotkają się, nim oto.;
w rozstaje, i szczytniejsze Tatry...
c) Obłoki krwawego rdzą..
~~Pośr~~ ~~napotnymi~~ myśli Franka, niezro-
zumek niewiast...
d) Napotykali się -
~~Potem~~: Dalszą - czy bliższą drogą?
Z obydwoma na nowo Honorka
~~[illegible]~~ - ~~[illegible]~~ p. Opacie ~~[illegible]~~
przez Kotlarky - do Kowalca...
Cyganie...
Pod Nowym Targiem - nocleg...
~~[illegible]~~: Marka...

Świtaniem... Po Ładzimierzu. ~~[illegible]~~
myśli Franka..
~~[illegible]~~ Zartuje narody podhalańskie
~~[illegible]~~ Wierzba - ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
niewiarty się straty... Stał na
polu...

e) Łaźki...

Koldraś i X 1855

Koldraś Łacki.

„Koldraś"

1847..

najpiękniejszy wtedy a jak się te Tatry przecież.. żeby tak wszędzie mieć Tatry przed oczami!

(przez Tobołów) na powrót
– Krótszą drogą – dłuższą przez Turbacz i Kotlarki ~~na powrót~~...
na lewo (na powrót stamtąd pod...)

Gakowcy (napis!) „Na Turbaczu jego kamień... nagrobek jego..." w świat!..

Koldras – Lacki ....

1[redacted]63. (trzydzieści trzy roczek cały był stworzone z czasy..!.)

wariant tekstu na s. 137 (T. I Pozn.) 63

— A nuże pójdą do spowiedzi? Kto wie... Niewiasty pono rade zbywają się grzechu, choćby na drugiego złożyć padło i ~~Boga~~ oszukać... Wykręcą takoż rozgrzeszenie i ~~[illegible]~~ otrzymają znowu paszport na jakiś czas, póki się nie zgubi... Takoż, człowieku, tyś winien zawdy i odpowiadaj przed Bogiem za siebie i...

wariant tekstu s. 139 (Tom I) Pozn.

Nabożeństwo się kończyło. Ludzie już poruszali głowami [illegible] ku bramie cmentarza. Nagle uderzyły wszystkie dzwony, organy zahuczały głębiną i ~~[illegible] się po dobrze, jak przed burzą~~, kościół cały zatrząsł się w posadach ~~do chóru~~ od poczętej z tysiąca ~~[illegible]~~ piersi: „Święty Boże!"
~~„Święty a żywy" cmentarz podjął i odpowiedział lud na polu stojący dokoła!~~ [Lud na polu stojący tłumnym ~~już bliżej ściśle zbożem~~ poklękał na ziemię i słychać było jeden jęk olbrzymi, ~~jakby dzwon z cały [illegible] [illegible] bożego.~~ ~~Podobnie, gdy burza~~ nad sobą... jeden płacz rozdzierający, jakby i ziemia jęczała w dzień sądu, jakby się morze rozpłakało głośno...

Suplikacye śpiewał naród wszystek i nie było duszy, która ~~by~~ się nie stopiła w poczuciu ~~błagania i skruchy~~ ukorzenia...

W Rakoczym serce drżało, jako liść ~~[illegible]~~ na wietrze. ~~Ta pieśń~~ Nie

W rękopisie

Pożegnanie (sonety)
Królewskie pieśni (prozą)
Giordano Bruno
Pielgrzym
Wieża Babel
} (poemata)

~~fotografie~~ | ~~Hrabia~~ Doktor | Dziewka Wszyscy(?) Wł. Dawid } !

[1900 I–III]

Szanowny Panie,

Posyłając „Juszyna" do Tygodnika, proszę, by o ~~[illegible]~~ tych bliższe wiadomości, gdyż [illegible] do zbiorku, który drukowano. Na to otrzymałem uprzejmie odpowiedź Szanownego Pana, że Tygodnik wydrukuje rzecz ową ~~najdalej~~ w najbliższych czasach [illegible]. Ponieważ dotąd nie [illegible] proszę o łaskawe zawiadomienie czy w najbliższym numerze [illegible] by mogła wejść, bym na łamach pisma, [illegible] opuścić mógł.

Z ~~głębokim~~ poważaniem i szacunkiem
Wł. Orkan

Szanowna Redakcjo!

Proszę uprzejmie o parę słów ~~Redakcji~~ odpowiedzi, czy cenzura w całości rzecz moją (z tej motywacji, że mi ją przesłała) i kiedy mogę się spodziewać zamieszczenia jej w łamach pisma?

~~Z głęb. uszan.~~ Z wielu względów ~~radbym~~ pragnąłbym, by wcześniej mogła się ukazać...

Z głęb. uszanowaniem Wł. Orkan

8557

J. II, rozdział IX.

Osoby:

Główne.

Rakoczy
Sukaj
Hanka

epizodyczne +

Dyabeł (posłuchaczy)
Cyrek (pantoflarz)
Drozd
Bławej (szpieg)
Bekac
Chudomięt + } pomocnicy przy ścinaniu (mówią o „Brzezie" i opowiadają anegdoty, piekąc ziemniaki)
|

Epizod. –

Tekla (opowiadająca o wsi, o wypadkach, chodzi po pieprz)
Chłopi, jadący po drzewo.
Jaś. Zatracony
Pasterze –

(Część II.)

Radził ...

I. Legendy o zbójach. „w Limanowej!" (Bekac, Chudomięt, Dyabeł) o lochu (w którym Dyabeł był)
II. ~~Stary~~ ~~siekę~~ siekąc – w nocy, przy kopaniu
(III. Robak w wodzie, żaba w mózgu)

–

„~~wysłał~~ Wszedł na ojca swojego i teraz go leczy." (Tekla)
„idę wartko, modlę się, kiej jaki święty." (Bekac)
„Chmury się nassią, potem wracają z deszczem" (Chudomięt)
„posrać ich nawracać i wrócić z gnojami na Tbie." (VIII.)
„wyciągaliśmy ciele z pod sekwestracji" (Bekac i Chud. spóźnili się)

R. I.

...a wąwóz był, jak brama, którą zaś [illegible] wchodzi do doliny... Drzewa rozłożyły się tu [illegible] i witają się w takiem milczeniu...

...Byli tu ludzie, którzy do kościoła przyszli [illegible] [illegible]. Ale i [illegible] [illegible], [illegible]...

—

(IV lub V.)

Hanka: Wiesz, Franek, czasem, to mi się zdaje, że ty patrzysz na mnie, a nie widzisz mnie. Tak, jakżeby ja stała przed Tobą, a tyś ~~przez nią~~ jakbyś przez nią wypatrywał coś dalekiego. No, czy nie ~~tak~~ z powodu...

Rozdz. IX

Rask: Jest we mnie jakieś [illegible] prawo, które powiada:..

VIII. Bekas [illegible] się. „Wyjmowałe [illegible] a pod sekwestracją"

Uwagi:

a/ Pasterska: (Rozdz. I (wypada z lasu)) Prosi, by tego lasu nie ścigli... Tam gdzieś dziś się ozdy – dziewczyna wesoła, jaka... – (opowiada o „państwie mrówczem", (żuk, i – mowa ptaków Rozdz. II.) Pośmiejsze Dyabła.

b/ Dyabeł: przy pierwszej – tupie – i potem powiada: – Choćby mnie tu śmierć miała zpotkać, to się dokopię... (i dokopał się śmierci. Rozdział II. opowiada o skarbach zaklętych.

c/ Drozd:
– : idzie wodą w górę, aż dochodzi do rostoki. Woda mu chodaki zabrała – musi wodą chodzić.

d/ Jaś: (Chłopka (~~Matka~~) opowiada:) Ociec mu umarł, on się też zadumał.. Co będę żył? – powiada – wziął i pomarł... Ktowie, na co...
– Na przerośnięcie serca, widzi...
– Bywa to i taka choroba? O żabie w mózgu tom już słyszał, i o robaku w nodze.. ale o takiej.
– Bywa...

–

Mowa ptaków:

(abo przeklina:)

Drozd: „Kominion, Kominion, ~~...~~ Tysopol, Tysopol – bierzem go, Tysego poprod brzzuch!"

abo (narzeka)

„Orać-orać, siać-siać, skrzydlić!"

abo (opowiada)

„Mój brat, mój brat, w morzu siedział, ryby jadł!"

(a nie jednako opowiada, bo insą razą:)

„Mój brat, mój brat, górował, owczarował, serzz jadł!.."

(I tak różnie – czasem, to go ni ~~...~~ można wyrozumieć, jak mówi:)

„Śtuchlik, śtuchlik, śtuchlik, ciachciąchok!"

(Kto wie, kany jeś ta wymyszyta taki gwary.)

Ziemba: (bo ino po naszemu:) „Siej, siej, siej gazstecką siemnienia!" (a konia, to tak przyciśnie, przytuzy człowiekowi, żeby się nie opuszczał na nic.)

Konopka. (Znowu ma swoję filozofię.. Jak padnie na przednówku, mór idzie na bydło, a chłopa bieda taka przyciśnie, że mu ostatnie ciało skapie, to wtedy ~~po~~ ~~po~~. konopka ~~posiem...~~ siedzi przed izbą na gałęzi i pociesza (tego) chłopa:)

„Nie bedzie, nie bedzie zdechłemu ciałeczku niżej!.."

grzywacz.

Śpiewki: „Hej, Turbacu, Turbacu itd. (Stopka)

Tom II.

I. Rzut oka na etniczne położenie Hucułka. — Mieszkanie i urządzenie Franka. — Żywina, jaką tu spotyka: zwierzęta, ptaki, nawet i ludzie. — Jantek, zwany Dyabłem. — „Cyrek” panteista. — Pierwsze drzewo.

II. Tnie ten las, a w sercu płacze (Dumania wieczorne. Orle gniazdo. — Odwiedziny Dyabła, o skarbach opowieści. — Zastaje Cyrka przy mrowisku. Ciekawe „społeczeństwo”: czyż nie nauka dla ludzi? — Ze wsi żadnych wieści. Turbacya o Hankę. Przypadkiem spotyka Teklę (wdowę), która chodzi po zatykę; od niej się dowiaduje o różnych rzeczy. Wypytuje o Hankę. ~~Naznacza~~ przez nią schadzkę: bory...

III. Bory Zicką. Noc księżycowa. Obraz, pełen harmonii dziwnej, poezyi nocy letniej. Muzyka — Rozmowa jego z Hanką — Taniec, młodzież, śpiewy. V IV.

IV. Schadzki we święto na polanie. Miłosne gwary. (wykład Cyrka: o ptakach) ~~Oczekiwania~~: (Wspomnienia lat pasterskich (śpiewy) ~~walk~~ pierwotnych, polany

V strategiczne, Turbacz, Tatry, myśl o szerokim świecie.) ~~Powracanie na~~ strzelby. (strzelba) myśl pro krzyżyk, jak orzeł, wypatruje czym......

V. Czas uchodzi. Ubocz pomału się umniejsza. Z polany patrzy na wieś: zbiórki. — Widzi strzepą same, miedze, nad Ćwińskiem... przerażony, ucieka na dół, a to za nim, jak cień w nocy nie daje spać — aż wpada na myśl, która błyszczy w chaosie, jak „zielona gwiazda”.

VI. Noce. Księżyc zastaje go, jak na desce białej kreśli czerwoną rubrykę — plan — sam się gorączkuje, energicznie zabiera się do pracy, przepytuje chłopów: Bekasa, Chudomyśla. — (Hance opowiada, ale widzę, że ta nie rozumie, — odkłada na potem. O ojca pyta.)

~~VII~~ VI. Przy ścinaniu. Obiady. Ziemniaki piekę. Anegdoty Bekasa i Chudomyśla ~~o~~ (Widzieli „Dyabła” w lesie) Dyzma z psem idzie nań po zbóju — Rakoczy wykłada im swój plan popularnie, apostołuje —

~~IX~~ VIII. Drózd. Przyjmuje go Franek — Wieczorem pełna postrzegi. Cyrek przychodzi na nazły, zaprzyjaźnia się z Drozdem — Dyabeł się nie pokazywał, aż raptem wpada ze śmiechem radości, jak dziecko: znalazł skał(Krakowskę?)kówkę. Koi plany, nadzieje — ~~Cztery o jesie~~ Fury poczynają częściej zajeżdżać. Bliżej.

(„Mam już Kopaczkę!”

~~napół~~ „I tak się wiecznie mijał z ni[illegible] cynikiem został..."

X. Cały jego plan był rzędem na dziwnym geniusz!.

67

VIII. ~~IX~~. b) Konicy słonać. a) ~~Jesień~~ (buki zżółte, pejzaż wrzbu) ~~d)~~ c) fury d) Jasio. ~~rocanie~~ myśli gorączkowo. — e) Przyszłe spychanie. — Śmierć Dyabła (przy piwnicy ze skarbami) — Smutne wrażenie. ~~Dziad~~. Cyrek — ~~[illegible]~~ Brzoza ~~nie wolno~~ o Jasiu. — pali się wewnątrz myślami. Dziad. Oddanie ubogiej.

IX. ~~oddanie dziesięć drew (ubogiej)~~ — Do ~~wsi~~ ~~mieszkania~~. W kościele. (zapowiedzi) W Radzie — Noc... (ironia)

X. (wyjście Marysi — Ta wraca — bez Hanki. Zostaje.) W chałupie. Zośka. ~~[illegible]~~ Marysi (rozmowa z nią)

~~XI~~. Ostatnia rozmowa z Hanką. XI to) Do świata.

—

Uwagi.

XI. po rozmowie z Hanką: Rachunek sumienia.
~~[illegible]~~ Przegrane... czyja wina?
Gdyby teraz śmierć...
Kamień...
Szarość...
etc.

[illegible] yW

VIII. Idzie przed zimą po ciotkę. Pierwsze zwiastuny zimy.
Frank się zapytywał czasem, co to ~~[illegible]~~ na dole stojące.
Raz spotkał się z chłopem, ~~[illegible]~~ który ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ na legarach złożył ciotkę. — Ten go sam rozpoznał — ~~[illegible]~~ przyszło takie — „wiecie my, ~~[illegible]~~ go zwalicie unosi.!"
— Któremu?
— Ten jak zatracony, ~~[illegible]~~ głupi, który to u nas służył...
— Co powiadacie?
— No dziś sierocie. Bo umarł kiedyś
. . . .
. . . .

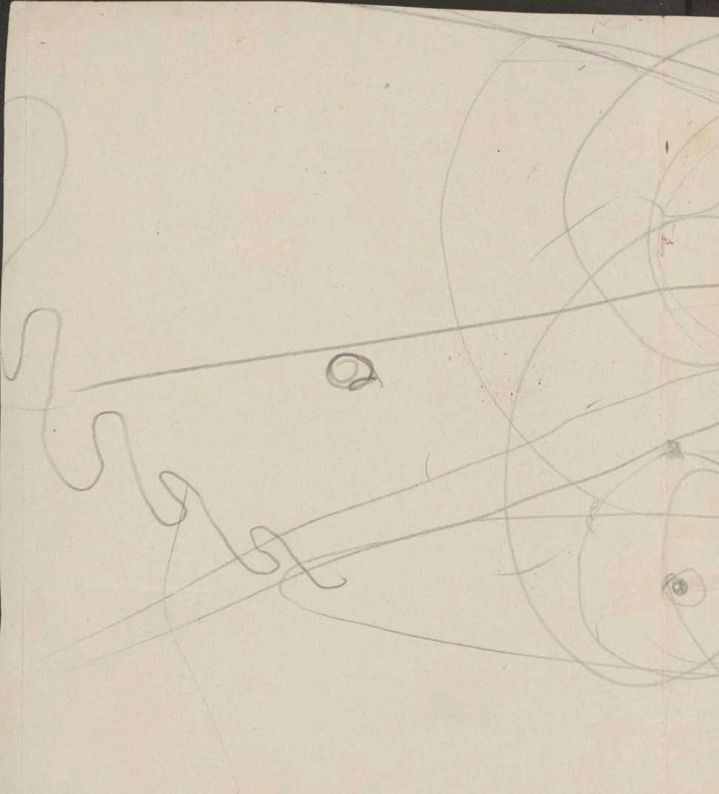
IX.
wszystkich.
— Słuchajcie!.. Ja tam z góry...
Jeszcze jak popęka
z lat paru dziesiątków
(pominięcie mowy)

IX
Jan wstał... wszystko smutne..
a przed nim... podobnie [illegible], że
wreszcie [illegible]
[illegible] od ludzi..
Twarz [illegible] ale
tak [illegible] —
I myśla przechodził
znajomą [illegible].
[illegible] dokoła
[illegible]
[illegible].. Dziś [illegible].
[illegible],
bo [illegible]
na [illegible].
Co [illegible] —
[illegible]... I gonał, gonał, [illegible]
[illegible] na,
[illegible] — [illegible]

b) O Jasiu [illegible] — ~~c) Koniec (o złości) [illegible] ze [illegible] myśli — gorączka [illegible] — [illegible] —~~ spychanie — Dyabeł — Cyrek ~~[illegible]~~ D[illegible]

Listy: A.B. (Książka)
Brat
Marysia
(Konczyński)





VII.

W gminie tymczasem... Na za gminy czuwa Sukiej i cała Rada. Sukiej też czuwał pilnie, na wszystko dawał baczny pozór.

I u wójta byli zdrowi. Sukiej, jak zawdy, zakosztował... Miał on niemałą przeprawę z Hanką. Pozwoływani wszystkie sędzie i rodziki na pomoc. I on to musiał zawdzięczać ulegowe[illegible] Hanki.

Rozmowy.

Z Cichańskim Sukiej ostateczny układ. Nam owszem bez Hanki. Przyrzekła i nie, jakby oczekiwał na coś. Nasłuchiwał pilnie wszystkiego, co o Rakoczym mówili. Podawał nawet chętnie ucho Błażejowi, który znany z całej wsi z powiastek, ten raz mówił... To znowu: (Bekas i Chudowski)

Spotkał się z Kostką. Rozmowa.

Sukiej pogardliwie z nim wszystko mówił o Franku. Gdy się jednak sam zostawał — wtedy myślał z niepokojem: „Co on się tak odmienił nagle? I nie daje znaku życia... Musi coś knuć po cichu... A teraz musi mu być spokojnie, skoro chodzący przyczyni, jak szukać"...

Przynaglał Cichańskiego, aby nie zwlekał do pewnej jak najprędzej wszystkie.

*

Rakoczy siedział [illegible] z Bekasem i Chudowskim. Robota się pospieszyła. Jeden podcinał, dwaj inni piłą — potem okrzesali z gałęzi i tępili razem. Obiady jedli razem. Czasem Franek wychodził... oni

Szanowny Panie!

Serdeczne dzięki składam za ~~[illegible]~~ życzliwe ~~we~~ życzliwe ~~osobiste~~ osobiste [illegible] moim [illegible];
~~Zaczem osobiście nie będę [illegible]~~ mogę
~~podziękować Panu, choć nie umiem, słowa~~
~~w dzięczności szczerej, [illegible] życzliwość~~
~~tę doprawdy nieoczekiwanym [illegible].~~

Proszę też do Krakowa ~~Pana~~ powiadomić mnie
(kartą lub przez Kuryer, jak ~~[illegible]~~ Pan woli) kiedy
~~[illegible]~~ następne rozporządzenie prób, ~~[illegible]~~ gdzie pragnąłbym
uzgodnić swoje uwagi dla ~~[illegible]~~ zatwierdzenia.
~~tygodnie przed rozpoczęciem prób mogę~~
nia, różnych spraw ~~[illegible]~~ niezbędnych.
~~mieć [illegible] gdyż pragnę bo pewnie~~
~~Sekretarzat [illegible] nie doniesie.~~

Szczerze ~~[illegible]~~ Panu wyprzedzając wdzięczności ~~szczerej~~, ostaję

Z prawdziwym szacunkiem

Wł. Orkan.

[illegible]

X.

s. 96 spis

Rozmowa z Zośką.
Widma Jasia.
Marysia. Wesele.
Hanka. Rozmowa [illegible]

Po chwili, poczęła [illegible] słowa:
— Moja Zosiu, mam do ciebie prośbę... Idź powiedz Hance, że ja tu czekam... niech przyjdzie ... chcę z nią parę słów pomówić...
Rzuciła się na spokój. Ale nie było dogadać. Bracie [illegible],
i teraz się nie lepiej przyjmą...
Co tobie, bracie? powiedz...
„Idź i powiedz jej..."

Ci o sobie zapomniała, przeraziła się. „Wszystko nic!" „Żebyś się tylko wstydził...!" Odwróciła [illegible]
Maryśka rano w domu ojców. Zośka [illegible]
[illegible]
— Takiej ja [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
Hanka dopiero [illegible] przybieżała [illegible] zapowiedzi... A.! Wrócić
spojrzał na brata. „Nie trwóż się" rzekł... „Ty" mówi ona mi wiecie..." „Wiem, że nie..." itd.
Zaczęła [illegible] powiedzieć, zaw.
[illegible]
[illegible] postawiona i poszła do [illegible]
— Poskarż ci się, mój bracie, co nas najbardziej trapi...
Bo [illegible]
Uspokoiła się Zośka i poszła się wstydząc, [illegible] wytarła oczy, żeby nie poznał nikt, iż płakała... itd. Poszła. Franek został sam w Ocubin. Marysia
Franek podniósł głowę...

s. 95 spis

(5) — Wiem... on za mną chodzi...
— Kto?
— Jaś... Naprawdę ci gadam... widzieć to go nie widzę, ale go czuję one i słyszę... Tak... wyraźnie słyszę... wieczorem, jedno jak przyjdę do [illegible] on już [illegible] ... Pamiętam tę jego nutę: [illegible], Bo. I słowa wyraźnie słychać... „Oj, sługowałem ja, Zosiu!..." Nie śmiem się nikomu skarżyć... I co ja będę, powiedz? Bać to się nie boję, ale mi tak jakoś dziwnie... nie umiem powiedzieć jak... Śni mi się często na sercu...

Jakżeby on przeżyć mógł pomoc z tego świata...
I widzi mi się, że on mnie ten szpiczen wadzi... A nijak mnie ten wszystek cięży... | ~~Oj, bracie, bracie~~ – ~~[illegible]~~

Zachlipała się ta niema, a oparła głowę na jego ramieniu i wyszeptała w płaczu:

– Oj, bracie, bracie! ~~[illegible]~~... żebyś wiedział... Poratuj ~~mnie jako~~ [illegible], bo mi tak ciężko!... [illegible] ~~[illegible]~~ wiodzę...

I płakała tak cicho na ramieniu.

A Franek siedział, ~~[illegible]~~ równie cichym przytłoczon, tym frasunkiem, i słowem jednem nie mógł się pocieszyć.

– Cóż ja poradzę – wyrzekł wreszcie z westchnieniem głębokiem.

Odjęła głowę od jego ramienia i zapatrzyła się przed siebie.

– Ja wiem... On ma ~~[illegible]~~ do mnie prawo... Tak mnie na... Sędzie porachunki... ~~[illegible]~~ wiem... to dziwne... chciałabym go w... dzie... i boję się trochę... tych oczów jego... A sama nie wiem, co ~~[illegible]~~ się ze mną dzieje... We dnie to chodzę ~~jakoby~~ we śnie, i nikt by nie zgadł, co mam w sercu, a w nocy to ani nie śpię [illegible] odchodzi... wiem – nawet nie śpię z [illegible]... bo mi się teraz zdaje, że to grzech – czyjak – czy ja wiem co... nie mogę się przezwyciężyć... ~~[illegible]~~ Zdawałoby mi się – że on tam patrzy... Strasznie mnie to życie zwiędło! Wołałabym już i nie żyć... Żeby inne nie ta mała...

Po chwili:

– Nie chodź ty od nas, Franek, może mi będzie jakoś lżej przy Tobie. Jak chcesz, to podziel grunt – bo on ci pewnie nigdy nijakich nie da – ~~[illegible]~~ jak nie przystanie, to podziel przez sąd. Mnie już nie o to nie chodzi.

– Tego nie zrobię! Darmo. Nie ma o czem gadać!

Wstał. Przeszedł się po izbie. Zośka siedziała, płacząc cicho. Stanął przed nią, ujął jej obie dłonie i ~~[illegible]~~ uścisnął pośpiesznie.

50 – Żal mi cię... Strasznie mi cię żal... ale darmo.

J. Szczepański – (Ostr.)! 71

Szkic do rozdz. XI

Listy: Tyg. Ilustr.
Miesiąc
Marcinkowski
Pola
Brat
Gwozdka

Wiersz: Gulim.

tekst wmontowany w rozdział XI s. 242–244

XI.

. . . . . .

Były w nim wspomnienia.. Całe roztoki z nim wzeszły.
Odprowadzali go umarli i żywi.

~~O ojcu~~ Jaś. Zośka opłakana, Margosia, Jaś... ~~[illegible]~~... Sukcesji.. Handzia z Wiktorem... Dziad, Cygan, Dyabeł.. ~~Kazimierz~~ ~~Boży~~ Chudomięt z Bracem.. Dzyma z piesiem... Tako z ostępu wyszli.. nawet Boży...
Odezwał się: Turbacz.

„Hej Turbaczu, Turbaczu!”..
Coś tak gorzki...

~~Dzwoni, nagle~~ Myśl się podnosi.–

– Mój kamień – zapisał ze smutnym uśmiechem.
~~Lecz~~ – Kolędnik – Anioł.

Z nad gór – a przed nim świat nieznany.

— Coby ja poczęła sama?... Moje najdroższe! Co się to nawypłakała... aż oczy wilgne od płakania... Powiem jej: to ~~my razem wymyślili~~... ~~Dyć się odda~~... o jej Franusiu... widzi ją: ~~stoi~~ klęczy przy ławce ~~przed~~ z boku przed ołtarzem — głowę nisko przychyliła, widzi, że czyta na książce, a myśli jej lecą lecą... „Co też tam robi mój Franek?”... I tyż słońce jej tak świeci, że wszystko wzdycha głęboko, a ludzie ~~ot~~ klęczący obok myślą, że się tak gorąco modli... Już ja nam moje kochane jesienie, przecie my razem na odpust chodzili...

I mimowoli ~~się~~ uśmiechnął się na przypomnienie onych nocy w Jankowskiej stodole, na boisku.

Ani się opatrzył, kiedy wolno szedł, jak wpośród ~~wsi~~ samego środka wsi ~~przez środek~~, prowadzącej wśród wioski ~~prosto~~ wprost ku kościołowi.

— Same nogi mnie niosą... ~~Nigdy tak lekko nie było mi się na świecie~~.

---

1 I zdało mu się, że czekają nań z takim utęsknieniem, z jakim on ku nim dąży. Widzi ~~twarz~~ poczciwą twarz ~~potulnego~~ proboszcza, jak się przyjaźnie doń uśmiecha... „Powiem ci, Franusiu, że ty masz rozum niegłupi...” Wyraźnie słyszy jego własne słowa. A zaraz widzi innych z rodzonego stanu, jak się życzliwie przyśmiechują. Dobrzy z kościami ludzie. Nawet w twarzy Lutkaja nie widzi tej zawiści, którą jakoby przez ten przypomina zdawna, lecz dobrotliwość z niej przeziera, jaka zwyczajnie tryskała mu oczy, gdy ~~[illegible]~~ się rozgwarzył z równymi o minionych czasach. Wznieśli się też i twarz siostry, Zosi. Zwraca ku niemu załzawione oczy i zdaje się przemówić: „Takeś już o nas dosmaku ubaczył?...” ~~Ale wszystkie te [illegible]~~ Jednak wszystkie te obrazy ~~przesłania~~ zasłania sobą postać biała, ~~[illegible]~~ w której poznaje Hanusię. ~~[illegible]~~ Bieży ku niemu, wyciąga ramiona i oczami, rozświeconemi do płomienia, woła... „Och, coś ty się naczekała!”

s. 204 druku s. 84 rps (3)

Pocznie wrzeć, obiegą rodzicy, buchnie mu do głowy, i gniew
okrutny porwie ~~[illegible]~~ rozsadzi mu piersi.
Kto myśli naraz, kto zamierzał tę zgubę ~~[illegible]~~ całego.
...Rzucić się przez wszystkich ludzi, zwlec każdego z ambony
i ~~po~~ trząść nim, by odrętał...
Znaleźć w cerkwi Michała i ~~[illegible] go na [illegible]~~...
Wypaść w pole i całemu światu obwieścić, że hańba
tego...
gdyby mu kto sprzeciwił — ubić — cały świat wyzwie do
walki!

Ale równocześnie z tymi zamiarami ~~po~~ wołał głos
stłumionego ~~rozumu~~ i stał go wstrzymywał w miejscu.
— Coż kiedyś uczynisz? Co uczynisz ten woli Twej, Cichandzki?
Coż z tego, że się ludzie dowiedzą? Z kimże będziesz wojował? Z wiatrem?
I opadła go mowa głucha, złość niemocy, a w
serce zawalił się kamień, ~~[illegible]~~ [illegible] ~~[illegible]~~
żal do Hanki... ~~[illegible]~~..
stał, jak przygłuszony...
Organy, śpiewy, dzwonki...
[Franek] Powoli zaczął przychodzić do siebie...
Plan... Rzecz to wszystko nic wobec Franka.
Odrazu się odmieni, [illegible] się i [illegible] niewiadomo, co
z nim. Ale że się Hanka dała skłonić? Pierwsza zapewne
[illegible], że nie [illegible]... Ojciec [illegible] tego [illegible]! [illegible]
~~[illegible]~~

[illegible]

Gdy się dowiedzą — wszystko się ku niemu obróci. I pocznie
~~[illegible]~~ [illegible] patrzeć po ludziach. Postanowił nic jeszcze nie mówić.
~~Zaraz po sumie~~ pójdzie do ~~[illegible]~~ wójta... ~~[illegible]~~
~~Tak tak [illegible]~~. Cały drogę układał, jak go powiedzieć.

Ludzi nie potrzeba po drodze, poszli już na ulicy. A kto został, to się nie modlił w kościele w chałupie, albo i spał przy [illegible] mając nasze wyspać się przez tydzień.

I tak doszedł na [illegible]. Nie ratujący się w ogrodzie, minął furtkę, i [illegible] się przez [illegible], otoczył go dzwonek do kościoła.

Kazanie właśnie było. Ksiądz mówił o tym, co [illegible] Franek rozejrzał się po ludziach, szukając znajomych twarzy, bo ich się już [illegible] za nimi. Przybrał sobie odpowiedni w [illegible], jak on tam [illegible] – i teraz ponad głowy, stojąc przed sobą, patrzał ku kazalnicy, pod którą w nadziei, że może głowę jej zobaczy z daleka. Może się, tak myśląc, przemieniam w sercu, pojmuje, że Franek przyszedł i obejrzy ją –

~~T[illegible]~~ Kazanie dobiegało końca. Poznać było po tem, że o piekle ksiądz zaczął mówić – a wiadomo było wszystkim, że po piekle pokaże ~~już~~ odzyskanie nieba, jako [illegible] spadający z ojca wysokiego – i na końcu: [illegible]...

Nie [illegible] się. Kiedy ~~pan~~ ksiądz po,

wiedział „amen" zachwiały się cały kościół,
jak stał, ~~[illegible]~~ spokojnie stał, naraz ude-
rzony wiatrem instrument, i długi czas
się chwiejąc nim się uspokoi.

Ksiądz ~~[illegible]~~, otworzywszy książkę, prze-
wrócił w niej parę kartek, i postanowił,
przychodząc, ~~aby w obec~~ i wyraźnym
powolnym głosem, aby ludzi, wobec ~~[illegible]~~
niespokojności mogli dobrze odczuć.

Franek drżał. Co to?

– Amen to ktoś... [illegible]... i kościoła
Ścichawszy... [illegible] ~~[illegible]~~

Naprzód obłok po war, potem [illegible]
przebiegło po ławkach – serca [illegible]
nim się tak przed nią, tak że chwiało nim.
Patrzał wielkimi oczami po ludziach, jakby
szukał odpowiedzi – i widział w oczach,
wyrażające się [illegible] – to [illegible],
litościwe, to śmiejące się, szyderskie...
I naraz poczuł zgiełk [illegible]... chciał... [illegible]...
Potem [illegible] się ~~[illegible]~~ z kościoła... to myśli na-
raz [illegible]... ~~[illegible]~~ [illegible] do [illegible],
[illegible]... ~~[illegible]~~ [illegible] do siebie...
~~[illegible]~~ Co robić?...

XA

Niedziele (rano) 1. tydz. (we wtorek)
Poniedziałek w nocy (2 tydz.) i środę
Wtorek – ~~środa~~ – (we czwartek – piątek)
i środa (w sobotę + niedzielę)
czwartek (we wtorek – środę

Tak chcę nie dane odmówić Koronki, Różańce i Litanie [illegible]

74

wariant tekstu s. 88 rpisu

(1) s. 214–215 druk. [illegible]

Całą nadzieję ~~[illegible]~~ jego w tem. Ostatnią deskę tonącego [illegible], na której, wierzył teraz mocno, wypłynie na drugą stronę. [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] pośród [illegible] ~~[illegible]~~ przez [illegible] w górę i na drogę. Zaczęła go pchać – szedł wartko i coraz prędzej. Gdy dochodził do osiedla sołtysowego, [illegible] mu iść się niespokojnie – aż na moment ogarnęło go zwątpienie – i zwolnił jeszcze kroku. Dziwna bojaźń mimowolnie ~~[illegible]~~ ogarnęła go. [illegible] – i nie dając czasu myślom do zastanowienia, przeszedł prędko osiedle – ~~[illegible]~~ wpadł prawie przez próg do sieni – i stanął przed drzwiami do izdebki. ~~[illegible]~~

W izbie znajdowało się parę starych nagle ludzi, niespodziewali się takiego, i na jego zjawienie wszyscy poruszyli się. Nawet na Pochwalony Boga nikt mu odpowiedział. A ludzi było dość. Cała prawie rada gminna, i różni podleśni, wśród nich Łukasz, jako najstarszy i siedzący za stołem.

Stworzył się nieco i Franek, widząc tylu naraz samych starych ludzi. W obliczu ich wszystkie zapominane wielkie wróciły mu na pamięć – wszystkie [illegible] Przybiegł na widok Łukasza, który [illegible]... Stał więc chwilę w milczeniu i zmierzył się z myślami – a i gazdowie patrzeli po sobie zdumieni, nic nie powiadając. Dopiero po chwili jeden z gazdów zwrócił się z pytaniem:

– Dobroć ta [illegible], w lesie bawił...

Franek, który gotował przemowę, ~~[illegible]~~ nie odzywał prawie słów, powie też ~~[illegible]~~ nie z odpowiedzią, ale z tem [illegible]:

– Przychodzę do was z gór... przychodzę, jako do ludzi dobrych, bo zostaliście mi [illegible]... mowa! [illegible]

– [illegible] I wyszła, podniesie głowę... Ale nie [illegible] będzie mi kiedyś... ja do was nie mam mowy... Naprawdę, sami, gdy się potrzebowaliście do mnie...

a 130

Wenecya

poezye: (Rzym)

I. Wenecya wieczorem.

II. Widok z Piazza Michel Angelo na miasto.

III. Ruiny ~~starego~~ Rzymu – Rzym papieski.

IV. Świątynia Westy.

zawrócił na dworzec pod dzwonnicę. ~~Kto~~ Szedł prędko i nie widział ~~nawet~~ oko (~~[illegible]~~ poszerzających za nim wyrazie) [illegible] go: to ciekawością ~~[illegible]~~, że tak długo ~~[illegible]~~ został w kościele, to zgorszeniem, że nie może [illegible] niezgodzon ~~[illegible]~~ wychodzi.

~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ się z kropielnicy ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ na wyjście.

Do czytania: Tołstoj | ~~Dr~~ Kulczycki (O Anarchizmie)
Nitsche | Trylogia, Krzyżacy, ~~[illegible]~~ Sienkiewicza
Ruskin | [illegible] (Dąbrowskiego)
Modrzewski ~~[illegible]~~
Kochanowski

Języki: Francuski
włoski

Powieści: „O anarchizmie" (Kulczycki)
„Piśmiennictwo" (Feldman)

~~Dn. 3/XI 192.~~ (=89) 75

wariant tekstu s. 88 pism s. 215 druku

— Przychodzę do was z gór... Przychodzę z zamyśleniem otwartem i z wiarą, że, co I... przed wami powiem — przyjmiecie z radosnem sercem i zaniesiecie za swemi słowa odpłacicie...

Mówiąc to, umiał wyzwolić całą dziwność tych słów, które tak obco w tej izbie zabrzmiały, jak świeckie sprzęty w kościele albo modlitwa w karczmie. Podniósł głos, aby ten dźwięk niestosowny zgubić:

— Przychodzę z nowiną ważną...

Wiele głów z ciekawością obróciło się ku niemu.

— Oto, wiodąc tam w górę, [illegible] z dala od gromad, umiałem [illegible] myśleć o niej

DA

wariant tekstu, s. 89–90 pism s. 216–218 druku

— Rozważny to [illegible], jaka mi się odsłoniła w tej narodzie, [illegible], jak bliźni gnieździli, zabiegali domu o spaniu i jadle, i już mnie nic nie weseliło w tym [illegible]. W sercu było mi tak duszno i ciężko, jakiby mnie wszystkie nędze tej ziemi przygniotły. Błąkałem się po tych wrębach, po wierchach wysokich [illegible] i smutkach ratunku jakiegoś dla gminy. aż wreszcie znalazłem go w [illegible] Aż wreszcie znalazłem go w tym oto planie:

Tu począł z zapałem mówić o zmianach, jakie [illegible] przeniosłyby istniejące gminy. Mówił więc: o innym podziale gruntów, o innym uprawie, o wspólnych pracach i wspólnym pożytkowaniu zebranych owoców ziemi,

o strajkach gminnych, o pastuchach, o zaprowadzeniu fabryk, kopalń, warsztatów, o [illegible] synów i o wszystkim, co wyszło zapałem pędzona nadzieja. Mówił bezładnie, prędko, w gorączce coraz większej, pragnąc dojść do początków, które z tych zmian wynikną ludziom.

Dwóch [illegible] . . . Jego przemowa: mówił tak, jakby sam z nim wspólnie myśleli . . . . jedni . . . że zrozumiał, że cały plan był tylko na dobrej głowie. To, co mówi, jak mówi . . .

Szukaj, który ze swoich tędy, że Kalisz przyszedł. Henryk [illegible] stroszył się już był odpowiednio, teraz podniósł głowę i utkwił oczy w twarzy Kalisza.

Jadowicie, otwarcie [illegible] niepokój, jaki w nich wywołała przemowa Franka, i [illegible] dowieść, pozornie na [illegible], że nie wszystko . . . .

Skończył to Franek, a [illegible], że [illegible] całej mowy jego temu [illegible] coraz [illegible] i wyraźniej mówić:

wariant s. 218-219 druk – s. 89-90 [illegible]

— Rozwidni się świat ludziom, jak po długiej nocy. I ujrzą oczami światłość, bo teraz jej nie mogą oglądać. Dziś każdy ma kamień u szyi, nawiązany u szyi, który go ku ziemi ciągnie i nie dozwala indziej patrzeć, jak tylko na biedę swoją, na ten wieczysty grób. A wtedy ludzie popodnoszą czoła, i wyprostują do góry przygarbione plecy, i staną się od razu jak drzewa wyprostowane. W oczach im wesołość zagości, na twarze uśmiech przyleci, i dusze ich rozświetli jak dzień, gdy słońce ranem wstaje, po długiej, szarej słocie. Wszelkie [illegible] zwyczajne kłopoty przeminą. Nie będzie troski o życie, ani o przyszłość, ani o nic, bo się wszyscy razem wspólnie będą o to troszczyć. Nie będzie zazdrości [illegible] ani [illegible], ani innego, bo każdy będzie miał

76

~~swoje~~ ~~udział~~ ~~jednakże~~ porządność we wszystkim jednali, ~~wszędzie~~ ~~[illegible]~~. ~~Nie będzie sądów~~ Nie będzie kłótni, zabijatyk, ~~to~~ ani gniewów między ludźmi, bo zazdrość ustanie odrazu, skoro przyczyny ich ustaną. Nie będzie sądów, ani prawa, bo się nie będą mieli ludzie o co sądzić. Całe dziesiątki ~~[illegible]~~ zejdą, sady wiatr rozwieje, i ~~stanie ogród~~ ~~[illegible]~~ ~~będzie [illegible]~~ na ten miejscu... Ludzie, którzy ~~[illegible] tego~~ dożyją tego, nie będą mogli uwierzyć, ~~[illegible]~~ że się tu porodzili, i że to ta sama ziemia... Będzie się im wydawało, że na tamtym świecie są, i drugi żywot przeżywają w jakimś niebieskim kraju... Czy ja wam ~~już~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wszystko umiem opowiedzieć, jakie cuda i korzyści w tej gminie, którą wam ~~pod~~ nad oczyma ~~widzę~~ otwieram ~~[illegible]~~! ~~To się nie da~~ Ani setnej części nie wypowiem przed wami. To się nie da słowami wszystkiego wypowiedzieć. Ale tego już chyba dosyć, aby ~~[illegible]~~ widzieć, że to jedyny ratunek dla gminy, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ochrona od zatraty, i ucieczka od nędzy, która ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ morem wstaje. Wtedy ratunek najlepszy, gdy ratuje wszystko. ~~[illegible]~~ ~~W~~ jesieni ~~[illegible]~~ nad tem ~~[illegible]~~ się zastanowić – w zimie ~~[illegible]~~ rozwiąże wszystko, ... a na wiosnę fundamenty ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~... pierwsze.. Nie upłynie ~~[illegible]~~ lat dziesiątek, co mówię! – lat parę, jak się wszystko przemieni, i powstanie ~~[illegible]~~ nowa gmina, o innym wyglądzie...

– A ty w tej gminie będziesz wójtem? – dokończył szydersko [illegible].

Cała izba ~~[illegible]~~ parsknęła ~~[illegible]~~ śmiechem.

Rakoczy zbladł, ogromny ból ścisnął jego serce, i oparł się na krawędzi [illegible]. Długo nie może słowa wyrzec. Dopiero gdy się uspokoił, powiódł [illegible] po zgromadzonych i rzekł:

– ~~[illegible] przyszedł [illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~

Ja z otwartością serca do was przyszedł... Mógłbym iść do ludzi innych, ~~[illegible]~~ zebrać ~~[illegible]~~ cały naród z gminy, i ~~[illegible]~~ [illegible] im wszystko [illegible], ~~[illegible]~~ jak wam przedstawił. A ~~[illegible]~~, wyście się śmiali...

+ 1 red

wariant tekstu (= 91) KP

Zawrócił do Kaborego – poczem coraz mocniej, gwar tłumiący:

„Będzie gwar w niej!.. ect.. . . . .

gniew... " . . . .

Lubej: – a ty w tej gnieździe [illegible] wszystko zrzuciłeś?

Franek: – Ogniście!.. coraz zapalczywiej!.. szaleńczy!.. – przemawia prawie, mało... krwią serdeczną [illegible] czuję, że stanie swojego świętu..

Lubej z niepokojem postrzegł, że na gorąco te słowa pomyka w obu wzruszeniu... Powstał tedy i zbliżył się... stanął przed nim i wpatrzył się weń groźnie... Kabory, [illegible] – aż go powstrzymał wówczas oniemiał. Milczeli obaj – a duchy ich... poczęły ze sobą walkę...

Dla zbawienia.

Musiał potokiem słów przyciągać z serca, aby ich [illegible] czuł przytem, że i swoje nieszczęście stawia [illegible]... Lecz mówił coraz zapalczywiej, [illegible] Lubej z niepokojem postrzegł, jak mu twarz [illegible] poczyna ogniem i oczy trawić niektórym. Coraz też goręcej [illegible] w stronę Kaborego. A Kabory już mu się nie bawił, że gniewnie tej w izbie, jak w bożym dworze.

. . . .

Już mi nie słowa, ale ... mówił. Zdawało się, że lada moment krwią serdeczną tchnie słuchacze.

. . . .

Przemówił, zaczął prosić:

. . . .

Wtem raz Lubej stanął przed nim i wpatrzył się weń groźnie...

~~Władysław Orkan: W roztokach. ([illegible])~~

13

~~Jeśli bieda, nędza śmieszna jest, to wszystko, co [illegible] niebogiem drży, jest śmieszne~~... Przecież do was udałem się naprzód, jako do ojców, ~~[illegible]~~ familii ubogich, o których przyszłość ~~których~~ wiecznie pewnie serce wasze z lękiem zadygoce... Ubodzy, to nie śmieszna rzecz. Znacie lepszy na nędzę sposób, to ~~[illegible]~~ odkryjcie go, a ja ~~[illegible]~~ pierwszy przystanę ku wam do pomocy... A plan mój powstał z serca, co rwie się na widok nędzy, jaką się dookoła widzi... ~~[illegible]~~ Ono nie... w tej chwili...., bo mnie tu idzie o wszystko!

~~[illegible]~~

Ja zabaczyłem wam ~~[illegible]~~ niesprawiedliwości, które lekkomyślnie od siebie odrzucili. Bo ja mam wiarę w grunt dobry waszego serca, ojcowie! Ja i do was wrócę, wiary nie ~~[illegible]~~ tracę, choć nie wyrzekła mi wzroku ~~[illegible]~~... Ja wszystkim pragnę dobra... Gdybyście mogli serca otworzyć przed wami i wyrobić przed oczy to, co wam słowami gadam! Jedna jest wiara, jeden Bóg i jedno prawo: trzeba... Ja wszystkie cały oddaję się na służbę... Chciałbym, aby się bogactwo dla wszystkich i dla mnie... Stanie się mną niedługo, całem życiem swoim... ~~[illegible]~~ aby ~~się [illegible]~~ światłem światła stać wysoko, aby ~~[illegible]~~ świecić jak najdalej ~~[illegible]~~ smutnej ziemi chłopskiej, aby się stać słońcem w niepogodę, cieniem w upał, deszczem w ~~[illegible]~~ posuchę, aby się stać rajem dla wszystkich i błogosławieństwem życia i całym niebem na ziemi... Ja z takiemi pragnieniami ~~[illegible]~~ do was — a wy mi śmiechem, wstrętem! Gdybyście tu mieli ~~[illegible]~~ przed wami, zabity smutkiem wszystkie dusze... Uwierzylibyście! Któż nie ma litości nad ~~[illegible]~~ sobą! Chyba ten, co ~~[illegible]~~ niema: uczyńcie litość nad dziećmi, nie zostawiajcie ich w takiem opuszczeniu, bo się potopią w nędzy ostatecznej...

– Spojrzcie dokoła siebie, idźcie na wszystko, i stamtąd przypatrzcie się tej rozkoszy istnienia. Jeżeli was strach (wyzwie i wszystko straci, wszystko nie odmieni), a jeśli nie nie obejrzycie, to niech wam za ziemią będzie lekko... Nie prawda, iżbym wam starość wypominał – bo i dziś, choć stary, zaradzić się może od [illegible], ale umarli... Odmłodźcie duszę twoją, Pokażcie, że was stać na drugie życie! Niech was nie straszy nieznane – bo co serca uznają za dobre, to i rozumy przyjmie... Idźcie za sercem ludzkie to bój z naturą twórczy... Zostańcie na świetlanem odwrocie, bo dziś czasy ostateczne... Otwórzcie serca na oścież, jak ja otwieram przed wami... Wiele chcę jeszcze bardzo być szczerym. Bo w mnie nie to tylko jest, co się słowami wyraża, jest jeszcze tłumna ciżba pragnień, których wysłowić nie zdołam. Są niemożliwe moce, których wyraz zamarło na ziemi. Daleko mi ludzi, a strona dla mnie świat, tak poszedł, że razem nie będą pragnąć...

I już nie słowa, ale iskry z gorejącego serca wyrzucał. Zdawało się lada moment krwią serdeczną chluśnie.

– Jeżeli ma być życie, to niech będzie życiem! a nie, to niech się wszystko zatraci! Miast powolnego konania, niech będzie raz śmierć! niech wszystko zginie odrazu, niech się rozsypie w proch, niech pamięć straci o istnieniu, a niech nie cierpi! niech nie cierpi!..

Podniesiał, [illegible] prawie z przerażenia [illegible].

– Tę gromadę trzeba wrócić do życia, a nie, to popchnąć w grób...

[illegible] dalej...

s. 224 druku wielkie rzeczy, wszystko się [illegible] woli! 78

s. 92 [illegible]

— Dyć się przypatrz... Twój Franuś tak go urządził — odrzekł z przycinkiem jeden z dalszych stryjków.

Hanka jeszcze bardziej przelękła się..

— Ale o co?

— Dyć się tyż ku dobremu ~~[illegible]~~...

~~Ale nikt~~ Podniosła się z ziemi i posadziła go na ławie. Parę dziedzickich ~~[illegible]~~ w stodole [illegible] ~~[illegible]~~. Kuśmider bydła „Dziedzic" zeszło się ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ reszta stała nad nimi, przypatrując się uważnie lub dalej, ~~[illegible]~~ w rozgwarzonych grupach. Mówili naturalnie o sprawie całego nieszczęścia, o Rakoczym.

— Wiecie, że takiego udziwku tobych wnet zabił...

— ~~[illegible]~~ I ni nie byłoby dużego grzechu, wiem ja...

— Niech świata nie buntuje, niech nie robi mątu...

— ~~Daj~~ No spokój, mój Szymuś — przerwał [illegible] się, Grześ, boś ty nie najmędrszy... ~~[illegible]~~ ~~Rakoczy~~ domyśla się — zawżdyć nie był taki ~~[illegible]~~ po panu jak wam się zdaje... A nawet powiem wam — ~~[illegible]~~ niejedno — że on ma rozum niegłupi. Ino ~~[illegible]~~ to bieda, że zastanowienia nikomu niejakiego...

W innej znów grupie dowodził Cichocki:

— A ja od dawna powiadał, że on coś w rozumie nieporządny...

~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wreszcie po długich naradach wszyscy przystali na to, że z jego rozumem źle.. I poszli spać do domów, bo już mrok nadchodził, a Lukaj z pomocą Borkowej i Dorotki przecie nareszcie przychodził do siebie.

*(we myślach jej nie znaczyło nic)

W samotnym gospodarstwie [illegible] ~~[illegible]~~ na dworze ~~[illegible]~~ podał drugi Franek Rakoczy. Co dalej przeszło [illegible] już przeszło... I teraz tylko [illegible], [illegible] przed oczyma

...i dziwnego potem przyszedł doznawać spokoju. Jakgdyby wyższa cząstka umarła, i ostała tam jeno okrutna na świadomości życia, ale to nawet nie życie, lecz koniecznego istnienia. Ten spokój, jaki nawet [illegible] być zdaje, jaki przed Kamieniem nagrobkiem nawet i może [illegible] nie doznaje umarłe, z którego ból przeczuwany konieczność wypędził życie, a ono jeszcze tkwi i nie może ustać.

Mur — w nim jeno pole... To pole — to jego dusza...

—

Prosiła po

„Najbardziej godzien litości ten, którego nic nie boli.”

Myśl 3.

79 W Roztokach — tom II koniec r. IX

[illegible] w noc, a równocześnie skupiała się [illegible] i [illegible], aż nareszcie stargała łańcuch nieprzebytej, mocy wszechogarniającej, naraz [illegible]:

Wydawało się Kabosiowi w niejasnym pojęciu, że ten mur czarny przecież być rozwalić, i stąd jego obecna niemoc. Oto rzucił się nań z mło, drzewny siłą — pokrwawił ręce i padł zjadły, jak od bramy skrzesi... Oto sokoły lecą przez niezmierzony pierś strasznej, skrzydła złamał — i teraz — zorany, ten sercem też u stóp (krwią swojej piersi) skonał! I pomyśl, że ten mur z kamiennych serc stworzony powstał. Któżby go zdołał obalić? A za tym murem — wierzył zawsze — musi być dolina szczęścia... Ku niej wszystkimi przyciąganiami gnał... A teraz oto, padając ujrzał w ostatecznym konaniu — i obaczył dalej, że tam ugór pusty...). Dolina szczęścia była w jego duszy. (Straszna, bolesna pomyłka!) Oto i w jego duszy teraz pustka, ... A w sercu niemoc, i ból tak okrutny, że żyć się nie chce. Z czem teraz żyć? O mur się wszystkie przygnieźdź rozbiły...

— Jaby im chciał dusze dać... całą... bogatą..?

Od kościoła wiatr przyniósł echa gędziorzy i śpiewów. Ludzie szli z karczmy do chałup, za wodzą po drodze. Powoli zbliżały się pieśni odgłosy pojedyncze. Za [illegible] wyprzedzili z drogi doleciało:

„Hej!.. Powiedajże nimie,
Że my nudnosieme —
a my se polem
chodzimy ostrożnie..."

I grały echa niemilknące po całych roztokach. Wiatr je rozniósł po osiedlach z szaleńskim chichotem.

Franek Kaboś, siedząc opodal drogi na drzewie, w mroku gęstym i w niemocy, pierwszy raz od czasu chłopięctwa swojego niewieści zapłakał.

dnia 19/II 902.

Szanowny, Kochany Panie!

Przepraszając za zwłokę, spowodowaną różnemi, niezależnemi ode mnie przeszkodami, przesyłam należytość za polanie siana (Nr 4 i 5 na Zajączkach) w wys. 30 kor.

Z serdecznem pozdrowieniem

[illegible]

2) w Kortotkach [illegible]   wariant   s. 223 druku   lipiec   80

Zwiegania się od [illegible]... Kto zwycięży?

Krzyk [illegible]... (widzieć go!)

Chłopi się popłoszyli. Pan podnosi się ku niemu.
[illegible] we wściekłości, [illegible] się nań — Franek odpycha go
[illegible] — [illegible] [illegible] nad nim [illegible] — pan
spadł [illegible] na stronę — [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible], [illegible] się [illegible] [illegible] i
do [illegible]. [illegible] Zabawny [illegible] [illegible], że [illegible]
osłabł w sercu i nikomu nie zdradził się [illegible]. [illegible]
się cofnął do domu i do sieni, po prostu mówiąc: [illegible].
~~[illegible]~~

3) Zmrok. Noc. Ironia.

Po wyjściu Franka: (Hanka)

([illegible])

— No i [illegible] mój [illegible] [illegible] przyprawić...

Podniosła go [illegible] i posadziła na [illegible].

(na boku)

[illegible]: [illegible], że takiego [illegible] [illegible] zabił... [illegible] nie!!!

Gwardii. [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], bo ty ... nie tak [illegible] [illegible],
jak [illegible] [illegible]... [illegible]...

(w innej grupie)

— a ja od [illegible] [illegible], że [illegible] [illegible] w [illegible] [illegible]

[illegible]

Listy z wsi.

Owad.
(o Bogodze i deszczu) „Panie Jezusie! Daj też tak i owak..."

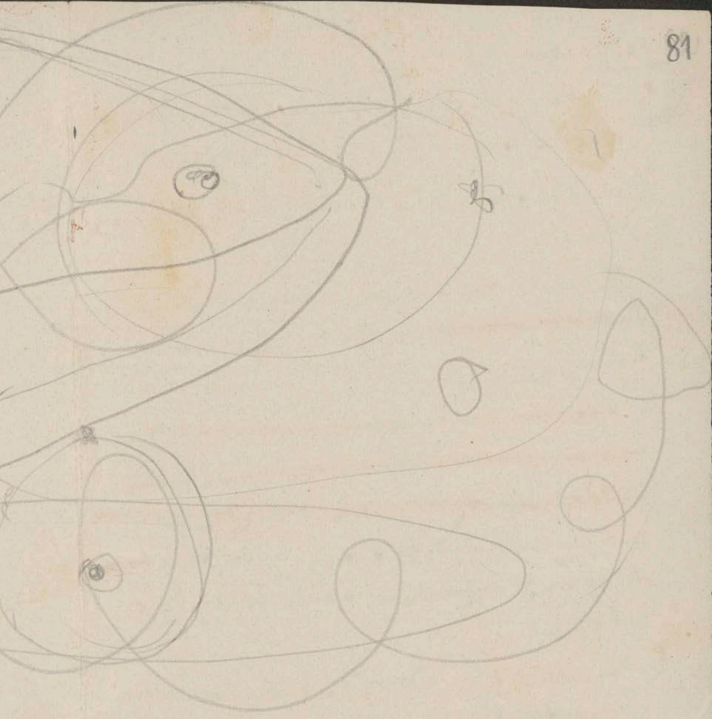
I. Koń domagały. – Ho! ja se nie wyspał że go na telo spędzi.
– Na co bilło?
– E na ~~wszystki~~ przytnienia roztar.
– Napędzałeś on wczoraj?
– Kupił.
– Za który?
– Hoł ja se nie wyśpał, że go na tele spędził
– ?
– Za potrzebnia papierka.

b.

! Krętym gorzko-~~wesoły~~ pasie krowy w sadzie, strzeli ze słów obryża, i słucha, odchylając nosem, paręminy, gdzie która z trawy ~~ap~~ upadnie.

c.

Cygan: Szybko gotujecie, gazdo?
Gazda: – Gotujemy, ale niewszystkich bede jeść.
Cygan: Kaz też pójdziecie, gazdusie?



Rakoczy (tom II.)

a/ ..wieczorami patrzy na gwiazdy.. pojęcie prymitywne kosmografii..

b/ ..układa śpiewki... modli się poetycznie...

c/ ..Poczyna rozumieć mowę natury... ~~śpiewy ptaków~~... Bek zaszczuwanych saren...

d.) .. ~~spotyka na Turbaczu Kamińskiego – na mszy czyta lektury: „Kotlarz Lacki"~~.. ~~1863... spotyka zwalonego księdza – na niej~~ (ksiądz, na tej) rąbanicę wyciętą scenę zabójstwa ~~ba~~ bacy... przypomina sobie legendy o zbójach...

e) ~~Na Hucisku odnajduje szałas dobrego.. staje mu przed oczyma ręk, jak ta [illegible]... o tym zaciszu.~~ –